

*Sherryl Woods*

**NOC  
KSIĘŻYCOWEGO  
PYŁU**

Gabrielle przystanęła na środku popękanego chodnika, bogato ilustrowanego dramatycznymi w wyrazie, różnokolorowymi bazgrołami. Porównała zamieszczony w gazecie adres z dwoma zwisającymi do góry nogami numerkami, ledwie trzymającymi się podniszczonych drzwi frontowych jednego z budynków. Jeżeli puste miejsce pomiędzy nimi było kiedyś zajęte przez siódmkę, miała przed sobą „świeżo odnowioną, elegancką kamienicę”. Najwyraźniej jednak renowacja miała miejsce nieco dawniej, niż można by sądzić z ogłoszenia.

Wsunąwszy zmarznięte dłonie do kieszeni futra, przyglądała się z rezygnacją wyblakłej fasadzie, pokrytym smugami brudu wypukłym oknom, obskurnej, odpadającej sztukaterii. Jakże daleko było stąd do Park Avenue. Odetchnąwszy głęboko rześkim jesiennym powietrzem, owinęła się ciasniej futrem i wkroczyła do ponurego holu.

To może się nadawać, uznała, obrzucając jednocześnie krytycznym spojrzeniem zabloconą terakotową podłogę i zmatowiałe mosiężne klamki, kinkiety oraz rury. Sama konstrukcja budynku wyglądała dość solidnie, a ponadto Gabrielle gotowa była się założyć, że wszystkie mieszkania miały dębowy parkiet. Przypomniała sobie, że dostrzegła z zewnątrz kominy, co oznaczało, że są tu też kominki. Tak, to zdecydowanie może się nadawać, pomyślała z uczuciem pewnego zadowolenia, którego nie doświadczała już od tygodni.

Kilka miesięcy wcześniej, gdy jej kariera na Wall Street rozwijała się w zawrotnym tempie, mogła z powodzeniem kupić cały ten dom i odnowić go, traktując takie przedsięwzięcie jako obiecującą inwestycję. Teraz, kiedy w żadnej firmie maklerskiej nie było pracy dla utalentowanej, ale wciąż bardzo młodej finansistki, ledwie stać ją było na okazyjne wynajęcie mieszkania z ogłoszenia. Doprawdy, jeśli wkrótce nie podejmie jakiejś decyzji odnośnie swego życia zawodowego i nie znajdzie nowej pracy, będzie zmuszona wycofać się do rodzinnego domu w Południowej Karolinie i do końca życia przeżywać gorycz porażki. Ale tego by nie zniosła.

Zacisnąwszy z determinacją zęby, rozpoczęła wspinaczkę po niekończących się, skrzypiących schodach, wiodących do mieszkania 4 B, skąd przez otwarte drzwi dolatywał zapach świeżej farby. Uznała, że jest to zachęcające po tym, co widziała na dole.

Zapukała do drzwi i czekała. Jednak dobywające się z głębi mieszkania odgłosy kucia nie ucichły. Zastukała mocniej i zawołała. Walenie ustało.

— Hej! — usłyszała ochryply, wesoły męski głos. — Zaraz otwieram, złotko.

Złotko? Żywa wyobraźnia Gabrielle natychmiast podsunęła jej obraz pasujący do tego zuchwałego głosu: muskularny, pogwizdujący robotnik budowlany na belce stalowej konstrukcji wznoszącej się nad Piątą Aleją. Gburowaty, wytrzymały na trudy Tarzan. Zdarzało jej się mijać takie typy ze sześć razy dziennie i zawsze miała wtedy „ochotę sprawdzić, czy spod spódnicy nie wystaje jej halka. Kiedy chwilę później mężczyzna

stanał w drzwiach, zaskoczyło ją, że tak dokładnie pasuje do owego obrazu. Ze zdumieniem odkryła również, że w tym przypadku halka była ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślała. Na jego widok po prostu zabrakło jej tchu.

Bez pośpiechu, dokładnie zmierzył ją śmiałym spojrzeniem niebieskich oczu, wprawiając ją tym w zakłopotanie. Po chwili wydał z siebie bezczelny gwizd aprobaty. Falujące jasnobrażowe włosy, z jeszcze jaśniejszymi pasemkami od letniego słońca, pozostawały w uroczym nieładzie. Wytarte, poplamione farbą dżinsy obciskały wąskie biodra i umięśnione uda. Mimo chłodu koszulę miał rozchyloną, pokazując tors, pokryty gęsto brązowymi włosami, układającymi się w prowokacyjnie skierowaną w dół strzałkę. Gabrielle nie wiedziała, czy ma mocniej otulić się futrem, czy też zdjęć je, pozwalając ciału ochłonać z nagłego pożaru. Zdecydowała, że postara się trzymać wzrok wbity w ziemię.

To jednak nie mogło się udać. Mężczyzna zaśmiał się, a jego oczy powiedziały jej, że wszystko zrozumiał.

— A więc — odezwał się rozbawionym głosem — co taka elegancka dama, jak pani, robi w takim miejscu? Odwiedza pani ubogich z misją dobroczynną?

Choć wyczuła w tym pytaniu raczej sarkazm, niż żart, musiała zatrzymać dla siebie odruchową gniewnaripostę. On ma mieszkanie. Jej jest ono potrzebne. To nie były okoliczności, w których mogłaby się rozejrzeć dokoła wyniosłe jak Betty Davis i rzec: „Co za bagno”, a jeszcze mniej celowy wydawał się wykład na temat dobrych manier.

Zamiast tego machnęła gazetą.

— Przyszłam w sprawie mieszkania. Mogę je zobaczyć?

Z szerokim uśmiechem, od którego zrobiły mu się dołki w policzkach, wykonał dworny, zamaszty gest.

— Zapraszam na pokoje.

Gabrielle, zachowując pewną rezerwę, weszła do środka i zaczęła się bacznie przyglądać pustemu wnętrzu. Jednak z trudem mogła notować w pamięci szczegóły mieszkania, gdyż stojący tuż za nią mężczyzna śledził każdy jej ruch. Chodził za nią krok w krok, nie spuszczać z niej oka. Jako że prawdopodobnie nie obawiał się kradzieży, musiała przyjąć, że robi to, by ją speszzyć.

Udało mu się. Nawet całkiem niezłe. Próbowwała być rozsądna i pozbyć się tego uczucia zakłopotania. W całym jej dobrze poukładanym życiu chwilowe wzburzenie zmysłów z powodu mężczyzny o najwyraźniej ograniczonych możliwościach finansowych i aspiracjach było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała. Na miłość boską, przecież to tylko zwykły robot! Członkowie Ligi Młodzieżowej w Charleston umarliby ze śmiechu na wiadomość, że córka senatora Grahama Clayтона dostaje palpacji serca na widok robota.

— Czy może mi pan coś powiedzieć na temat całego budynku? — spytała, obejrzawszy salonik i dwie małe sypialnie. Miała rację, spodziewając się kominka. Co prawda był mały, ale i tak zapowiadał przyjemne, zimowe wieczory. Mniej obiecująco wyglądała natomiast podłoga. Drewno było niezłe, ale pochłapane farbą, pozdzierane, ze śladami kilku pokoleń rozmaitych katastrof domowych. Żeby odzyskać dawną

światłość, parkiet wymagał sporego wysiłku, cyklinowania, a przypuszczalnie także i cudu.

— A co chce pani wiedzieć o tym domu?

— Kiedy ostatnio przeprowadzano tu dezynsekcję i deratyzację?

Wzruszył ramionami.

— Tu zawsze wysypana jest trutka.

Gabrielle uniosła znacząco jasną brew.

— Rozumiem. — Raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem pusty salonik. — W ogłoszeniu było: „umeblowane”.

— Będzie.

— Kiedy?

— Jutro. Może pojutrze. Kiedy uporam się z robotą.

Ten człowiek najwyraźniej nie wiedział, co to rozkład zajęć. Dla kobiety, która czas na załatwianie różnych spraw miała precyzyjnie wyliczony, co do kwadransa, taka nonszalancja oznaczała irytujący brak odpowiedzialności.

— Zatem, kiedy dokładnie mieszkanie będzie gotowe? — nie dawała za wygraną. — Oczekuję, że poda pan jakiś nieprzekraczalny termin.

— A co, klient jest niecierpliwy?

Spojrzała na niego zimno.

— Klient?

— Przecież jest pani pośrednikiem, nie? Jeśli chce pani to mieszkanie kupić, to od razu mówię, że nie jest na sprzedaż. Jeśli ma pani kogoś, kto chce je wynająć, to wolałbym z zainteresowaną osobą rozmawiać osobiście. Przepraszam, ale nie lubię pośredników.

— Nie jestem pośrednikiem. Szukam czegoś dla siebie. Do wynajęcia — dodała na wypadek, gdyby obawiał się, że zamierza kupić tę nieruchomość i wyrzucić służbę, począwszy od niego.

Jednak wyglądało na to, że zamiast uspokoić, wprowadziła go w zdziwienie.

— Czy pani naprawdę chce tu mieszkać?

— Czemu nie? — spytała naiwnie, choć doskonale wiedziała, o co mu chodzi. — To jest mieszkanie, prawda? A ja muszę się gdzieś podziąć.

— Może spróbuje pani na Park Avenue?

— Próbowałam — przyznała ponuro. — Ale cenę wolę tutejszą.

— A więc — powiedział, wykazując więcej niż dotychczas przenikliwości — od damy odwróciło się szczęście.

W jego głosie było trochę życzliwości i tylko odrobina zaciekawienia.

— Chwilowo — wyprostowała się z godnością i starała się zmiażdżyć go wyniosłym spojrzeniem.

Nie zauważyła, żeby dało to jakiś efekt.

— Czy to znaczy, że zwinie pani manatki, jak tylko zbierze pani znów parę dolarów?

Zastanawiała się, czy nie skłamać, ale uznała, że on i tak się na tym pozna. Dostrzegła w jego oczach niepokojący błysk chłodnej rzeczowości.

— Tak — powiedziała w końcu.

— Czemu więc miałbym wynajmować pani to mieszkanie?

— Jestem tu. Mam pieniądze — przynajmniej na pierwszy miesiąc, dodała w myślach.

— To jest Nowy Jork, złotko. Nie jest pani pierwszą osobą, która się tu zjawiała, i nie będzie pani ostatnią:

— Przetrzykujmie mnie pan, żebyk się zgodziła więcej zapłacić?

— Może. Ile pani proponuje?

Jego bezceremonialne spojrzezie sprowadziło rumieńce na zazwyczaj bladą twarz Gabrielle. Otuliła się mocno futrem i skierowała w stronę drzwi. Przez ostatnie kilka miesięcy wyrzekła się niemal wszystkiego, prócz godności osobistej i dumy. Nie miała zamiaru rezygnować z nich teraz.

— Mniejsza o to — rzekła wychodząc. — Nie sądzę, abyśmy doszli do porozumienia.

Dogonił ją, zanim zdążyła dojść do drzwi.

— Przepraszam — powiedział i zabrzmiało to bardzo szczerze. Zaczęła się pilnie przyglądać jego twarzy, jak gdyby była przyszłym inwestorem. Po raz pierwszy jego oczy przybrały wyraz powagi, co wywołało u niej dziwne kłopoty z oddychaniem. Dotknął jej rękawa.

— Proszę, niech pani przyjmie moje przeprosiny. Jeśli chce pani to mieszkanie, jest do pani dyspozycji.

— Dlaczego?

— Byłem nieznośny, ale to już za nami.

Ta nagła życzliwość i skrucha natychmiast wzbudziły jej podejrzliwość. Wilk rzadko przemienia się w baranka w mgnieniu oka. Ten wilk na dodatek w zakłopotaniu



przestępował z nogi na nogę. Gabrielle czekała na jego następny ruch.

— Jednak jest pewna sprawa, o której powinna się pani najpierw dowiedzieć — odezwał się wreszcie.

— O co chodzi?

— O łazienkę.

Mimo woli uśmiechnęła się, słysząc ten pełen powagi ton.

— Ten luksus nie jest mi obcy. Zakładam, że są tutaj wszystkie standardowe wygody.

— Mniej więcej — odrzekł. Zaintrygował ją, gdy przechodząc na drugą stronę pokoju wykonał zapraszający gest ręką. — Proszę tutaj.

Kiedy weszła do wąskiej kuchni z odklejającą się tapetą i pożółkłym linoleum, opadła jej szczęka.

— Spodziewam się, że to służy do flankowania sadzonek — wymamrotała, nie odrywając wzroku od wielkiej, porcelitowej wanny na nóżkach w kształcie szponów, stojącej pośrodku pomieszczenia. Potem spojrzała na swego przewodnika. Śmiała się.

— W żadnym wypadku. To jest bardzo przyzwoita wanna. I bardziej tu potrzebna niż piec.

— Piec? — powtórzyła słabo.

— Mam na myśli gorącą wodę i...

— Już wiem. A gdzie reszta?

— Reszta czego?

— Łazienki.

— Za tymi drzwiami.

Uznawszy, że przyjęcie tej informacji na wiarę nie byłoby zbyt rozsądne, zajrzała przez uchylone drzwi. Na szczęście nie znalazła tam już więcej niespodzianek. Umywalka i muszla z rezerwuarem wydawały się stare, ale funkcjonalne, a całe pomieszczenie — jak się upewniła — było czyste.

Teraz pojawiły się wątpliwości. Co prawda, już ostatecznie pogodziła się z myślą, że jej obecna sytuacja finansowa nie pozwala na zbytki, ale wanna w kuchni?! W tym momencie przypomniała sobie jednak te wszystkie beznadziejne, pełne mankamentów mieszkania, jakie dotąd oglądała. To lokum, mimo jego wszystkich wad, których wcale nie miała zamiaru umniejszać, było zdecydowanie najlepsze.

— Zgoda — powiedziała w końcu, choć niechętnie. — Jakoś przeżyję tę wannę.

— Jest jeszcze jedna sprawa.

Zamarło jej serce. Złowieszczy ton w jego głosie kazał podejrzewać, że czeka ją coś znacznie gorszego niż branie kąpieli pośrodku kuchni.

— Co? — spytała, westchnawszy z rezygnacją.

— Jeśli zależy pani na pośpiechu, może mieć pani do czynienia z sublokatorem.

Uniósłszy do góry brwi, wpatrywała się w niego intensywnie. Ten wyglądający na tak pewnego siebie mężczyzna ponownie wydawał się bardzo zakłopotany.

— Sublokator? To znaczy, że mieszkanie jest już wynajęte? — o dziwo, poczuła się rozczarowana.

— Niezupełnie.

— Więc w końcu jest wynajęte czy nie?

- Ściśle mówiąc, jest obecnie chwilowo zajęte.
- Czy to ma jakiś związek z tym zwiniętym śpiworem,

który widziałam w szafce w jednym z pokoiów?

Skinał głową.

- On należy do mnie.

Oto dopiero prawdziwy problem.

- Kiedy się pan wyprowadza?

— Za parę miesięcy, jak tylko zdołam skończyć te pokoje na dole. Ale wszystko będzie grało. Do tego czasu przecież możemy dzielić mieszkanie. Tu są dwie sypialnie, a ja gotów jestem obiecać, że nie ruszę się ze swojej.

Dramatycznie uderzył się w piersi, po czym posłał jej szeroki, elektryzujący uśmiech. Najwyraźniej miał on być przyjacielski i uspokajający. Mężczyzna nie miał jednak pojęcia, że w tym momencie tętno Gabrielle osiągnęło takie tempo, jakie dotychczas wywoływały w niej tylko sytuacje kryzysowe typu: groźba krachu giełdowego lub gwałtowny spadek wartości dolara. Gdyby w pokoju było jakieś krzesło, opadłaby na nie natychmiast. Wzbraniała się jakoś przed siadaniem na wannie.

- Trudno nazwać to dobrym pomysłem — odrzekła.

Delikatnie powiedziane. To był pomysł okropny, niewykonalny, ani przez chwilę nie zamierzała brać go pod uwagę. — Będę szukać dalej.

- Dokąd pani pójdzie?

- Nie wiem. Przed siebie.

— A tam, gdzie pani mieszkała dotąd, nie może pani zostać?

- Tylko do soboty.

— Nie może się pani na pewien czas wprowadzić do jakichś przyjaciół?

Pomyślała o kilku, którzy nawet jej to proponowali, ale wszyscy oni byli częścią tego ekspansywnego, zamożnego świata, który właśnie opuszczała.

— Nie..

— Nie stać pani na hotel?

Po raz pierwszy usłyszała w jego głosie nutę współczucia.

— Nie.

— Niech więc pani przemyśli moją ofertę. Zanim pani podejmie decyzję, proszę zobaczyć ogród — wyciągnął rękę w zachęcającym geście. Gabrielle zignorowała to, więc wcisnęła dłoń do kieszeni. Afront nie zepsuł jednak jego pogodnego nastroju. Mężczyzna nawet się ożywił:

— Teraz może nie wygląda najlepiej, ale kiedy wiosną rozkwitną tulipany, krokusy i forsycja, będzie wspaniały. Tak przynajmniej mówi mój ojciec, a on zna się na zieleni jak mało kto na Long Island.

Gabrielle śmiała jednak w to wątpić. Znajomość ogrodnictwa wyszała z mlekiem matki. Dom Claytonów w Południowej Karolinie otaczały azalie i róże, a z tyłu kipiał bujny i fantastycznie kolorowy ogród w stylu angielskim, który znajdował się pod jej osobistą pieczęcią.

— Rzucę okiem — powiedziała w końcu. Ale nie sądzę, abym zmieniła zdanie. Nigdy nie miałam sublokatora, nawet kiedy byłam na studiach.

Dyskretnie przemilczała fakt, że w żadnych okolicznościach nie zdarzyło się jej mieszkać razem z

mężczyzną. Tam, skąd pochodziła, było to nadal bardzo źle widziane, a już szczególnie, gdy chodziło o córkę znanego polityka. Bóg świadkiem, że jej stosunki z dawnym narzeczoną były właściwe. Co — jak przyznawała ponuro — stanowiło prawdopodobnie jedną z przyczyn kłopotów. Gdy chodziła z Townsendem Lanem nie kusilo jej nawet, by choć raz się zapomnieć, a cóż dopiero mówić o czymś więcej.

Zeszła ze swoim ewentualnym współmieszkańcem na dół. Minęli wąski korytarz i wyszli na niedużą werandę. Widok, który ukazał się jej oczom, sprowadził na jej usta uśmiech, jaki już dawno tam nie gościł. Do jej serca wślizgnął się promyk słońca.

Na niewielkiej, otoczonej murem przestrzeni rabaty wyznaczone były wzdłuż ogrodzenia. Teraz tłoczyły się tam posadzone bez żadnego planu żółte, pomarańczowe i czerwone chryzantemy, nagietki oraz cynie. Stół i dwa krzesła z kutego żelaza dobrze wyglądały pośrodku tego gąszczu. Cały ogród był zacieniony przez potężny, rosnący po sąsiedzku klon, którego liście nabierały już ognistych barw jesieni. To było urzekające, temu widokowi nie można się było oprzeć.

— Jaki jest czynsz? — spytała w końcu. Być może gdyby skupiła uwagę na finansowym aspekcie całej sprawy, nie drżałaby tak na myśl o tym, że zgodziła się zamieszkać z mężczyzną, którego poznała niespełna godzinę wcześniej. A przecież była to praktyczna decyzja wymuszona przez okoliczności, sposób na zaoszczędzenie pewnej kwoty z tego co jej jeszcze zostało. Czekala na jego odpowiedź, ciekawa, jak to jest, kiedy odpływają ostatnie dolary.

— To jest do uzgodnienia.

— Czy mam podpisać umowę?

— Po co? — spytał. — Już mi pani przecież powiedziała, że nie zawaha się jej zerwać.

Odpowiadało jej to. Uniknie sporu, kiedy przyjdzie czas, żeby się stąd wynieść.

— Więc jesteśmy prawdziwymi sublokatorami? Jeden pokój jest pana, drugi — mój. Tak? — nagle stanęła jej przed oczami wanna. — Musimy omówić zasady korzystania z kuchni — dodała.

Najwidoczniej ten sam wyzywający obraz też skrył się gdzieś w zakątku jego umysłu, bo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Skoro tak pani uważa...

Jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem ogród, po czym wyciągnęła rękę.

— Sądzę, że się rozumiemy, panie...?

Zamknął jej dłoń w swojej, znacznie większej, i trzymał wystarczająco długo, by dała się odczuć różnica między skórą zgrubiałą i ciepłą, a wyziębioną i miękką.

— Reed — powiedział wolno, umyślnie prowokacyjnie, chcąc wyrycić nazwisko w jej pamięci. — Paul Reed.

— Ja jestem Gabrielle Clayton — wyrzuciła z siebie. Słysząc było, że zabrakło jej tchu.

— Gabrielle, ojej. Tyle liter dla tak niewielkiej istotki. Co pani na to, gdybym nazywał panią Gaby?

Czuła, jak traci zimną krew i usłyszała swoją wyniosłą, ciętą odpowiedź:

— Gabrielle to imię w sam raz. A „panna Clayton” brzmi jeszcze lepiej.

— No więc, Gaby, kiedy chce się pani wprowadzić?

Rzuciła mu lodowate spojrzenie. Zapowiadał się dla niej bardzo długi miesiąc. Albo dwa.

— Najszybciej, jak się da...

— Może być piątek? Do tego czasu zdążę przygotować pokój.

Uznała, że skoro już zdecydowała się na tak niebezpieczne rozwiązanie, nie ma sensu zwlekać.

— Znakomicie — odrzekła bez najmniejszego wahania.

— Jeszcze jedno — powiedziała, gdy znalazła się w holu.

— Za to mieszkanie płacimy po połowie.

— To byłoby niesprawiedliwe. Moja obecność będzie dla pani kłopotliwa. Ja wezmę na siebie opłatę za pierwszy miesiąc. Potem pani zapłaci pełną sumę.

Nęciło ją to, ale musiała odmówić. Mieć jakieś zobowiązania względem tego człowieka — to mogło prowadzić tylko do nieporozumień i sporów.

— Pół na pół. Wzruszył ramionami.

— Skoro tak sobie pani życzy...

— Ale to samo dotyczy korzystania ze wspólnych pomieszczeń.

— W porządku.

— I proszę mnie nazywać Gabrielle.

Uśmiechnął się.

— O tym musimy jeszcze podyskutować.

Odprowadził ją do frontowych drzwi i patrzył na nią, gdy zaczęła schodzić ze schodów. Czuła, jak jego wzrok przepala ją na wskroś.

— Życzę miłego tygodnia — powiedział na do widzenia. Mocny ton w jego głosie sprawił, że po jej plecach przebiegł rozkoszny dreszcz, zanim z rozmysłem sobie z niej nie zadrwił: — Gaby.

Paul Reed, jak doszła do wniosku, maszerując w stronę stacji metra, grał jej na nerwach. Była oszołomiona tym, że tak łatwo pogodziła się z myślą o zamieszkaniu z nim, nawet jeśli miało to trwać krótko. Nie była impulsywna. Nawet gdy jej praca na Wall Street wymagała podejmowania ryzyka, decyzje Gabrielle zawsze były dobrze przemyślane, nigdy brawurowe. Więc czemu, u licha, zgodziła się żyć pod jednym dachem z takim człowiekiem jak Paul Reed, człowiekiem, który najwyraźniej przyprawiał ją o zawrót głowy? Wracając już metrem na Manhattan mówiła sobie, że była to chwila słabości w sytuacji, kiedy kończyły się jej pieniądze i wygasła poprzednia umowa o wynajem. Odpowiedzialnością obciążyła również cynie.

Teraz, w podmuchu chłodnego powietrza, oddaliwszy się nieco od Brooklynu, jej umysł się rozjaśniał. Niepewność dręczyła ją aż do bólu brzucha. Nie powinna tego lekceważyć. Musi zadzwonić i unieważnić ich ustalenia. Nie, żaden telefon. Usłyszy w słuchawce jego ochryply głos i zgodzi się na coś jeszcze bardziej absurdalnego. Lepiej się nie demaskować. To stanowiłoby dla niego cenną lekcję pomyślnego załatwiania spraw. A przecież powinien był nalegać na podpisanie umowy.



Powinien był zażądać referencji, zadatku. Być może przystałby na futro z lisa. Gdyby tylko wiedział... To była ostatnia cenna rzecz, jaką miała, i musiałoby mocno ją przycisnąć, żeby zdecydowała się je zastawić, dopóki nie minie zła passa.

Zadowolona ze swojego postanowienia, że zapomni zupełnie o mieszkaniu na Brooklynie i o Paulu Reedzie, wyciągnęła z kieszeni skrawek gazety z zaznaczonymi wybranymi ogłoszeniami i zaczęła przyglądać mu się w nadziei znalezienia innego, bardziej odpowiedniego mieszkania — z wanną na swoim miejscu i bez tak przytłaczającego swoją męskością sublokatora. Jednak zanim metro wjechało na Manhattan, ogarnęło ją przygnębienie. Nie mogła już znieść myśli o dalszych poszukiwaniach. Kamienica z fasadą z piaskowca, która — jak ona — znajdowała się teraz w punkcie zwrotnym swojego życia, zdawała się coraz bardziej ją pociągać. I Paula Reeda, powiedziała sobie, jakoś da się przeżyć.

— Co złego może się zdarzyć? — wymamrotała pod nosem, przekonując siebie samą. W końcu chodzi tylko o miesiąc. Cztery tygodnie. Przecież obracała milionami. Miała do czynienia ze skąpcami i hulakami. Przez te cztery tygodnie wytrzyma wszystko, nawet takiego człowieka, jak Paul Reed. Od poniedziałku zdwoi wysiłki, żeby znaleźć nową pracę. Po miesiącu lub dwu na bocznym torze stanie na nogi i wróci na Manhattan.

Stale miała przed oczami zuchwały, beczelny uśmiech tego Reeda. W metrze nagle zrobiło się gorąco. Wątpliwości powróciły z jeszcze większą siłą.

O wszystkim przesądził stan jej konta. W takiej sytuacji po prostu nie ma się wyboru. Wyglądało na to, że piątek upłynie jej na przeprowadzce. Musi tylko kupić dobry zamek do drzwi swojego pokoju.

No i po co się było tak wygłupiac? Paul po wyjściu Gabrielle ciągle zadawał sobie to pytanie. Pewnie, potrzebuje pieniędzy, jeśli chce odnowić całość na czas i mieć wreszcie dochody z czynszów, ale mógł nalegać, żeby poczekała jeszcze miesiąc z przeprowadzką. Mógł chociażby zaofiarować się, że przeniesie się na dół razem ze swoim śpiworem. Od tygodni przecież żył wśród tego gruzu jak Cygan. Zamiast tego zdołał skłonić ją do zamieszkania razem z nim. Czyżby był masochistą? Czyżby w czasach, kiedy dorastał na Long Island nie poznał różnic klasowych nie do pokonania? Był synem gospodyni, prowadzącej podmiejską rezydencję. Dlatego przez całe życie miał styczność z wytwornym towarzystwem. Kobiety, które spotykał, okazywały się próżne, płytkie i zepsute. W bolesny sposób przekonał się jak bardzo były nieprzystosowane do życia poza swoim ochronnym kloszem.

Trzasnął drzwiami tak mocno, że aż złamał sobie paznokieć. Gabrielle Clayton pasuje do tego miejsca mniej więcej tak, jak brylanty pasują do obskurnej ulicy Bowery. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wytrzyma tu długo, gdzie tam! Spodziewał się, że pewnego rodzaju perwersyjnej satysfakcji dostarczy mu widok jej starań przystosowania się do stylu życia, który z pewnością uznawała za uwłaczający jej godności.

Poza tym widział, jak na niego patrzyła. Jak gdyby był tylko leniwym robotem bez ambicji. Zbyt wielu tak na niego patrzyło. Kiedyś dał jednej z takich osób nauczkę za szybkie osady i powierzchowne wartościowania.

Więc dlaczego Gabrielle Clayton? To pytanie nie dawało mu spokoju. Wykrzywił twarz w ponurym uśmiechu. Odpowiedź byłaby jasna dla każdego, kto dobrze by się jej przyjrzał. Miodowy odcień włosów, smukła sylwetka i lekki południowy akcent czyniły z niej pociągającą mieszaninę sprzeczności. Scarlett O'Hara i wyniosła księżniczka stopiły się w jedno. Gabrielle miała wielkie, niebezpieczne oczy, które każdego mężczyznę mogłyby przywieść na skraj piekła. Każdy zdrowy mężczyzna z wigorem chciałby sprawdzić swoje szanse, chciałby spróbować rozniecić ogień pod tym zimnym pancerzem, chciałby sprowadzić uśmiech na te zmysłowe usta.

Jednak Paul nie miał ochoty się sparzyć.

Rodzice!

Jak, u licha, ma powiedzieć im o tej przewodniczce? W panice próbowała coś wymyślić, słuchając radosnego trajkotu matki o jakiejś popołudniowej herbatce w jednym z szacownych, starych domów, wznoszących się nad Portem Charleston.

— Tak bardzo podoba mi się ta część miasta. Nie wiem, dlaczego twój ojciec nie chce słyszeć o tym, żeby się tam przenieść. Przypuszczam, że to dlatego, że nasz stary dom należy do jego rodziny od pokoleń. Jestem jak najbardziej za kultywowaniem rodzinnych tradycji, ale czy to ma nas pętać? No cóż, jeśli nie chce, to nie. Czy wspomniałam, że był u nas Townsend?

Nie doczekawszy się na odpowiedź Gabrielle, matka naciskała:

- Gabrielle, kochanie, jesteś tam?
- Co?
- Czy coś jest nie tak, kochanie?
- Nie, oczywiście, że nie, mamo. — Nastroiła głos na pogodny, dziarski ton. — Wszystko w porządku. Co mówiłaś o przyjęciu u pani Lane?
- Mówiłam, że odwiedził nas Townsend. Pytał o ciebie — powiedziała z naciskiem.
- To miło.
- Nie jesteś ciekawa, jak on się miewa, kochanie?
- Niespecjalnie.

— Gabrielle!

Wzniosła oczy ku niebu.

— Przepraszam. Oczywiście, chcę wiedzieć, jak się miewa.

— Tęsknisz za nim, kochanie. Jestem tego pewna, mimo że...

— Mimo że co, mamó?

— Cóż, nie miałam zamiaru ci mówić, ale skoro pytasz...

Widuje się z Patricią Henley.

— To miło. Jestem pewna, że ona znacznie bardziej pasuje do Townsenda niż ja. Ona nawet lubi te jego okropne konie.

Słysząc było, że po drugiej stronie telefonicznego kabla ktoś z trudem chwyta powietrze.

— Gabrielle, co się z tobą dzieje? Ta złośliwość jest nie w twoim stylu.

— Nie byłam złośliwa. Townsend jest najszczęśliwszy, gdy gra w polo, o czym doskonale wiesz. Patricia uwielbia konie. Jeździ od piątego roku życia.

— Załatwiliśmy ci lekcje jazdy konnej — odrzekła zimno Elizabeth Clayton głosem pełnym urazy.

— Nie znosiłam ich. Nie zaniebdywałaś mnie, mamó. Ty i ojciec stworzyliście mi możliwość nabrania wszelkich umiejętności, jakie powinna posiadać panienka z dobrego domu. Co poradzę na to, że wolę „Wall Street Journal”?

To była zwykła rodzinna mowatrawa. Jednak doskonale służyła graniu na zwłokę. Teraz w każdej chwili matka mogła zagniewana przerwać rozmowę.

Tchórz! Dręczyła się tym samooskarżeniem.

— Mamo — zaczęła, przerywając serwis wiadomości o Townsendzie. — Mamo, naprawdę muszę już kończyć. Jestem zajęta pakowaniem.

— Pakowaniem? Dokąd jedziesz, kochanie? Chyba nie w żadną daleką podróż? Przyjeżdżasz do domu? — dopytywała się ożywiona. — Och, to cudownie, że cię zobaczymy. Ojciec i ja tak strasznie za tobą tęsknimy. Martwimy się o ciebie, że jesteś w tym okropnym, nie bezpiecznym mieście.

Do tchórzostwa doszło jeszcze poczucie winy.

— Tym razem nie, nie jadę do domu. Ja... — Wyrzucić to z siebie, Gabrielle! — Ja się przeprowadzam.

— O, doprawdy? Najwyższy czas.— Rozczarowanie matki najwyraźniej szybko zostało złagodzone uczuciem ulgi. — Zawsze uważałam, że to twoje mieszkanie było za małe. Kto słyszał, żeby mieszkać w jednym pokoju? Nie obchodzi mnie, że to Park Avenue; to mieszkanie nie jest odpowiednie dla kogoś takiego, jak ty. Przecież szafa w mojej sypialni jest od niego większa.

To była święta prawda. Szafa ta miała za zadanie pomieścić ekskluzywną garderobę Elizabeth Clayton, a między innymi tyle kapeluszy, że wystarczyłoby ich dla wszystkich kobiet, maszerujących w dorocznej Paradzie Wielkanocnej na Piątej Alei. Jednak jej matka wcale nie była próżna. Po prostu potrzebowała tych eleganckich strojów, żeby mieć poczucie bezpieczeństwa w elitarnych kręgach towarzyskich Charleston, z których kiedyś została wykluczona. Gabrielle była przyzwyczajona do zbytku, jako że jej ojciec znajdował w nim upodobanie. Często wyszukiwał preteksty do obdarowywania

swojej niezmiennie pięknej i uwielbiającej go żony. Smucił go fakt, że dawanie podobnych prezentów córce było tylko marnowaniem pieniędzy. Ona wolała kursy menadżerskie i prenumeratę pism dla biznesmenów.

— Nowe mieszkanie jest większe — Gabrielle powiedziała ostrożnie z nadzieją, że ta informacja zaspokoi ciekawość matki. Gdyby ona choćby tylko podejrzewała istnienie kogoś takiego jak Paul Reed, siedziałaby już w najbliższym samolocie do Nowego Jorku, by ochronić pod opiekuńczymi skrzydłami swoje narażone na niebezpieczeństwo pisklę.

— Dwupokojowe — dodała.

— To cudownie! Zatem ojciec i ja odwiedzimy cię wkrótce, skoro masz już teraz pokój dla nas. Opowiedz mi wszystko dokładnie. Gdzie ono jest? Czy w nowym budynku, w jednym z tych drapaczy chmur? Masz pewnie stamtąd cudowny widok na panoramę miasta.

— Porozmawiamy o tym kiedy indziej — odrzekła powściągliwie Gabrielle, już żałując, że się wygadała. Nie mogła przecież wyjaśnić, że drugi pokój będzie zajęty przez kogoś innego, a budynek jest starszy nie tylko od Gabrielle, ale całkiem możliwe, że i od jej matki. Gdyby jeszcze wspomniała, że dom stoi w Brooklynie, wywołałoby to burzę, której nie zdołałaby stawić czoła.

— Trochę czasu zajmie mi urządzanie się. — Mów jak najmniej! — Muszę już kończyć, mamó. Przekaż moje ucałowania tacie. Wkrótce zadzwonię.

— Ależ, kochanie, nie dałaś mi swojego nowego adresu ani telefonu.

— Podam ci je później. Telefon nie jest jeszcze nawet zainstalowany. Do widzenia mamó, pa.

Szybko odłożyła słuchawkę, na wypadek, gdyby matka chciała ją jednak zmusić do zdradzenia jakichś szczegółów. Jej rodzicielka mogłaby oddawać nieocenione usługi wojsku. Miała swoje sposoby na wydobywanie z ludzi najbardziej osobistych sekretów, gdy najmniej się tego spodziewali. Kiedyś, dosłownie w środku rozmowy o pracy domowej Gabrielle z geometrii, wydobyła z córki, że na całonocnej prywatce u Melindy Sue Wainwright byli chłopcy. Gabrielle zawsze zachodziła w głowę, jak jej matka to zrobiła. To zdarzenie nauczyło ją, że jeśli chce zachować dla siebie jakąś tajemnicę, nie może rozmowy z matką przedłużać.

Gabrielle zastanawiała się jednak, czy mogłaby w ogóle rozmowy z nią uniknąć, dopóki epizod brooklyński nie skończył.

W piątkowy wieczór Gabrielle ostatni raz rozejrzała się po swojej umeblowanej ze smakiem kawalerce na Park Avenue. Wiedziała, że będzie jej brakować grubej, szarej wykładziny, stołu jadalnego ze szklanym blatem, niemiłosiernie drogiej rozkładanej, skórzanej kanapy, wreszcie mahoniowej konsoli z radiem stereo, telewizorem, magnetowidem i odtwarzaczem płyt kompaktowych. A nawet tego okropnego współczesnego sztychu z korytarzyka.

Wynajęła to mieszkanie u szczytu swojej zbyt krótkiej, niestety, kariery na Wall Street, w czasach, kiedy sukces wprowadził ją w dumę, że potrafiła wyrwać się spod opiekuńczych



skrzydeł rodziny. Gdy rodzice ujrzeli jej pierwsze mieszkanie na Manhattanie, też kawalerkę, tylko w gorzej usytuowanym domu, błagali ją, żeby wróciła do Charleston. Zwracali jej uwagę, że powinna mieszkać stosownie do swojej pozycji społecznej. Do czego to podobne, żeby jadała obiad usadowiona na kanapie, i żeby talerz stał na stoliku do kawy, który ledwo sięga jej do kolan. A już stanowczo nie powinna na tej kanapie spać. Bywały noce, że Gabrielle nie mogła znaleźć sobie miejsca na cienkim materacu, który kupiła na ich prośbę.

Gdyby wróciła, oczekiwaliby od niej, że wyjdzie za tego nudnego, sztywnego Townsenda Lane'a, który — tak przynajmniej twierdził jej ojciec — miał w życiu zostać kimś. Byli rozczarowani, kiedy odmówiła wyznaczenia daty ślubu. Szczerze wątpiła, czy to w ogóle zrobiło na nim jakiegokolwiek wrażenie. Zazwyczaj ledwo zauważał jej obecność. Przyjął zerwanie zaręczyn z właściwą sobie chłodną obojętnością i udał się do Palm Beach, aby zagrać w polo z księciem Karolem.

Jej rodzice, oprócz tego, że uważali zerwanie z Townsendem za głupotę, bardzo źle przyjęli ambicje zawodowe Gabrielle. Kobiety w rodzie Claytonów miały majątek dziedziczyć — jak przemiłe, ale niezbyt mądre siostry ojca — lub wychodzić zań, jak matka. Nikt nie oczekiwał od nich, że same go zdobędą. Swoim postępowaniem przyniosła im wstyd, najpierw pracą w firmie maklerskiej w Charleston, potem — przeprowadzając się do Nowego Jorku, dokąd uciekła przed ich pełnymi potępienia i zażenowania spojrzeniami.

Po tym, jak narobili straszno szumu z powodu jej wyjazdu, przyrzekła sobie, że będzie całkowicie niezależna.

Nawet na samym początku pobytu w Nowym Jorku odrzucała wszelkie ich propozycje pomocy finansowej. Przetrwiała jeden krach giełdowy po to, by właśnie przed kilkoma tygodniami stracić pracę z powodu będącej jego skutkiem redukcji. Niestety, w podobnych tarapatach było mnóstwo innych maklerów i finansistów, którzy bili się o tych kilka wakatów, jakie zostały jeszcze na rynku pracy. Jej oszczędności topniały niebezpiecznie. Mimo to wiedziała, że nie może pojechać do domu. Zagłaskaliby ją na śmierć. Wystarczyłoby dziesięć minut i znowu byłaby sześćioletnią dziewczynką, a nie opanowaną, wykształconą dwudziestoseściolatka.

Przez interkom połączyła się z portierem i poprosiła go o przywołanie taksówki. To była rozrzutność, na którą właściwie nie mogła sobie pozwolić, jednak nie miała zamiaru sama taszczyć swojego dobytku i jechać do Brooklynu metrem. Poza tym musiałaby zrobić co najmniej pięć kursów. Dwie takie podróże to też byłoby za dużo. W końcu nabrała przekonania, że taksówka jest bardziej opłacalna.

Na dole pożegnała starszawego portiera, który długo odprowadzał ją wzrokiem. Miał sposób bycia dobrze wyćwiczonego lokaja, powściągliwego, w każdym calu poprawnego co nie przeszkadzało mu niekiedy pozwalać sobie na okazywanie swoich sentymentów.

— Proszę dbać o siebie panienko — rzekł, otwierając jej drzwi taksówki; wcześniej pomógł już kierowcy załadować bagażnik i tylne siedzenie torbami i pudełkami. — Może czasem nas panienka odwiedzi?

— Dziękuję, Robercie, Kiedyś na pewno przyjadę. A Robert niech nie wywodzi na dwór w deszczowe dni. Nie chce Robert chyba, żeby znów odezwał się artretyzm. Następnym razem, gdy się tu pojawię, mam nadzieję, że zobaczę zdjęcie tego nowego wnuka Roberta.

Jego wyblakłe, błękitne oczy zabłysły.

— Z pewnością do tego czasu zgromadzę cały ich album — powiedział. — Do zobaczenia, panienko.

— Do widzenia, Robercie.

Gdy taksówka ruszyła, Gabrielle poczuła nieoczekiwanie toczącą się po policzku łzę. Otarła ją i długo patrzyła za siebie, dopóki wracający do budynku Robert nie zniknął jej z pola widzenia.

Szczęśliwie taksówkarz, tęgi mężczyzna w wieku jej ojca, nie był rozmowny. Tym samym pozwolił jej snuć rozmyślania na temat zmiennych kolei ludzkiego losu. Znienacka ogarnęła ją rozdzierająca tęsknota. Kierowca, Mort Feinstein jak informowała plakietka umieszczona na drzwiczkach schowka, na wprost siedzenia pasażera, raz po raz posyłał jej spojrzenie. Gabrielle dostrzegła na jego twarzy rosnące zaniepokojenie, więc zaczęła unikać jego wzroku.

Kiedy byli już blisko, taksówkarz nie wytrzymał. Naciskając na hamulec przed wskazanym domem, obrzucił ją pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

— Tu nie jest bezpiecznie — zawyrokował.

— Nigdzie w tym mieście nie jest bezpiecznie. Będę się dobrze zamykać.

— Będzie pani ostrożna? Nie powinna pani pokazywać się na tych ulicach. Niech no tylko pani sama się wokół rozejrzy.

— Proszę, niech mi pan nie prawi kazań. Natomiast liczę na pomoc w wypakowaniu moich rzeczy.

— Jest z pani sympatyczna dziewczyna. Pewnie z dobrej rodziny. Co sobie pomyślą rodzice, kiedy to zobaczą?

— Nie zobaczą.

— Wie pani, co mam na myśli. A w ogóle, to pani chyba chce doprowadzić tatusia do zawału. Dostanie go, jak się dowie, że mieszka pani w okolicy, gdzie strach wychodzić nawet w ciągu dnia.

— Nie jest tak źle — odrzekła, wychodząc z samochodu i zamykając z trzaskiem drzwi. Potem zaczęła z tylnego siedzenia wnosić rzeczy i ustawiać je w stos na chodniku. Kierowca, nadal kręcąc z niedowierzaniem głową, zabrał się za wyjmowanie z bagażnika walizek.

— Proszę tu zostać — powiedział. Wniosę to do środka. Które piętro?

— Trzecie.

Przewrócił oczami.

— Pomogę — zaofiarowała się.

— A kto będzie tego wszystkiego pilnował? Proszę zostać.

W tym momencie w drzwiach domu stanął Paul. Miał na sobie te same wytarte, obcisle dżinsy, co poprzednio, ale koszula tym razem była zapięta — albo na cześć jej przyjazdu, albo z powodu przejmującego zimna. Gdy posłał jej łagodny,

zniewalający uśmiech, na chwilę zapragnęła, żeby był jej kochankiem, żeby łączył ich jakiś szaleńczy, ognisty romans.

Paul bez słowa wyjął bagaże z rąk taksówkarza. Ten, przyjrawszy mu się uważnie, skinął głową na znak aprobaty.

— Może będzie dobrze — powiedział do Gabrielle.

— O czym on mówił? — spytał Paul, kiedy taksówka odjechała, a oni zdołali już wtaszczyć wszystkie rzeczy na trzecie piętro.

— Był zdania, że nie powinnam się tu przenosić.

Paul otworzył usta. Odezwała się pierwsza.

— Nie chciałabym już wracać do tego tematu.

— Dobrze — otworzył nogą drzwi i usunął się na bok, czekając, aż wejdzie. Przywitał ją totalny chaos.

W każdym razie miała nadzieję, że to bałagan, a nie jego koncepcja umeblowania mieszkania.

W saloniku do ściany przysunięta była kanapa z niebezpiecznym wklęsnięciem pośrodku. Centralny punkt pokoju zajmowały ustawione niedbale dwa rozlatujące się krzesła. Trudno było dostrzec w tym wszystkim jakąkolwiek harmonię. W całej tej nieprawdopodobnej kompozycji uwagę zwracała skrzynka po pomarańczach, na której stały sobie po prostu nagietki wetknięte do słoika po majonezie. Jako gest na powitanie, było to miłe. Jako dekoracja — przerażające. Z trudem zbierała odwagę, żeby zajrzeć do innych pomieszczeń. W końcu wyprostowała ramiona i zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku korytarza.

W każdej sypialni znajdowało się podwójne łóżko — materace były tak zapadnięte, że ze zgrozą pomyślała o swoim

křęgosłupie. W obu pokojach straszły teŝ komódki z czterema szufladami. Na kaŝdej — obowiázkowy słoik z nagietkami. Przynajmniej jakaś konsekwencja, pomyślała wzdychając.

Wybrała pokój, w którym narzuta na łóŝku wydała jej się nieco mniej paskudna; to cudo z przerzedzonymi frędzelkami zrobione było z różowego kordonka.

Właściwie przydałyby się dwie komódki i dwie szafy, pomyślała. Nie odziedzyczyła wprawdzie po matce zachłannej natury, jednak miała zazwyczaj więcej niŝ dwie sukienki. Może Paul mógłby trzymać swoje ubrania na dole.

Kiedy w pokoju zgromadzone zostały juŝ wszystkie większe bagaŝe, rzekła do Paula:

— A teraz proszę o klucze. Zaczę się rozpakowywać, a pan może wrócić do swoich zajęć.

Włożył jej klucze do ręki, jednak nadal zbierał z korytarza jakieś jej pakunki.

— Naprawdę dziękuję, ale z resztą dam sobie radę — protestowała.

— To dla mnie drobiazg, a dopóki nie usuniemy tych rzeczy, będziemy się stale o nie potykać.

— Nie czeka na pana na dole praca?

— Nie dzisiaj. Dziś dałem sobie dzień wolnego, ŝeby móc odpowiednio panią powitać.

Gabrielle podnosiła właśnie z podłogi pudełko z naczyniami, kiedy dotarły do niej te wypowiedziane półgłosem, prowokacyjnie, słowa. Paczka wypadła jej z rąk. Nie wyglądała na zbytньо przejętą odgłosem tłuczonej porcelany.

— Mnie powitać?

— Tak — krzyknął przez ramię. — Cieszę się, że podoba lic pani różowy pokój. Byłem tego pewien. Do tego stopnia, że swoje manatki złożyłem już wcześniej w drugiej sypialni.

— Dlaczego chciał mnie pan powitać? — pytała, przypatrując mu się podejrzliwie. — Zawarliśmy pewne porozumienie. To wszystko. Pan jest niezależny i ja jestem niezależna.

— Czy to znaczy, że nie ma pani ochoty na lunch? — odparł z uśmiechem.

Zanim zdążyła kategorycznie odmówić, jej brzuch wydał z siebie przeciągły pomruk.

— Rozumiem. Świetnie. Lunch będzie pani smakować. A przy okazji omówimy szczegóły umowy i naradzimy się w sprawie korzystania z kuchni.

— Proszę bardzo.

Na blacie w kuchni stały oczywiście nagietki, a ponadto otwarta butelka wina. Na kuchence smażył się omlet, a z piekarnika dolatywał zapach rozgrzanego, francuskiego chleba. Przełknęła ślinę. Próbowwała nie zwracać uwagi na odłóżką od ściany tapetę.

— Czy mogę w czymś pomóc?

— Nie. Całkowicie panuję nad sytuacją, chyba że zechce pani sobie nalać wina.

— Jasne. Gdzie jest szkło?

— Tam — pokazał głową szafkę po lewej stronie.

Znalazła cztery słoiki po dżemie — jeszcze z etykietkami — i stosik plastikowych kubków. No cóż, czemu nie? Nie zmieni

to smaku wina. Wybrała dwa jednakowe słoiki i — nalawszy do nich trunek — wręczyła jeden Paulowi.

— Wzniesiemy toast? — spytał, łypiąc na nią okiem.

— Za co?

— Za sublokatorów. — Pod jego spojrzeniem czuła, że jej policzki spłonęły rumieńcem. Serce zatrzepotało nieśmiało. — I przyjaciół.

Zanim zdążyła zaprotestować, stuknął słoikiem o słoik i pociągnął łyk.

— Nie to, co francuskie, ale też niezłe.

Gabrielle zastanawiała się, jak na to zareagować, w końcu zrewanżowała się:

— Osobiście wolę wina kalifornijskie.

Wyjęła szybko z kredensu dwa talerze, oczywiście każdy z innej parafii, i odwróciła się, żeby nakryć stół... Tylko, że takowego nie było.

— Gdzie...?

— Zjemy w saloniku, chyba że zechce pani wynieść lunch na dwór. Myślę, że można dziś wyjść do ogrodu, trzeba się tylko ciepło ubrać. Słońce akurat świeci od dobrej strony.

Ogród. Znakomicie. Na myśl o tym uśmiechnęła się.

— Zatem chodźmy.

Obładowana zeszła na dół. Po kilku minutach Paul zniósł dymiące jedzenie. Kiedy uporali się z serem, omletami z grzybami, całym bochenkiem francuskiego chlebka i miską winogron, Paul zsunął się na krzesło, wyciągnął przed sobą potężne nogi i popijając wino nie spuszczał z Gabrielle wzroku.



— Powinna pani częściej przebywać na świeżym powietrzu — rzekł w końcu. — Jest pani zbyt blada.

— Nie słyszał pan? Słońce wcale nie jest dobre dla skóry.

— To niech się pani chroni przed ostrym słońcem, umiar przede wszystkim. Samo powietrze zaróżowi policzki. Mogłaby pani też trochę przybrać na wadze. Pani się chyba morzyła głodem.

— Nie, nie morzyłam się głodem. Dziękuję za pańską troskę, ale moja figura to nie pana sprawa.

— Po prostu zwracam na takie rzeczy uwagę.

— Nie musi pan. W gruncie rzeczy wolałabym, żeby pan tego nie robił. Pamięta pan nasz układ?

— Nasz układ jest taki, że w nocy siedzę w swoim pokoju. Nie było natomiast mowy o żadnych ograniczeniach moich poczynań w ciągu dnia..

— I w ten sposób doszliśmy do bardzo istotnej kwestii. Musimy ustalić zasady korzystania z kuchni.

— Żadnych zasad — odpowiedź była tylko z pozoru łagodna i żartobliwa. Wyczuła w niej cień uporu.

— Musimy to zrobić, jeśli mamy żyć zgodnie — odrzekła stanowczo. — Nie może pan przecież wparować do kuchni, kiedy ja... — nie mogła się zdobyć na dokończenie zdania.

— Kiedy będzie pani przygotowywać śniadanie? — podrzucił z uśmiechem.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Nie, do diabła. Kiedy będę się kąpać. — Usiłowała przybrać poważny ton. — A więc, chyba najrozsądniej będzie, jeśli ja będę korzystać z kuchni rano, przed wyjściem na

poszukiwanie pracy. Natomiast pan prawdopodobnie lubi brać kąpiel pod koniec dnia. To chyba dobre rozwiązanie?

Pokręcił głową.

- O co chodzi?
- Kąpię się dwa razy dziennie. Rano i wieczorem.
- Dlaczego?
- Takie przyzwyczajenie.
- Nie może pan z niego zrezygnować?
- Dwa razy dziennie.

Trudno się spierać z czyścioszkiem.

— No cóż, dobrze. Niech pan sobie bierze tę swoją poranną kąpiel. Chciałabym być pewna, że zostanie dla mnie trochę gorącej wody i że do wpół do ósmej nie będzie już pana w kuchni.

- O wpół do ósmej zazwyczaj jem śniadanie.
- Gdzie? W wannie?
- Przy blacie, na stojąco. Tosty, zupa mleczna, jajka i

kawa.

— To niezdrowo. Powinien pan siedzieć, żeby prawidłowo strawić jedzenie. Jednym słowem, powinien pan jeść w saloniku.

- Ale ja zawsze...
- Jeśli upiera się pan przy porannej kąpeli, musi się

pan zgodzić na śniadanie w dużym pokoju.

- To szantaż — poskarżył się.
- To kompromis — burknęła.

Uśmiechnął się.

- W porządku. Popatrzyła na niego nieufnie.

— Zgadza się pan?  
— Już to powiedziałem, prawda? Kto będzie zmywał naczynia.

— Każdy będzie zmywał po sobie.

— To znaczy, że będę musiał wrócić do kuchni, kiedy pani...

O, Boże przenajświętszy!

— Niech będzie — rzuciła gniewnie. — Niech pan zostawia naczynia. Zajmę się nimi.

— Co chce pani, żebym robił w zamian?

— Nic.

— Będę przygotowywać lunch dla nas obojga — zignorował jej warknięcie.

— Nie będę tu jadała lunchu.

— Może go pani ze sobą zabierać.

— Wolę jeść w restauracji.

Przechylił chytrze głowę.

— A stać panią na to?

— Nie — przyznała niechętnie.

— Dobrze. Więc co pani bardziej lubi, masło orzechowe

Czy tuńczyka?

— Jogurt.

— Na kanapce?

Spokojnie, Gabrielle. Spokojnie!

— Nie. W kubeczku. Przyniosę sobie kilka ze sklepu.

— Nie powinniśmy iść do sklepu razem? Mam na myśli większe zakupy. Oboje zaoszczędzilibyśmy wspólnie kupując żywność. Nie mam racji?

Brzmiało to rozsądnie.

— Dobrze. Kiedy wejdziemy na górę, sporządzimy listę.

— A komu potrzebna lista? Po prostu pójdziemy i weźmiemy to, co się nam spodoba.

— Ależ to niepraktyczne i kosztowne. W końcu opuścimy sklep obładowani czymś, co wcale nie będzie nam potrzebne, a zapomnimy o podstawowych rzeczach.

Popatrzył na nią z powagą.

— Powinna się pani odprężyć. Czy w każdej życiowej sprawie układa sobie pani takie listy?

— Nie w każdej — odparła chłodno. Był jednak bardzo blisko prawdy. Nie lubiła marnować czasu.

— To dobry sposób, żeby po drodze zgubić coś rzeczywiście ważnego.

— Mnie ten system odpowiada.

Wzruszył ramionami.

— Skoro tak... Jest jeszcze jedna sprawa, o której dotąd nie mówiliśmy.

— Jaka?

— Goście. Co będzie, jeśli ktoś z nas będzie chciał kogoś zaprosić?

— Chodzi panu o randki? — przeraziła się trochę; nie pomyślała o tym wcześniej. A mogła się przecież domyślać, że taki mężczyzna jak Paul często spotyka się z kobietami. Trudno zaś przypuszczać, że odprowadza panienki do domu i na progu cmoka niewinnie w policzek. Myśl o tym zupełnie zbiła ją z tropu. Dostrzegła jego rozbawienie.

— Tak, o randki — odpowiedział półgłosem.

— Nie mógłby pan poczekać, aż przeniesie się pan do mieszkania na dole? — spytała naburmuszona.

— Jestem gotów iść na pewne kompromisy, ale dajmy już sobie z tym spokój. Pani się nigdy z nikim nie umawia?

— Oczywiście, że tak, ale przez tych kilka tygodni jakoś przeżyję spotkania w restauracji.

— A potem?

— Co potem?

— Po kolacji?

— Każde w swoją stronę.

— To brzmi rozsądnie. — Powiedział to, jakby ogłaszał wyrok śmierci. Popatrzył na nią znacząco. — Ja nie jestem tak rozsądny.

— Cóż, jeśli nie będzie pan już w stanie dłużej powstrzymać swych męskich hormonów, proszę dać znać, to postaram się jakoś zorganizować sobie wieczór poza domem.

— Noc — poprawił ją.

Noc! Wszystko się w niej zagotowało z oburzenia.

— Na to niech pan nie liczy.

— Wcale nie liczę — rzekł beztrosko. — Zrobi pani, co będzie pani chciała.

— Tak właśnie myślę.

Dlaczego nagle poczuła się tak zagubiona i samotna? Przecież zawsze lubiła być sama. Doskonale umiała się sobą zająć. Miała spory zbiór płyt kompaktowych i taśm, kasety magnetowidowe z ulubionymi filmami, wreszcie stosy nie przeczytanych książek. Niech sobie Paul Reed idzie dziś na randkę. Proszę bardzo — każdego wieczora. Dla niej to jeszcze

lepiej. Będzie miała całe mieszkanie dla siebie... zanim on nie wróci z którąś ze swoich panienek.

Wstała gwałtownie i zaczęła zbierać ze stołu nakrycia.

— Coś nie w porządku? — spytał niewinnie.

— Nie rozumiem, co mogłoby być nie w porządku?

— Wygląda pani na przygnębioną. Trzasnęła piramidą nakryć o stół.

— Nie jestem przygnębiona! Nic mi nie jest. Teraz, jeśli pan pozwoli, idę na górę, żeby się rozpakować.

Postąpiła kilka kroków, po czym odwróciła się.

— Dziękuję za lunch — rzekła uprzejmie. Uśmiechnął się. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

— Tak więc powitanie mamy już za sobą — powiedział łagodnie.

Nie posiadała się ze złości, kiedy wchodząc na schody usłyszała jego przytłumiony śmiech. Zapowiadał się najdłuższy miesiąc jej życia.

Odgłosy dochodzące z pokoju Gabrielle nie dawały Paulowi zasnąć. Wszystko wskazywało na to, że wzięła go za słowo i już pierwszej nocy sprowadziła sobie faceta. Śmiało sobie poczyła. Hipokrytka. A jak się oburzała, kiedy mowa była o randkach.

Chcąc jej zejść z oczu, czego sobie najwyraźniej życzyła, resztę dnia spędził poza domem. Miał nadzieję, że kiedy wróci, ona już się zainstaluje, a jego szalejące hormony wreszcie się uspokoją. Najpierw, stwierdziwszy, że już się zamknęła w swoim pokoju, odetchnął z ulgą. Ucieszył się, że jego libido nie będzie poddane próbie. Później jednak, kiedy już zdążył zdjąć koszulę, dobiegła go dyskretna muzyka i przytłumiony, poufały szept. Zabolało go to.

Uciekł do kuchni, sięgnął po piwo i próbował sobie wmówić, że nic go to nie obchodzi. Gabrielle Clayton to sublokatorka, źródło dochodu. Tylko tyle. Nic mu do tego, co ona robi wieczorami. To nawet dobrze, że już pierwszego dnia okazało się, jaki to typ kobiety. Powinien iść do łóżka i zapomnieć o wszystkim.

Akurat!

Wpatrywał się w sufit, a jego rozgorączkowana wyobraźnia nie dawała mu spokoju. Włączył radio i od razu natknął się na stację nadającą kameralną, nastrojową muzykę... w sam raz na miłosną noc. Nie mogą grać kołysanek? Zmienił falę i znalazł stację z muzyką poważną. Dźwięki były łagodne, romantyczne, ale przynajmniej bez słów. Zamknął oczy i przywołał wizję fal

uderzających monotonnie o brzeg, aż wreszcie poczuł, że napięcie powoli opuszcza jego ciało.

Kiedy wreszcie zaczął zapadać w sen, poderwał go dobiegający z sąsiedniego pokoju odgłos rytmicznych uderzeń. Jęknął i nakrył głowę poduszką. Jednak nic to nie dało — nadal słyszał muzykę i inne, znacznie bardziej dokuczliwe dźwięki.

Co ona tam u licha robi? Mniejsza o to. Dobrze wiedział co. Doskonale mógł to sobie wyobrazić: jej odsłonięte długie, gładkie nogi, rozsypane na łóżku złote włosy, wiotkie, niecierpliwe ciało...

Stęknął i zaczął się zastanawiać, czy nie wypić drugiego piwa. W tym tempie wystarczy jej tydzień, żeby wpędzić go w alkoholizm.

Sam jest wszystkiemu winien. Teraz nie może zrobić absolutnie nic, chyba że ma ochotę wyjść na wścibskiego, zazdrosnego głupca. Te myśli bynajmniej nie poprawiły mu samopoczucia ani nie ukoiliły nerwów. Nie wyobrażał sobie, jak mógłby znieść całą noc takich katuszy. Wskoczył więc z łóżka, naciągnął pospiesznie spodenki gimnastyczne i — ryzykując upokorzenie — załomotał do drzwi Gabrielle. Działał szybko, żeby nie mieć czasu na zastanawianie się nad konsekwencjami.

— Proszę o ciszę — krzyknął i zdecydowanym krokiem wycofał się pod drzwi swojego pokoju.

Z prędkością zadziwiającą, jak na osobę pochłoniętą tak pasjonującą działalnością, znalazła się przy drzwiach, otworzyła je zamasyście i wysunęła się na korytarz.



Tego się nie spodziewał. Stał w miejscu i oniemiał, z bijącym sercem, przyglądał się jej. Twarz miała zaczerwienioną, a włosy w nieładzie. Dyszała ciężko. Całe jego ciało naprężyło się w natychmiastowym odzwie. Pukając do jej drzwi popełnił jeden z dwóch największych błędów swego życia. Gorszy był ten pierwszy: pomysł zamieszkania z nią pod jednym dachem. Dźwięki, jakie dochodziły do jego uszu, były torturą, a już wyraziste świadectwo wzburzenia jej zmysłów stanowiło po prostu śmiertelny cios.

— Przepraszam — powiedziała ledwo chwyając oddech.

— Nie przypuszczałam, że może mnie pan słyszeć. Nawet nie zauważyłam, kiedy pan przyszedł do domu.

— Wcale mnie to nie dziwi.

Najwyraźniej ta złośliwa uwaga nie trafiła do niej. Wciąż patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami niewiniątka.

— Nie mogłam zasnąć — tłumaczyła się — więc na chwilę włączyłam radio, ale to nie pomogło. Nagle uprzytomniłam sobie, jak bardzo ostatnio było mi brak aerobiku, więc skoro i tak nie mogłam zasnąć, postanowiłam zrobić kilka ćwiczeń. Bardzo mi przykro, że pana obudziłam.

Kiedy wreszcie dotarł do niego sens tego wyjaśnienia, rozprężył się i odetchnął z ulgą.

— Aerobik? — rzekł z nadzieją, że nie ma miny aż tak głupiej, jak mu się wydawało. — To właśnie pani robiła?

— Oczywiście. A pan co myślał? — Jej rozwarłe szeroko oczy nagle zwęziły się w szparki z rozbawienia. Z trudem stłumiła chichot. — Przecież chyba nie...

Przywołał na twarz wyraz oburzenia.

— Ależ tak! Mam rację? Myślał pan, że jestem z kimś — zaczęła się śmiać. Po raz pierwszy autentycznie, szczerze ujawniła przy nim swoje emocje. To był cudownie dźwięczny śmiech. Łypnęła na niego i rozchichotała się na nowo.

— No dobrze — mruknął. — Myliłem się. Proszę wracać do łóżka.

Z trudem powstrzymała kolejny wybuch śmiechu.

— Mówiłam już panu. Nie mogę zasnąć.

— Więc trzeba liczyć barany.

— To nic nie daje.

— No to proszę spróbować wymienić sobie po cichu wszystkie stany i ich stolice.

— Chcę spać, a nie ćwiczyć pamięć. Jeśli zapomnę choć jedną nazwę, będę miała resztę nocy z głowy.

— Jednak upieram się, że aerobik nie pomoże. Teraz pewnie pani serce bije zbyt szybko, więc minie sporo czasu, zanim się uspokoi. Niech pani napije się ciepłego mleka.

— Przecież nie mamy mleka. Nie poszliśmy dziś do sklepu — uśmiechnęła się do niego kusząco. — Skoro i pan już nie śpi, możemy zagrać w karty.

— Pewnie w brydża?

— W pokera.

Wahał się. Gra w pokera w środku nocy z na wpół ubraną kobietą mogłaby mieć pewien urok. Zbyt dużo uroku. Gdyby miał choć odrobinę rozsądku, wyszedłby po te przeklęte mleko.

— A ma pani karty?

— Oczywiście — powiedziała, sięgając od razu do właściwego pudełka, bowiem do wszystkich pakunków poprzczipiane były kartki z opisem zawartości.

— Taka systematyczność jest niezgodna z wszelkimi zasadami prawdopodobieństwa. Podczas przeprowadzki pewne rzeczy po prostu muszą się gdzieś zapodziać.

— Gdzie to jest napisane?

— To jest prawo natury lub czegoś w tym rodzaju. — Zaprowadził ją do saloniku i wskazał ręką na skrzynkę po pomarańczach. — Pani rozdaje. Idę po piwo. Przynieść dla pani?

— Piwo? To brzmi niezłe.

Zdziwiła go tą odpowiedzią, ale nie skomentował jej. Nie rzekł też słowa, kiedy Gabrielle ujawniła swój wyjątkowy talent do gry: wiedziała doskonale, kiedy zatrzymywać karty, a kiedy je składać. Gdy złożyła po raz piąty lub szósty z rzędu, Paul się załamał.

— Dlaczego nie zagra pani żadnej partii do końca?

— Zawsze lepiej wiedzieć, kiedy się w porę wycofać, żeby mniej stracić.

— Nie gramy przecież o czynsz. Do diabła, nie gramy nawet o zużytą zapałkę.

— To przyzwyczajenie: grać, żeby wygrać. Gdy się tę zasadę łamie, można mieć potem kłopoty.

— Kto nauczył panią tej mądrości?

— Mój ojciec. Zaprzysięga się, że właśnie w karty zdobył swój pierwszy milion.

— Swój pierwszy milion? — powtórzył chłodno Paul.

— A właściwie, ile ma ich teraz?

Gabrielle wzruszyła ramionami i pociągnęła kolejny łyk piwa.

— Dziesięć. Dwadzieścia. Nie wiem. Ojciec jest zdania, że kobietom takie informacje nie są potrzebne do szczęścia.

— Skoro pani ojciec ma tyle pieniędzy, czemu pani tu zamieszkała? — Paul był zupełnie zdezorientowany. Wiedział, że Gabrielle to dziewczyna z klasą, która do niedawna miała trochę forsy, ale nie miał pojęcia, że wchodzi w grę aż takie pieniądze.

— Ponieważ ja jestem niemal kompletnie splukana — wyjaśniła cierpliwie.

— Ale pani ojciec...

Zacisnęła usta, lecz zaraz potem ziewnęła i cały efekt przysł.

— To jego pieniądze — odparła, tasując karty.

Paul w końcu zorientował się, że chodzi tu o poczucie dumy.

— Ojciec nie wie, że jest pani bez grosza, prawda? Kiedy się pani spodziewa następnego przelewu z konta powierniczego?

— Jakiego konta powierniczego? — położyła przed nim talię. — Proszę przełożyć.

Zaskoczony, zrobił, co kazała. Więc nie ma takiego konta, pomyślał, kiedy rozdawała karty. A mimo to nie wygląda, żeby miała do rodziny jakieś pretensje. Z jej tonu wynikało, że darzy ojca miłością. Cytowała go nie z ironią, ale z szacunkiem. Nie

zamierzał jednak teraz wnikać w zawiloci jej stosunków rodzinnych.

Rozegrali jeszcze kilka partii, po czym Paul poszedł po następne piwo. Kiedy wrócił, siedziała na podłodze z podwiniętymi nogami i głową spoczywającą na skrzynce.

— Gaby?

Spojrzenie miała senne, na ustach błąkał się uśmiech. Natychmiast zapomniał o pokerze i o jej tajemniczych układach z rodziną. Starał się pogodzić z myślą, że natychmiastowa reakcja jego zmysłów jest czymś jak najbardziej naturalnym. Nie doszedł jeszcze w pełni do siebie po tym, co się z nim działo, gdy docierały do niego te hałasy z jej pokoju. Powtarzał sobie niezmiennie, że u Gabrielle Clayton powinna go interesować tylko jej wypłacalność.

Popelniał błąd zanosząc ją do sypialni. Nie miała nic przeciwko temu. Skuliła się i przywarła policzkiem do jego ramienia. Pachniała jak jakiś egzotyczny kwiat. Miał położyć ją tylko na łóżku, po czym jak najszybciej uciec. Ale gdy już ostrożnie ułożył ją w pościeli, nie mógł się ruszyć — patrzył na nią i odczuwał nieznaczny ucisk w dołku. Ta kobieta ani nie jest zimna, ani nie zachowuje się z rezerwą. Nie jest też snobką. To słodka, delikatna, pociągająca istotka. Powinien trzymać się od niej z daleka, i to od zaraz.

Sąsiednia sypialnia nie znajdowała się jednak wystarczająco daleko. Gaby mogła sobie spokojnie spać we własnym łóżku, ale i tak swoją obecnością wypełniała jego marzenia. Paul nagle poczuł się straszliwie samotny, a ponadto nie dawały mu spokoju wspomnienia.

Do diabła, zaklął w duchu, po raz drugi tej nocy wpatrując się w sufit. Wiedział, że proponując jej wspólne mieszkanie wyzywał los. Miał nawet nadzieję, że stosunki między nimi okażą się podniecające. Ale w żadnym razie nie spodziewał się po sobie takich czułych, opiekuńczych odruchów. Wręcz przeciwnie. Był absolutnie pewien, że codzienne dawki pogardy, jakimi go będzie karmić, podsycą jego przyrodzoną niechęć do kobiet, które uważają się za zbyt dobre dla przeciętnych mężczyzn. Tymczasem nie minęła nawet doba jej pobytu w tym mieszkaniu, a już jego pracownicy wzniesiony mur uprzedzeń chwiał się w posadach. Zanosilo się na bardzo długą noc.

Gabrielle nie miała ochoty, opuszczać łóżka. Był sobotni ranek. Wpadające ukośnie przez okno smużki słonecznego blasku powiedziały jej, że szykuje się piękny dzień. Ale przypuszczalnie w sąsiednim pokoju był Paul, a ona nie miała pewności, czy jest gotowa znów się z nim widzieć.

Każde z ich spotkań wywoływało w niej nie dającą się określić gamę uczuć, od zaniepokojenia do rozdrażnienia. Ostatnia noc zostawiła po sobie mgliste, ale zdecydowanie przyjemne wspomnienie. Gabrielle przywołała na pamięć siłę trzymających ją ramion, łagodność dotyku, dziwny wyraz jego oczu, kiedy myślał, że była z innym mężczyzną. Zastanawiała się, jakiemu Paulowi trudniej stawić czoło: temu nieznośnemu, którego poznała będąc tu po raz pierwszy, czy temu, który dopomógł jej poprzedniej nocy. Te rozmyślenia przyprawiły ją o ból głowy.

Wreszcie zdobyła się na odwagę i podreptała do łazienki. Po drodze z ulgą stwierdziła, że jest chyba w mieszkaniu sama. Jednak w łazience znalazła ślady, jakie po sobie pozostawił: po podłodze walał się wilgotny ręcznik, obok umywalki leżała porzucona niedbale żyłtka z przylepionymi kreseczkami jego ciemnego zarostu, na kłamce wisiał podkoszulek. Na widok tych tak osobistych przedmiotów zatrzęsa się ze złości, przy czym najwyraźniej jej gniew przewyższał wagę przewinienia. Od razu pomogło jej to zachować właściwe proporcje w ocenie wydarzeń ostatniej nocy. Dzieli mieszkanie z bezczelnym niechlujem, a nie rycerzem w lśniącej zbroi.

Wyszorowała umywalkę, umyła się, ubrała, pozbierała jego drobiazgi i jak burza wypadła z łazienki z najszczerzym zamiarem rzucenia mu tych rzeczy na środek łóżka. Zupełnie nie spodziewała się, że się o niego potknie. Leżał na podłodze w kuchni, a jego nagi tors częściowo skryty był w czeluściach szafki. Spłoszyła się. Rzuciła w niego zawiniątkiem, jakie trzymała w ręce, po czym usłyszała głuchy okrzyk, odgłos uderzenia, a na końcu przekleństwo.

Wynurzył się rozcierając głowę i spojrzał na nią z nieszczęśliwą miną.

- O co chodzi?
- W tym mieszkaniu jest tylko jedna łazienka.
- Cóż za odkrywczе spostrzeżenie — odparował.

Zauważył jej wyraźnie wojowniczy nastrój. — Słucham dalej.

- Nie będę po panu sprzątać.
- Nie musi pani.
- Ale przecież, do licha, nie mamy sprzątaczk!

- Znów muszę pani przyznać rację.
- Nie mam zamiaru żyć w chlewie.

Powoli zdjął z siebie rzeczy, którymi w niego rzuciła, i przejrzał je uważnie.

— Trudno chyba jeden ręcznik, żyletkę i jedną sztukę bielizny nazwać chlewem.

— To początek.

— Gaby, daj spokój. Jestem przyzwyczajony do samotnego życia. Poradzimy sobie z tymi drobiazgami. Kupię apteczkę i tam będę trzymał żyletki. W końcu zamocuję też wieszak na ręczniki. A co się tyczy mojej bielizny, jeśli to tak panią denerwuje... — zaczął, łypiąc na nią okiem.

— To mnie nie denerwuje! — prawie krzyczała.

Zaśmiał się.

— Więc dlaczego podnosi pani głos? — Paul nie umiał ukryć rozbawienia, jakie wywołał w nim jej atak wściekłości. Z zadowoleniem odkrył kolejną rysę na pancerzu tej chłodnej, opanowanej kobiety. Nie chciał z nią zadzierać, ale w tym momencie mógłby napomknąć, że powinna korzystać z zamiany swego dotychczasowego, pełnego stresów życia na troszkę bardziej bez troskie. Mars na jej czole z czasem przestał wyglądać groźnie. Odnosił wrażenie, że po tym, jak go zbesztala, nie wiedziała, co robić dalej. Uprzejmość podpowiadała przeprosiny, ale zły humor Gabrielle na to nie pozwalał.

— Chodźmy — powiedział, nie zważając na ból i nakazy zdrowego rozsądku. Podniósł się na nogi i wyciągnął ku niej rękę. Spojrzała na niego podejrzliwie.



- Dokąd?
- Wyjdziemy coś przekąsić.

Zanim potrząsnęła głową, dostrzegł w jej oczach błysk zaciekawienia.

- Nie możemy. Zbyt dużo jest tu do zrobienia.
- To może poczekać.
- Nie potrafię żyć w takim bałaganie.
- Będzie się pani lepiej pracować o pełnym żołądku.
- Nie będę wyrzucać pieniędzy, skoro mogę sobie

przygotować coś w domu.

— To ja wyrzucę. Poza tym lodówka świeci pustkami, jeśli nie liczyć zzieleniałego sera.

Z trudem połknęła haczyk.

— Dobrze. Ale wspólne mieszkanie — wspólne rachunki.

Każdy płaci za siebie.

- Nie tym razem. To będzie uroczystość.
- Z jakiej to okazji?
- Naszej pierwszej bitwy.

— Ona wcale nie była pierwsza — odrzekła, a jej twarz powoli rozjaśniała się. — Klótnia trwa, odkąd się spotkaliśmy.

— W takim razie najwyższy czas na rozejm — posłał jej uśmiech. — Przy małym śniadanku.

Poddała się wreszcie gdzieś pomiędzy wybitnie sugestywnym opisem świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego a obietnicą gorących wafli i takiegoż syropu klonowego.

— Godzinka — zgodziła się w końcu. — Nie więcej.

— Gaby, proszę się odprężyć. Tym, którzy jedzą zbyt szybko, grozi niestrawność. Czy nie to powiedziała mi pani wczoraj?

— Godzina — nie ustępowała, a na jej czoło znów napłynęła chmura.

— Będzie pani też liczyć sekundy? — dopytywał się, podsuwając jej swój własny zegarek. Zgromiła go wzrokiem, narzuciła na siebie gwałtownym ruchem kurtkę i iście królewskim krokiem zaczęła schodzić na dół.

— Dokąd idziemy? — spytała, gdy przystanąwszy na zakręcie odwróciła się w jego stronę.

— Myślałem, że pani wie — odciął się. — Przecież pani prowadzi.

Zwolniła kroku i burknęła:

— Czy pan się nigdy nie śpieszy?

— Nie, jeśli nie muszę. Pośpiech jest wskazany jedynie przy łapaniu pcheł. A czy pani nigdy nie zwalnia tempa?

— Przy mojej pracy nie mogę sobie na to pozwolić.

A więc, pomyślał, rzeczywiście nie bierze pieniędzy od ojca.

— Jaka to praca? — spytał, a przed oczyma stanął mu elegancki butik przy Madison Avenue borykający się z wygórowanym czynszem i zmiennymi gustami klientów.

— Jestem maklerem.

Patrzył na nią zszokowany.

Nie zwracając uwagi na jego zaskoczenie, zagryzła wargi.

— Ściśle mówiąc, byłam maklerem. Obecnie sprawia mi niejaką trudność przekonanie o tym niektórym ludzi.

Paul próbował zebrać myśli.

- Dobrze pani szło?
- Cholernie dobrze.
- Więc dlaczego panią wylali?
- A kto to panu powiedział?
- Nie wygląda pani na osobę, która rezygnuje z dobrej posady, nie mając nic innego na oku.

A przecież w pewnym sensie to właśnie zrobiła, opuszczając rodzinne gniazdo.

— Panu się zdaje, że już mnie na wylot przejrzał, prawda?

— Wcale tak nie myślę — odparł szczerze, jednocześnie pokazując ręką na zatłoczone wejście do egzotycznej restauracji. — Może być?

— Tak.

Podał w progu swoje nazwisko, po czym wrócił do rozmowy z Gabrielle. — No, więc co się wydarzyło?

— Zgoda, wyrzucili mnie — iskiereki w jej oczach ośmielały do żartów na ten temat. — Jednak nie dlatego, że byłam kiepska. Po prostu przegrałam rywalizację z tłumem lepszych i z dłuższym stażem.

— Skoro tak to wygląda, skąd nadzieja, że w innej firmie będzie lepiej? Znowu czeka panią harówka i znowu w każdej chwili może pani wylądować na bruku. I nie będzie w tym żadnej pani winy.

Wzruszyła ramionami z rezygnacją.

— W tę pracę wliczone jest ryzyko.

Zdziwiony tym beznamiętnym tonem i bezbarwnym, pustym spojrzeniem, spytał:

— Dlaczego pani to robi?

— Kształciłam się w tym kierunku. To jest mój zawód.

Pan wali młotkiem i maluje. Ja sprzedaję akcje i obligacje.

— Dlaczego?

Kiedy wreszcie dotarli do stolika, znalazła pretekst, żeby uchylić się od odpowiedzi. Jak tylko zajęła miejsce, zatopiła się w lekturze karty. Gdy złożyli zamówienie, Paul nie dawał za wygraną.

— Dlaczego, Gaby? Co takiego pociąga panią w giełdzie? Pieniądze? Władza? Ryzyko? Co?

Poderwała się gotowa do obrony. Jej oczy zwięzły się w szparki.

— Pan, zdaje się, potępia robienie pieniędzy?

— Ojej, nie ma tu czego potępiać. Pieniądze to wspaniała rzecz, a poza tym — to nie moja sprawa, co pani robi ze swoim życiem. Po prostu widzę kobietę wiecznie niespokojną, która nie może w nocy spać, która żyje w mieszkaniu według niej niewiele lepszym od nory w slumsach...

— Nigdy tego nie powiedziałam.

— Czytam to z pani oczu. To są zwierciadła duszy, pamięta pani? Zdradzają panią za każdym razem.

Spowaźniała natychmiast. Najwidoczniej staranne, południowe wychowanie kazało jej mocno przeżywać każdą okazaną komuś nieuprzejmość. Zawsze gdy, jak się jej zdawało, przekraczała granicę kulturalnej rozmowy, miała poczucie winy. I przepraszała.

— Tak mi przykro — powiedziała.

— Do diabła, nie musi pani być przykro z mojego powodu. Lubię dom, w którym mieszkam. Lubię to, co robię. A pani? Co pani jest potrzebne do szczęścia, Gabrielle?

— Sukces — odparła natychmiast, ale w jej oczach Paul dostrzegł jakiś cień niepewności.

— Czym pani ten sukces mierzy? Ilością sprzedanych akcji? Wysokością obracanych sum? Liczbą przejętych dzięki swoim operacjom przedsiębiorstw? Kiedy grała pani w monopol, uszczęśliwiała panią jedynie wykupienie wszystkich nieruchomości?

Nie była tym pytaniem zachwycona.

— Chciałam wygrać, jeśli o to pan pytał. A pan nie chciał?

— Pewnie, ale ja rywalizowałam sam ze sobą. Osobiście nie muszę podbijać całego świata.

— Każdy z nas jest stworzony do innych celów.

— Proszę mnie nie traktować tak protekcyjnie, Gaby.

Znać było po niej zawstydzenie.

— Wcale nie miałam takiej intencji.

— Czyżby? Na pewno myśli pani sobie: to wspaniałe, że Paul cieszy się, kiedy pod pędzlem równo mu się układa farba. Czy to nie urocze, że potrafi zadowolić go tak niewiele.— Kiedy próbowała zaprzeczyć, pokręcił głową. — Znów te oczy, złotko. One mówią wszystko.

— Pomówmy teraz o pana oczach — nie pozostała mu dłużna. — Pan również wyciągnął kilka pochopnych wniosków. Bogata. Zepsuta. Co jeszcze, Paul? Jaką mi na pierwszy rzut

oka przykleiłeś etykietkę? — Niepostrzeżenie, w ferworze gorącej wymiany zdań przeszła z nim na ty.

Opadł ciężko na oparcie krzesła i uśmiechnął się ponuro.

— Złapałaś mnie. Może powinniśmy zacząć wszystko od nowa, bez żadnych uprzedzeń?

— Po co? — spytała półgłosem. — Za kilka tygodni już mnie tu nie będzie. Nie będzie miało żadnego znaczenia, co o sobie myślimy.

— Jesteś tego pewna? — odezwał się równie cicho. Sam nie wiedział, czemu był tak skory do stawania w obronie jakiejś nikłej możliwości, że ich wspólne życie; nie skończy się tak prędko, jak sądziła.

Dostrzegł rumieniec na jej policzkach i znów jakąś niepewność w oczach.

— Mniejsza o to. Miałaś się odprężyć, a za to atmosfera zrobiła się ciężkawa. Urwijmy się gdzieś na cały dzień i zabawmy się jakoś.

— Ale mieszkanie, wszystkie te pudełka... Obiecałeś mi apteczkę i wieszak na ręczniki...

W jej głosie brzmiała twarda nuta uporu, ale w oczach dostrzegł wahanie; zastanawiał się, jak długo będzie się łamać, by wreszcie pozwolić sobie po prostu na miłe spędzenie popołudnia.

— To może poczekać do jutra, Gaby.

Jej oczy zaiskrzyły się gniewem, ale pojawiło się w nich również coś innego, jakaś nieoczekiwana zaduma, która potwierdziła jego podejrzenia, że w gruncie rzeczy tęskniła do

takich skradzionych szczęściu chwil radości. Trafił w jej słaby punkt.

— Proszę — przymiłał się. — Gabrielle...

scandalous

Mimo słonecznego dnia powietrze było ostre, przejrzyste, wręcz mroźne. Gabrielle drżała z zimna, kiedy szli w stronę stacji metra ulubionym przez Paula tempem, czyli bez pośpiechu. Szukając choć odrobiny ciepła, wsunęła skostniałe dłonie do kieszeni drelichowej kurtki. Powinna była włożyć futro z lisa, ale nie pasowałyby to do dżinsów i swetra. Ponadto podkreślałoby jeszcze różnicę między nią a Paulem. Jego strój nie był wyszukany: czyste dżinsy, odprasowana koszula i skórzana kurtka, przy czym owieczka, która używała na nią swej skóry, nie żyła już od ładnych paru lat.

— Mam pomysł — powiedział Paul, zauważywszy, że Gabrielle cierpi z powodu rzeźkiego powietrza. — Szczypie trochę w nos, więc może pościgajmy się.

Na nic zdał się jej gwałtowny protest, kiedy Paul wystartował, sadząc susy jak rasowy lekkoatleta. Parsknęła z oburzenia, ale nie byłaby sobą, gdyby zignorowała wyzwanie. Gdy dobiegła do końca ulicy, bolały ją płuca i kłuło w boku, ale przepełniało ją niezwykle uczucie radości. Przez całe jej ciało przebiegł przyjemny dreszcz podniecenia.

Paul uśmiechnął się, a ona odpowiedziała mu tym samym; już od lat nie czuła się tak beztrosko. Dzień był piękny, jej problem mieszkaniowy czasowo rozwiązany, a do poniedziałku nie musiała nawet kiwnąć palcem w sprawie nowej pracy. Paul był kompanem przystojnym, sexy, z poczuciem humoru. Więc czemu nie miałyby cieszyć się takim dniem, tą chwilą?



— Od tego biegu zaróżowiły ci się policzki — rzekł z pochwałą w głosie.

Potrząsnęła głową z udaną irytacją. — Skąd to obsesyjne zainteresowanie moimi rumieńcami? Czy chciałeś kiedyś być lekarzem?

— Nic z tych rzeczy — odparł, postąpiwszy krok w jej kierunku. Gabrielle zamarła w bezruchu, kiedy się zbliżył, ujął kosmyk jej włosów i założył za ucho. Ten nieoczekiwany czuły gest wstrząsnął nią do głębi. Muśnięcie jego szorstkiej dłoni po policzku wywołało ogarniającą ją falę ciepła.

— Nie chodzi o rumieńce — powiedział, zatrzymując na niej uważne spojrzenie. — Martwię się o twoje zdrowie. Nie dbasz o siebie jak należy.

— I nadal chcesz, żebyśmy jechali metrem? — nie czekała z ripostą. Drażniła go, ale wprost nie mogła sobie darować zaczepki.

— Ze mną jesteś absolutnie bezpieczna — odparł głosem, którym mógłby uwieść nawet święta.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Serce Gabrielle biło nierówno; zastanawiała się, jak to naprawdę jest z tym jej bezpieczeństwem. Miała jeszcze ogromną ochotę biec, ale pokusa pozostania przy nim była silniejsza.

Resztę dnia spędzili na penetrowaniu Nowego Jorku Paula. To nie była ta sama część miasta, którą Gabrielle знаła od lat. Zamiast koło eleganckiego Lincoln Center, spacerowali wśród odrapanych domów Chinatown. W wąskich, zatłoczonych uliczkach pachniało czosnkiem, imbirem i dymem z kadzidełek. Wystawy sklepowe zapchane były tandetnymi świecidełkami,

przemieszanymi z pełnymi wdzięku wschodnimi antykami. W jednym z takich sklepików Gabrielle wytropiła zagrzebany pod bezwartościowymi porcelanowymi wazonami jedwabny dywanik, nieco wyblakły ze starości, z postrzępionymi w paru miejscach brzegami. Choć był zniszczony, Gabrielle spodobał się jego deseń i kolor.

— Paul, to jest świetne — wykrzyknęła.

— To? Chyba jako szmata do kurzu. Toż to rupieć.

Spojrzała na niego.

— Zatem doskonale pasuje do naszej rudery.

W momencie gdy to powiedziała, spostrzegła się, że jej słowa zabrzmiały zbyt wyniośle i przede wszystkim zaborczo; przecież raptem od niespełna dwudziestu czterech godzin dzielili to, nie da się ukryć — nędzne, mieszkanie. Kpiarska mina Paula świadczyła o tym, że zauważył przejęzyczenie.

— Naprawdę nie uważasz, że to byłoby znakomite do jednej z sypialni? — rzekła pośpiesznie.

Najwyraźniej odnosił się do tego pomysłu sceptycznie, ale odparł zgodnie: — Weź go, jak chcesz.

Problem stanowiła zapłata. Taki zakup oznaczał uszczerbek w oszczędnościach, aczkolwiek z tego, co Gabrielle wiedziała o wschodnich kobiercach, cena nie była zbyt wygórowana. Przeprowadziwszy błyskawiczną kalkulację, podjęła decyzję. Zaproponowała uśmiechniętemu sklepikarzowi, że da mu połowę sumy, której żądał.

— Nie, nie. Nie może być — mówiąc to przybrał stosownie przerażoną minę. — Stała cena. Żaden rabat. To bardzo cenne. Dobry jedwab. Porządna robota.

Gabrielle przyjrzała się dywanowi ponownie i zaraz, z przesadzonym grymasem niezadowolenia, pokazała na brzegi.

— On wymaga renowacji. Połowę podanej przez pana ceny będę musiała przeznaczyć na czyszczenie i naprawę.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Niechętnie obniżył cenę o jedną czwartą. Gabrielle zerknęła na Paula i dostrzegła jego rozbawioną minę.

— Opuści pan jeszcze pięćdziesiąt dolarów i ubijemy interes — zabrzmiało to nieodwołalnie.

Mężczyzna patrzył na nią, jakby chciała go obrabować.

— Nie, nie, proszę pani.

Gabrielle westchnęła ciężko.

— No cóż...— powiedziała i skierowała się w stronę drzwi. Jeszcze po raz ostatni, przeciągle, spojrzała na dywan. W porę dostrzegła na twarzy Paula zakłopotanie — za nic nie chciała, żeby się wtrącił. Porwała go za rękę i pociągnęła z desperacją do drzwi — z nadzieją, że nie zdaży zrealizować swego chybionego, choć podyktowanego uprzejmością, pomysłu i nie zaofiaruje się, że zapłaci tyle, ile domaga się właściciel antykwariatu.

— Ale.. — próbował protestować.

— Nie waż się niczego proponować — wyszeptwała.

Patrzył na nią z niedowierzaniem, ale nie odzywał się. Byli już na ulicy, kiedy sklepikarz ich dogonił.

— Dobrze, proszę pani, interes ubity.

Posłała Paulowi triumfujące spojrzenie, weszła z powrotem do sklepu i wypisała czek. Dywan zrolowała i owinęła pieczęlowicie, po czym wręczyła go do niesienia Paulowi.

Szła spokojnie do rogu ulicy, ale kiedy skręcili, chwyciła Paula za rękę w radosnym podnieceniu.

— Możesz sobie wyobrazić? Sprzedał mi ten dywan za mniej niż połowę jego prawdziwej wartości.

— Ale mówiłaś...

Machnęła ręką.

— Zwykle targowanie — rozwiała jego wątpliwości.

Paul potrzaskał z niedowierzaniem głową.

— Ty naprawdę musisz być dobra na Wall Street. Nigdy nie domyśliłbym się po twojej minie, że okpiłaś tego biednego, starego człowieka.

— Wcale go nie okpiłam — wyjaśniała cierpliwie. — Pewnie sam kupił to jeszcze taniej. Dobrze wiedział, co mu się opłaca, a co nie i, zapewniam cię, nie dał się skrzywdzić.

— Ale przecież i tak musisz zapłacić za czyszczenie i reperację.

— Nie bądź głupi. Powieszę go na gałęzi i wytrzępię. A obrębić potrafię go sama.

Patrzył na nią z otwartymi ustami.

— Co cię tak dziwi?

— Ty. Po pierwsze, nigdy bym się nie spodziewał, że może zadowolić cię cokolwiek, co nie wyszło dopiero co spod igły i nie jest najwyższej jakości...

— Musisz się jeszcze sporo nauczyć o wartości antyków — odparła.

Zignorował ten docinek.

— No dobrze, ale już zupełnie bym nie przypuszczał, że zobaczę kiedyś, jak się targujesz.

— A ty myślisz, że bogaci tego nie robią?

Przewrócił oczami.

— Zgoda. Nie wątpię, że poznawałaś odpowiednie posunięcia taktyczne siedząc na kolanach ojca, zwłaszcza kiedy grał w pokera, ale absolutnie nie wyobrażam sobie ciebie z igłą w ręku.

Uśmiechnęła się do niego i — wyjątkowo uwydatniając swój południowy akcent, przywodzący natychmiast na myśl golonkę, groch i łuskany owies, a ponadto jeszcze słodki zapach kapryfolium — powiedziała:

— Nie rozumiem cię, mój drogi, czyżbyś nie wiedział, że wszystkie dobrze wychowane panienki uczą się szycia, gry na fortepianie i innych tego typu rzeczy?

Skrzywił się.

— Wybacz, znów źle cię oceniłem. Nie znajdę w tobie nic, co by pasowało do moich wyobrażeń? Czy raczej powinienem się spodziewać ciągłych niespodzianek?

— Nie zaskakiwałabym cię tak często, gdybyś zechciał pamiętać, że ja jestem Gabrielle Clayton, a nie Scarlett O'Hara czy Faye Dunaway.

Z jego twarzy wyczytała, że poczuwał się do winy. Zastanawiała się, które z jej wcieleń bardziej go peszyło: południowa piękność, stworzona do luksusów wiejskiej posiadłości, czy inteligentna kobieta żadna zawodowego sukcesu. A może wcale nie widział w tym sprzeczności? W każdym razie próbował pokryć swe zmieszanie proponując, by zajrzeli do cukierni we włoskiej dzielnicy.

— Jako nagrodę za twój sukces dostaniesz kawę i coś słodkiego.

Myśl o jedzeniu po tak sutym posiłku nie mogła jej nęcić. Zazwyczaj jej śniadanie stanowiła kawa i połówka grapefruita, na lunch piła jogurt, a na obiad jadła rybę albo surówkę. Często w ogóle zdarzało jej się zapomnieć o jedzeniu. Natomiast teraz wchłonęła już tyle kalorii, ile zwykle zjadała przez cały dzień.

— To nie dla mnie. Wciąż jeszcze czuję się jak balon.

Jednak wciągnął ją do ciepłej, pachnącej cukierni i przyprowadził do gabloty.

— Może ty potrafisz się oprzeć tym grzesznie kipiącym obfitością czekoladowym cannoli, ale ja nie. Osobiście muszę raz dziennie ulec pokusie, inaczej nie miałby uzasadnienia mój wizerunek jako powodowanego hormonami drania.

Uszczypliwa replika, przypominająca, że i jej zdarzyło się wygłosić kilka pochopnych sądów, spieszyła ją nieco.

Paul wyłowił z gabloty kremowy rożek, po czym zamówił jeszcze do picia cappuccino. — Na pewno nie masz ochoty na którąś z tych rzeczy?

— Nie. Absolutnie nie. Wezmę tylko filiżankę kawy.

— Nie najlepsze to na twoje nerwy. A może tak kawkę bezkofeinową?

Spojrzała na kelnerkę.

— Czarną kawę proszę. Nafaszerowaną kofeiną.

Kelnerka popatrzyła na Paula z uznaniem, narażając się tym samym na gniewne spojrzenie Gabrielle.

— Pani chce kawę — potwierdził. — Ale proszę przynieść dwa widelczyki, tak na wszelki wypadek.

Usadowiona naprzeciwko cannoli, czuła jak jej opór stopniowo słabnie.

— Spróbuj — namawiał Paul, przecinając rożek widelczykiem. Z obu końców wykypiała czekolada i krem.

Przełknęła głośno ślinę. Paul trzymał przed nią nabity na widelczyk kęs. A jej do ust wciąż napływała ślina.

— Śmiało. Spalimy te kalorie na spacerze.

W końcu, sprowokowana przez pełne stanowczości spojrzenie niebieskich oczu, wzięła kęs do ust, powoli oblizując usta z kremu. To było boskie.

— Pycha.

— Jeszcze jeden kawałek — kusił.

— Nie, naprawdę. — Ale smak, który wciąż jeszcze czuła w ustach, i wpatrzone w nią, pełne zachęty, oczy Paula sprawiły, że jej zazwyczaj nieugięta wola została mocno nadwyreżona. Zanim się spostrzegła, zjadła całe cannoli. Wpatrywała się w pusty talerzyk z miną winowajcy.

— Och, tak mi przykro.

Zaśmiał się. — Dlaczego? Mają tu tego więcej. Dał znak kelnerce, że powtarza zamówienie.

— Jesteś pewna, że tym razem nie chcesz nic dla siebie?

— Bardzo śmieszne. Nie zjadłabym, gdybyś mnie nie skusił.

— Taka jesteś podatna na pokusy? — dociekał z szatańskim błyskiem w oku.

— Tylko przed czwartą po południu w czwartą sobotę miesiąca na „P”.

Zerknął na zegarek, po czym westchnął z udanym rozczarowaniem.

— Zaznaczę to sobie w kalendarzu na następny rok.

Wciąż się uśmiechając, wyprostował się na krześle, wypił małymi łyżkami cappuccino i zaczął się jej pilnie przypatrywać.

— Co chciałabyś teraz robić?

Wahała się. Nie знаła ani jego zainteresowań, ani możliwości finansowych, a — co ją nawet zdziwiło — zależało jej, żeby te sprawy pogodzić. Sama zazwyczaj w piątek pracowicie wynotowywała informacje o kursach giełdowych, a potem dokładnie planowała, jak spędzi ten swój tak cenny wolny czas. Pomysły miała mniej więcej tak spontaniczne, jak tykanie zegara.

— To zależy od ciebie — powiedziała i nagle poczuła przypływ podniecenia, choć sytuacja była całkowicie niewinna.

— Co powiesz na porcyjkę sztuki? — rzekł Paul, wprawiając ją tą propozycją w zdumienie.

— Współczesnej czy klasycznej? — zapaliła się.

Kiedyś w college'u zapisała się na kurs historii sztuki, spełniając tym samym pewien wymóg, który początkowo uważała za bezsensowną stratę czasu. Jednak zajęcia spodobały jej się bardziej niż przypuszczała i potem w Nowym Jorku nabrała zwyczaju regularnego odwiedzania muzeów i galerii. Była na listach gości zapraszanych na otwarcia wszystkich większych wystaw.



— Zdecyduj sama — zaproponował Paul. — Możemy pójść do Metropolitan albo do Muzeum Sztuki Współczesnej... albo mogę cię zaprowadzić w kilka innych, sobie znanych miejsc.

Od razu przyszło jej do głowy, że wykorzysta okazję aby się przekonać, jakiego typu sztuka go interesuje.

— Wybieram to ostatnie — odparła bez wahania.

Skinał z uśmiechem głową i poprowadził ją w stronę Soho, gdzie galerie prześcigają się w eksponowaniu twórców najbardziej wybujałej wyobraźni.

— Co my tu mamy — rzekł w zadumie, gdy stanęli przed rzeźbą wykonaną z elementów zegara i części samochodowych. Nazywało się to „*Podróż w przyszłość*”. Gabrielle przypomniała sobie recenzje. Jeden z krytyków opisywał owo dzieło jako „banalne i nie wzbudzające żadnych emocji”.

— Co o tym sądzisz? — w tonie, jakim zadał to pytanie, posłyszała nutę udanej powagi.

— Pytasz serio? — Szukała w jego twarzy jakiejś oznaki, że sobie z niej tylko kpi. Ich spojrzenia spotkały się przypadkowo.

— Mój Boże, ty chyba rzeczywiście nie żartujesz.

— Masz rację. I nie próbuj się wykręcać. Powiedz, co naprawdę o tym myślisz.

— Uważam...

Okrażyła eksponat, oglądając go ze wszystkich możliwych stron. Bardzo się starała nie ulegać sugestiom ani przeczytanych recenzji, ani własnych upodobań, preferujących

bardziej tradycyjne dzieła. A to z pewnością nie był Dawid Michała Anioła.

— Uważam, że mamy tu do czynienia z interesującym pomysłem — dokończyła wreszcie, próbując jakoś wybrnąć z sytuacji.

— Uzasadnionym artystycznie?

— Wydaje mi się, że tak. — Nie umiała jednak powiedzieć tego bez nuty wątpliwości w głosie.

— Ale nie odpowiadającym twemu gustowi — podchwycił natychmiast.

Westchnęła i przyznała niechętnie: — Zdecydowanie nie.

Spodziewała się, że Paul za chwilę wyrazi w jakiś sposób swoje lekceważenie dla braku odwagi w patrzeniu na sztukę, ale zamiast tego pokiwał aprobująco głową.

— Masz rację. Moim zdaniem to też jest tylko kupa złomu.

Gabrielle, nie otrząsnąwszy się jeszcze z zaskoczenia, zaśmiała się.

— Sądziłam, że to ci się bardzo podoba.

Jego oczy zabłyśły z rozbawienia.

— Wiem. Chciałem się przekonać, ile taktu okażesz ujawniając własną opinię.

— Przez chwilę zmroziła mnie myśl, że to ty możesz być autorem.

— I co, uważałaś, żeby nie urazić artysty? Udało ci się to w sposób godny podziwu. Zawsze kiedy przychodzę na takie wystawy, moim ulubionym określeniem jest: „interesujący”. Zdumiewające, wystarczy tylko modulacja głosu, żeby tym

jednym słówkiem wyrazić wszystkie możliwe opinie — od pochwały do lekceważenia.

— „Fascynujący” — to też dobre słowo. A co sądzisz o: „nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem”. Takie zdanie, wygłoszone z namaszczeniem, brzmi bardzo efektownie.

Ich rozbawione roziskrzone spojrzenia skrzyżowały się, ale po chwili oba uśmiechy zgasły.

— Dziwne, już parę razy okazało się, że mamy ze sobą wiele wspólnego — powiedział Paul, a w jego głosie niepokojąco mieszały się zadowolenie i prowokacja.

— Dziwne — powtórzyła za nim ciszej, jak echo; jednak w gruncie rzeczy nie tyle ją to dziwiło, ile napępiało obawą. Już wcześniej odnosiła wrażenie, że ten człowiek jest zdolny skierować jej życie na zupełnie nieoczekiwane i niebezpiecznie fascynujące tory. Nie dawał się łatwo zbić z tropu. Wciąż zaskakiwał ją czymś nowym. A kiedy na nią patrzył, czuła, jak opuszcza ją wrodzony zdrowy rozsądek.

Powtarzała sobie uparcie, że panuje nad sytuacją, że granice ich wzajemnych stosunków zostały wyraźnie nakreślone. Byli współlokatorami, i to na krótko, nic więcej. A Paul — wyczuwała to nawet mimo tak krótkiej znajomości — wyglądał na honorowego mężczyznę. Te myśli uspokoiły ją.

Do domu dotarli prawie o północy po pikantnej meksykańskiej kolacji w Greenwich Village i wypiciu zdecydowanie zbyt wielu *margaritas*.

Gabrielle była równie ożywiona jak rankiem i lekko wstawiona. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio bawiła się tak swobodnie i spontanicznie. A do tego tym razem wcale a

wcale nie miała z tego powodu wyrzutów sumienia. Jakie to fantastyczne!

— Dziękuję — powiedziała, kiedy znaleźli się w pograżonym w ciemnościach saloniku.

Pod wpływem impulsu stanęła na palcach i w nagrodę nieomal musnęła w przelocie wargi Paula. W głębokiej ciszy usłyszała raptem bicie swego serca i gwałtowny wdech mężczyzny. Popatrzyła mu w oczy i wyraźnie dostrzegła, że pociemniały z pożądania. Jednocześnie sama poczuła ogarniającą ją falę gorąca. Kiedy ich oddechy zmieszały się, wiedziała, że jeśli dotknie jego ust, nie ugasi już tego pożaru. Były jednak pewne granice, nawet w taki zaczarowany wieczór. Wiara w to, że mogą być po prostu tylko sąsiadami, że potrafią powściągnąć swoje emocje, ulotniła się w mgnieniu oka. Ogarnęło ją przeczucie nieodwołalnego przeznaczenia. Nagle dobrze umięśnione, napięte ciało Paula stało się nieodparcie kuszące, zbyt kuszące. Otrząsnęła się i zrobiła krok do tyłu, porzucając zamiar wynagrodzenia Paula przyjacielskim cmoknięciem.

— To dezercja, Gaby — jego uwaga była przytłaczająco celna.

— Gabrielle — odparła, wracając do dawnej przekory.

W kącikach ust Paula pojawił się nikły uśmiech. Dotknął palcem jej podbródka. — Gabrielle — rzekł łagodnym szeptem, który był wręcz pieszczotą — tak delikatną, jak muśnięcie wiosennego wietrzyku. Kiedy się do niej zbliżył, opór zaraz stopniał. Zadrżała.

— Obiecałeś — powiedziała i wstrzymała oddech, gdy się nad nią pochylił. Żadne przemyślenia nie miały już znaczenia — jej usta same rozchyliły się łaknąc pocałunku, czekały i tęskniły. Nigdy nie przypuszczała, że może do tego stopnia ulec nastrojowi.

Paul wyprostował się, cień przemknął mu po twarzy. Odpowiedział jej niechętnie: — Zgadza się.

Zatopił palce w jej splątanych, potarganych przez wiatr włosach, dotykając mimochodem policzków. Ciało Gabrielle naprężyło się z pragnienia aż do bólu, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że spełnienie im obojgu nie wyszłoby na dobre.

Widziała żal w jego oczach, gdy szeptął: — Słodkich snów, Gabrielle.

Potem odwrócił się i poszedł prosto do swojego pokoju, bez oglądania się za siebie.

Z powodu kobiety, która spała w pokoju obok ciała Paula trawiła gorączka pożądania. Wystarczyło zaledwie kilka godzin, żeby ciekawość niepostrzeżenie przerodziła się w oczarowanie, a potem szybko — w coś jeszcze silniejszego. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, a przecież powinien był go przewidzieć. Zawsze pragnął czegoś, po co sięgać mu nie było wolno.

Kiedy był małym chłopcem, bolesne okazało się dla niego odkrycie, że nigdy nie będzie miał takich zabawek, jakie jego przyjaciele uważali za dobro oczywiste. Matka zajmowała się gospodarstwem domowym, a ojciec był ogrodnikiem. Uczciwi, mili, ciężko pracujący ludzie. Kochali go bardzo, zwłaszcza że długo na niego czekali.

W związku z posadą rodziców, wychowywał się w olbrzymiej posiadłości na Long Island. Jego towarzyszami zabaw były dzieci bogaczy, takie jak Gabrielle Clayton. Rozpaczliwe wysiłki, żeby im dorównać, szły na marne. Nosił po nich ubrania i śnił ich sny. Ale o spełnieniu tych snów nie mógł nawet marzyć. Gdy dzieci miały po pięć lat, różnice były nieznaczące. Ale kilkanaście lat później Paul cierpiał z ich powodu katusze. Szczególnie wówczas, gdy ostatecznie dotarła do niego gorzka i niezbita prawda, że Christine Bentley Hanford nigdy nie pomyśli o nim inaczej, jak tylko o synu służącej.

Potrzebował dziesięciu lat, żeby zapomnieć o gniewie, żeby się jakoś odnaleźć, żeby zaakceptować siebie i zastanowić się, czego chce od życia. Zazdrość i gorycz ustąpiły miejsca zadowoleniu. W każdym razie tak sądził, dopóki na progu jego domu nie stanęła Gabrielle. Czy znów próbuje zdobyć kobietę „nie dla niego”? Udowodnić, że jest jej wart? Jeśli tak, to gra, którą prowadzi, jest i wobec niej, i wobec niego samego nieczysta.

Jednak z drugiej strony może Gabrielle przeżywa właśnie kryzys wewnętrzny podobny do tego, jaki jego nękał przed dziesięciu laty? Przez ten czas nauczył się żyć rzeczywistością, zamiast wyobrażeniami, nauczył się znajdować zadowolenie w tym, co mu życie przyniosło, a nie w tym, czego od życia oczekiwał. Może więc mógłby naprowadzić Gabrielle na tę samą drogę.

Ale co potem? Żyliby długo i szczęśliwie? Utopia. Takie zakończenia zdarzają się wyłącznie w bajkach, gdzie Kopciuszka porywa w siną dal przystojny królewicz. Nikt

jednak dotąd nie napisał, co się dzieje, kiedy królewicz budzi się do życia w realnym świecie i odkrywa, że Kopciuszek wcale nie jest księżniczką.

Jednak ta bajka — o Paulu i Gabrielle — skończy się już teraz, zanim oboje zdążą się nawzajem zranić. Uśmiechnął się w mroku — z ironią, pewien nieodwołalności tej decyzji.

Nieżyły *happy end*.

scandalous

Kiedy Paul otworzył oczy, obudzony odgłosem przesuwanych mebli, owładnęło nim niepokojące uczucie *deja vu*. Uśmiechnął się do siebie. I nagle, w ślad za gwałtownym łoskotem, jaki dobiegł go z pokoju obok, nieoczekiwanie doleciała do jego uszu wyjątkowo soczysta wiązanka. Dałby głowę, że Gabrielle Clayton nigdy nie obcowała z tak szczególnym słownictwem w rodzinnym domu, chyba że podczas którejś z tych niecnych partyjek pokera. Wyskoczył z łóżka i wybiegł na korytarz, ledwo zdążywszy naciągnąć gimnastyczne spodenki.

Ale kiedy dopadł drzwi do pokoju Gabrielle i próbował je otworzyć, ani drgnęły. Wpadł w popłoch i zaczął nie łomotać.

— Gaby, czy nic ci nie jest? Co się tam dzieje?

Nie było odpowiedzi.

— Gaby?

— Wynoś się — warknęła w końcu; była najwyraźniej w wyjątkowo złym humorze.

— Gaby, złotko, otwórz drzwi — prosił przymilnie. Obawiał się jednak, że wszelka perswazja będzie w tym przypadku mniej więcej tak samo skuteczna, jak wobec trzyletniej smarkuli, która zamknęła się w łazience. — Chcę się tylko upewnić, czy wszystko w porządku.

— Mam się świetnie — burknęła. — Wracaj do łóżka.

Jej odpowiedzi były dość energiczne, więc się nieco uspokoił. Teraz górę wzięło zaciekawienie.



— Jak mogę spać, kiedy wszystko wskazuje na to, że w sąsiednim pokoju wybuchła wojna? Nie potrzebujesz pomocy?

— Nie. Sama się z tym uporam.

— Z czym?

— Robię tu małe przemeblowanie.

— Dynamitem?

— Bardzo śmieszne.

— Te sprząty są dla ciebie za ciężkie. Co powiesz na niewielką pomoc? Otwórz drzwi.

Usłyszał, jak coś mamrotała pod nosem i domyślił się, że było to kolejne przekleństwo.

— Co powiedziałaś?

— Powiedziałam, że nie mogę otworzyć tych cholernych drzwi.

— Czemu? Nie masz klucza? Mam zapasowy. Wsunę, ci go szczeliną na dole.

— Wcale nie są zamknięte na klucz.

— Zacięły się?

— Nie, do diabła.

Rozbawiła go ta mieszanina rozdrażnienia i niepoohamowanej dumy w jej głosie. Nie dawał za wygraną:

— Skoro więc nie zacięły się i masz do nich klucz, na czym polega kłopot? — spytał, przeciągając słowa.

— Są zastawione łóżkiem.

Ledwo zdążył zdusić chichot.

— Nie waż się śmiać.

— Nie śmieję się — przekonywał ją, choć z trudem powstrzymywał rechot. — No to przesuń je.

— Na miłość boską, myślisz, że nie zrobiłabym tego, gdybym mogła?

Paul znów mało nie parsknął śmiechem.

— Gabrielle, co ty tam właściwie wyprawiasz?

— Próbowalam rozłożyć dywan — odparła po chwili. Zamilkła zrezygnowana. Zaskoczyło go to. Gabrielle Clayton zrezygnowana? Pokonana przez martwy przedmiot?

— No i...? — zachęcał ją do dalszych wyjaśnień.

Niemal słyszał, jak zaczerpnęła w płuca powietrza i wyrzuciła z siebie jednym tchem:

— Kiedy przesunęłam łóżko, przewróciła się komódka i tym sposobem znalazłam się w potrzasku.

Natychmiast odechciało mu się śmiać.

— Pod tą piekielną komodą? — krzyknął przerażony.

— Coś w tym rodzaju — powiedziała cicho. — Do diabła, byłam pewna, że sama sobie z tym poradzę.

— Nie ruszaj się — rzucił tonem, który miał ją uspokoić, zanim dotarło do niego, jak absurdalną dał jej radę. Pewnie, że się nie ruszy. Jak mianowicie może się ruszyć, mając pogruchotane kości?

Nie namyślając się, przeleciał przez mieszkanie, zbiegł na dół, okrążył budynek i przywarł do drabinki przeciwpożarowej. Był już w połowie drogi na górę, kiedy poczuł pod bosymi stopami lodowaty metal. Nagle uprzytomnił sobie, że dość komicznie musi wyglądać półnagi facet wspinający się po przeciwpożarowej drabince w mroźny ranek. Jednak chwila nie była po temu, żeby się tym przejmować. Gabrielle mogła właśnie wpadać w szok. Przecież pod koniec, kiedy wreszcie

przyznała się, że jest w pułapce, głosik miała żaloszny i wąły. A to było do niej niepodobne.

Po chwili znalazł się już przy oknie. Starając się je otworzyć, cały czas wypatrywał przez szybę jakiegoś znaku życia Gabrielle pod rumowiskiem mebli. Dostrzegł bosą stopę i szczupłą łydkę. Następnie pośpiesznie powiódł wzrokiem wzdłuż zgięcia jej nogi, w górę — aż dostrzegł przewróconą na bok komodę. Tylko dlatego, że jej narożnik oparł się o skraj łóżka, nie przewróciła się na Gabrielle całym ciężarem. Oddech uwiązał mu w gardle i serce zamarło w piersi. W pokoju panowała złowieszcza cisza. Zniecierpliwiony szamotaniem się z oknem, rozbił szybę, nie zważając na to, że kaleczy sobie ręce.

Gaby zareagowała natychmiast na dźwięk tłuczonego szkła:

— Tylko mi tu nie włącz, bo zakrwawisz cały dywan — krzyknęła.

Krew znów zaczęła w nim krążyć.

— Słyszałeś? — wołała. — Uważaj na dywan.

Wpadł w nieco wojowniczy nastrój. Trochę jednak przesadza.

— Słyszałem, ale mam w nosie twój przeklęty dywan — odparł, z wolna się jednak rozpogadzając. — Siedź tam spokojnie, dopóki do ciebie nie dojdę. Muszę ostrożnie stąpać ze względu na to rozbite szkło.

— Nie masz butów?

— Proszę o wybaczenie. Nie miałem czasu, żeby się przyzwoicie ubrać. Mam wrócić po krawat?

— A co masz na sobie? — spytała zaciekawiona.

— Spodenki — odparł zwięźle.

— To wszystko? — Jej głos zabrzmiał zdecydowanie mocniej. Właściwie wyglądało na to, że już całkowicie doszła do siebie.

— Ciesz się, że zdążyłem je włożyć. Bo inaczej sąsiedzi zadzwoniliby po gliny, żeby zdjęły z drabinki przeciwpożarowej jakiegoś zwariowanego nudystę. Za chwilę uniosę komodę. Czy coś cię boli?

— Głównie moja urażona duma.

— Przykro mi. Obawiam się jednak, że teraz nic na to nie poradzisz.

Podnosił mebel powoli, ale zaraz potem musiał błyskawicznie łapać wysuwające się szuflady. Schwycił je w ostatniej chwili, zanim dosięgły pleców Gabrielle.

Kiedy już ustawił komodę na miejscu, zorientował się, że Gabrielle była uwięziona nie tyle przez mebel, ile przez dywan, który owinał się wokół niej, krępując ręce. Ten widok podziałał na jego zmysły. Kiedy przyklęknął obok Gabrielle, usilnie starał się nie patrzeć na krągłości jej biustu, wyglądające z dekolту wybitnie działającej na wyobraźnię nocnej koszuli. Zrobiło mu się gorąco.

— Nie jesteś ubrana — rzekł nieco zdławionym głosem, w którym zabrzmiały i wyrzut, i zdziwienie, i jakieś nagłe zawahanie. W jego głowie, aż do fizycznego bólu, zawyły syreny alarmowe. Jednak głowa nie była jedyną częścią ciała, która dała o sobie znać w tym momencie.

— Nie spodziewałam się towarzystwa — odparła cicho. — Dodam jeszcze, że mój strój jest bardziej kompletny niż twój.

Paul czuł się nieswojo, bo to wszystko była prawda. Walcząc z zakłopotaniem i pożądaniem jednocześnie, ponadto ulegając jakiejś osobliwej panice, szybkimi ruchami drżących rąk uwolnił ją, a potem odsunął łóżko na bok. Nie uszło jego uwagi, że przez chwilę jakby wstrzymała oddech, a gdy ich spojrzenia spotkały się, jej oczy zrobiły się okrągłe. Można się było zatracić w tych oczach.

— Ubierz się — rzucił szorstkie polecenie, wychodząc z pokoju.

— Nie pomożesz mi uprzątnąć tego bałaganu?

Wypowiedziana zachęcająco, ze śmiechem prośba dosięgła go już w korytarzu. Zastanawiał się, ile jeszcze razy Gabrielle będzie próbowała igrać z ogniem.

— Później. — Może, kiedy złoży śluby czystości, pomyślał.

Wrócił do swojego pokoju, porwał ubranie i niemal biegiem przebył przestrzeń dzielącą go od łazienki. Po drodze obrzucił nieprzyjaznym spojrzeniem wannę i przyrzekł sobie, że kiedy tylko będzie miał na to pieniądze, w każdym z mieszkań zainstaluje prysznic... nawet gdyby mógł tam podłączyć jedynie zimną wodę. A i tak, przewidywał, w najbliższych tygodniach będzie musiał brać wyłącznie zimne kąpiele.

Gabrielle była zupełnie zdezorientowana. Zaskoczył ją ten gwałtowny odwrót Paula. Początkowo nie zauważyła, żeby był aż tak wściekły. Inaczej przecież nie drażniłaby go, kiedy przyszedł jej na pomoc. Co go, u licha, tak wytrąciło z równowagi? Przecież nie chciała tego, co się stało. A i tak z

czasem prawdopodobnie wyzwoliłaby się z tej pułapki sama. Na miłość boską, nawet nie uszkodziła tych poobijanych, starych grzmotów, które on nazywa meblami! A w końcu ile może kosztować wstawienie nowej szyby?

Chyba że ta gwałtowna zmiana jego nastroju — od zaniepokojenia i troski do irytacji — wzięła się z naładowanej elektrycznością atmosfery, jaka się między nimi wytworzyła. Jeszcze teraz wokół niej błyskały iskierki. Ale puls powoli się uspokajał.

Cóż, można jedynie próbować nie zwracać na to uwagi. Po prostu oboje nie mogą pozwolić, żeby taki nastrojowy, czarowny wieczór, jak poprzedni, kiedykolwiek się powtórzył. A ponadto ten ranek dał pewną wskazówkę: nie powinni raczej przebywać w tym samym pomieszczeniu — nawet w biały dzień. I jeszcze jedno — skoro Paul tak nieswojo czuje się w jej towarzystwie, to może jednak zdecydować się przenieść na dół.

Snując takie myśli włożyła dżinsy i miękki różowy sweter; dopiero teraz odważyła się wejść do kuchni, żeby sobie zrobić kawę. Usłyszała, jak Paul rzucał w łazience przekleństwami. Kiedy otworzył gwałtownie drzwi i dostrzegł ją stojącą przy kuchence, odwrócił wzrok i z wściekłą miną przeszedł obok niej bez słowa. W chwilę później usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi.

— Domyślam się, że nie ma ochoty na śniadanie — wymamrotała, przepatrując lodówkę w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do zjedzenia. Wygrzebała bochenek chleba, którego dni świetności zdecydowanie dawno już minęły. Znalazła też paczkę mielonki — z wyschniętymi, zawiniętymi

brzegami. Właściwie jedyną rzeczą, o której można było sądzić, że została zakupiona nieco później niż w epoce kamienia łupanego, była butelka ketchupu. Gabrielle westchnęła ciężko i zasiadła w pokoju nad kawą.

Paul wrócił, zanim zdążyła upić pierwszy łyk. Trzymał w ręku niedzielne wydanie gazety i torbę, którą zaraz położył na skrzynce po pomarańczach.

- Rogaliki — zakomunikował oschle. — Gdybyś chciała.
- Dziękuję.
- Zostało trochę kawy?
- Na kuchence.
- Dziękuję. Dolać ci? Bo idę do kuchni.
- Nie, dziękuję.

Ten wersal zaczął jej działać na nerwy. Chwyliła jedną część gazety i skryła za nią twarz. Nagłówki, mimo że nie zapowiadały dobrych wiadomości, były na pewno mniej przygnębiające niż ta niezręczna ostrożność, z jaką się wzajemnie traktowali.

A jednak kiedy wrócił do pokoju, spytała grzecznie:

- Chcesz przejrzeć tę część gazety?
- Nie. Przeczytam najpierw wiadomości sportowe z ostatniej strony.
- Dobrze.

Kiedy skończyła przeglądać swoją część, sięgnęła po resztę gazety. Ich ręce spotkały się. Oboje wzdrygnęli się, jak gdyby poraził ich prąd.

- Przepraszam — powiedzieli jednocześnie.

Gabrielle zastanawiała się, czy ich dalsze stosunki będą przypominały permanentną zimną wojnę, raz po raz zaostrzającą się bez wyraźnego powodu. Już otwierała usta, żeby sprowokować jakieś spięcie, ale na widok groźnej miny Paula porzuciła ten zamiar. Chwila nie była odpowiednia. Podniosła się, zabrała swoje nakrycia do kuchni i umyła je. Kiedy szła do swojego pokoju, Paul zawołał ją. Stała w drzwiach saloniku.

— Tak?

— Wybacz mi. Nie powinienem był wobec ciebie być tak nieprzyjemny.

— Nie ma sprawy — odrzekła. Kiedy powrócił do lektury gazety, najwidoczniej zadowolony, że przeprosiny ma już z głowy, Gabrielle cofnęła się do korytarza, poirytowana, ale też zarazem zaintrygowana jego zachowaniem. Jego słowa rozładowały trochę sytuację, ale z pewnością nie rozjaśniły jej. Fakt, że nie umiała się w tych okolicznościach odnaleźć świadczył, że nie jest w najlepszej formie.

Czas mijał, a Paulowi humor wcale się nie poprawiał, mimo że w końcu przyszedł pomóc jej poustawić meble i pozbierać kawałki szkła. Prawie ze sobą przy tym nie rozmawiali, a jeśli już, to wymieniane uwagi brzmiały nadzwyczaj uprzejmie. Kiedy skończyli, Paul narzucił na siebie kurtkę i skierował się w stronę drzwi.

— Dokąd idziesz? — spytała, ale w chwilę później już tego żałowała, bo to przecież nie była jej sprawa. — Pytam na wypadek, gdyby ktoś dzwonił — próbowała wybrnąć z sytuacji.

— Idę po nową szybę do okna.



— Więc pozwól, że dam ci pieniądze.  
— Ja ją wybiłem i ja za nią zapłacę.  
— Ale zrobiłeś to przeze mnie.  
— Nie ma o czym mówić, Gaby. Siedz sobie tu, odpręż się. Poczytaj gazetę, albo coś innego.

— A zakupy?  
— Zakupy?  
— Mieliśmy iść dziś do sklepu. Ale może wolisz pójść sam.

Westchnął ciężko.

— Ubieraj się. Równie dobrze możemy iść teraz.

Właśnie miała przypomnieć mu, że nie zrobili listy, ale po raz drugi tego dnia zrezygnowała ze swojej kwestii. Jeśli nawet o czymś zapomna, kupią to kiedy indziej. Wykluczone, aby w takim nastroju Paul chciał dyskutować, co jest lepsze — zielony groszek czy brokuły.

W samie Paul pochwycił wózek i manewrując nim zręcznie parł naprzód wąskimi, zatłoczonymi przejściami, w stronę półek z nabiałem.

— Będziemy wybierać rzeczy w drodze powrotnej.  
— Ale nabiał powinno się kupować na końcu — protestowała.

— Czemu?  
— Łatwiej się psuje.  
— Nie wiedziałem, że zamierzasz tu spędzić całe popołudnie.

Spojrzała na niego.

— Dobrze. Niech będzie. Co chcesz wziąć? — spytała, sięgając po kostkę masła i trójkącik brie. Paul zdjął z półki paczkę cheddara i kubek margaryny.

— Jajka? — spytała.

— Tak.

Wyciągnęła rękę po te z brązową skorupką. Pokręcił zdecydowanie głową.

— Jajka powinny być białe.

— Przecież nie jesz skorupkę. Co za różnica?

— Skoro nie ma różnicy, to weź białe.

Wzięła sześć takich i sześć takich, po czym majestatycznym krokiem podążyła do działu, nad którym wisiała tablica: „Mąka, cukier, kasza”. Kiedy Paul przyturlał za nią wózek, miała już w ręku pudełko otrąb owsianych.

— Co to? — dopytywał się nieufnie.

— Otręby. Bez cholesterolu.

— Ja jadam płatki kukurydziane.

— A nie możesz raz spróbować tego?

— Zawsze jadłem płatki kukurydziane.

Gabrielle zrezygnowana machnęła ręką. — Dobrze. Skoro tak się do nich przywiązałeś, weźmiemy płatki kukurydziane.

Miał jakiś dziwny grymas na twarzy. Poczują, że lody między nimi jakby trochę stopniały.

Przypomniała sobie siwy już ze starości bochenek chleba w lodówce.

— Trzeba też pomyśleć o pieczywie,

Pokiwał głową.

Westchnęła ciężko. — Weźmiemy pszenną bułkę i gruboziarnisty.

Gdy zbliżyli się do działu mięsnego, spytała:

— Co kupimy na obiad? Ciekawe, czy mają tu jakieś przyzwoite ryby.

— Zadziwiasz mnie.

— A co ty jadasz? — zaczęła, ale zaraz podniosła rękę. — Poczekaj, daj mi zgadnąć. Hot dogi i kotlety.

Uśmiechnął się. — I co jeszcze?

— Chyba umrzesz przed czterdziestką.

— Ważne, żeby nie nastąpiło to, zanim się wyprowadzisz.

Nie powinnaś sobie tym zawracać głowy.

— Czy możemy zawrzeć na tych kilka tygodni pewną umowę? Ja będę gotować, a ty przynajmniej skosztujesz wszystkiego, co przygotowuję.

Spojrzał do koszyka na zgromadzone tam wiktuały.

— Dobrze — rzekł w końcu. — Ale na pewno nie tknę tego czegoś zielonego.

Nie miała pojęcia, o czym on mówi.

— Tego czegoś zielonego?

— No tego, co wygląda jak kaktus.

— Karczochy?

— No właśnie. Tego.

Mało nie parsknęła śmiechem.

— Więc dobrze, nie będzie karczochów. Czego jeszcze nie chcesz?

— Kawioru.

— Nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby marnować na ciebie kawior.

— I raz w tygodniu będziemy wychodzić na pizzę, to może nie umrę z głodu.

Zaśmiała się, wyciągając ku niemu dłoń. — Umowa stoi.

Po chwili wahania wzięła ją za rękę.

— Stoi — powiedział cicho i utkwiał w niej wzrok.

Jego spojrzenie nie należało do tych, jakie wymienia się nad niedosmażonym hamburgerem. Przywodziło raczej na myśl blask świec i biały adamaszkowy obrus.

Albo może satynowe prześcieradło.

Wiedziała dobrze, że w całej tej rozmowie nie chodziło wcale ani o karczochy, ani o kawior. Paul bardzo potrzebował zawieszenia broni. Jego życie było zapewne do niedawna niezwykle proste, a teraz usiłował wprowadzić jakąś równowagę w ich skomplikowanych, zagmatwanych stosunkach. Od tego uścisku dłoni mieli zacząć wszystko od nowa.

Jednak pomimo układu zawartego w samie spożywczym, w tym dniu atmosfera wokół nich nadal była napięta, iskrzyły się niespokojne spojrzenia, a każda przypadkowa uwaga od razu nabierała dodatkowego znaczenia. Doszło do tego, że oboje chodzili po mieszkaniu niemal na palcach, żeby tylko nie mieć okazji się wzajemnie urazić.

Gabrielle w końcu zaszyła się w swoim pokoju i zasiadła, aby przejrzeć ogłoszenia o pracy. Chwilę później usłyszała, że Paul wychodzi z mieszkania. Serce tłukło jej się w piersiach jak szalone, ale usiłowała się skoncentrować. Zaplanowała sobie na

poniedziałkowe przedpołudnie dwie rozmowy w sprawie pracy. O obu tych wakatach słyszała od jakichś znajomych. Ale szukała czegoś jeszcze, zaznaczyła sobie jedną czy dwie oferty, żeby przynajmniej tam zadzwonić.

— Co będzie, jeśli nic z tego nie wyjdzie? — powiedziała na głos. — Ile czasu upłynie, zanim posłuchasz rady Paula i zaczniesz rozglądać się za czymś całkowicie odmiennym?

Jeszcze tylko jeden dzień, przyrzekła sobie. Jeżeli poniedziałkowe spotkania i rozmowy telefoniczne nie dadzą żadnego konkretnego rezultatu, poszuka czegoś zupełnie innego. Żeby nie zapomnieć o przyjętym zobowiązaniu, złożyła gazetę tak, że zaznaczone ogłoszenia znalazły się na wierzchu, i umieściła ją w widocznym miejscu: oparła o słoik po majonezie, w którym wciąż stały kwiaty; nieszczęsne, z trudem przeżyły poranny kataklizm.

Uznała, że czas je zmienić. Ponadto wizyta w ogrodzie mogła ukoić jej rozstrojone nerwy. Mogła też skryć się tam przed Paulem. Już się przekonała, że kiedy Paul wydaje z siebie pomruki niczym rozjuszony niedźwiedź, najrozsądniej zejść mu z drogi.

Niestety, jednak znalazł ją tam.

— Musimy porozmawiać — bez namysłu przystąpił do rzeczy, sadowiac się w krzesło naprzeciwko. Podniósł jeden ze ściętych przez nią kwiatów i zaczął obrywać płatki.

— Zgoda — odparła ostrożnie, przesuwając pozostałe kwiaty poza zasięg jego ręki. — O czym?

— O naszej... — Zawahał się. Nie patrzył jej w oczy. — O naszej umowie.

— Czy zawiera paragraf o wyjaśnieniu przyczyn twojego niezdolności od samego rana humoru?

— Zauważyłaś to? — spytał z kwaśną miną.

— To jeszcze mnie nie kwalifikuje do tytułu doktora psychologii. O co chodzi?

— Jest pewien problem.

— Już? Mieszkam tu dopiero od dwóch dni.

— Wystarczy.

Gabrielle wciągnęła gwałtownie powietrze. Odpowiedź była zupełnie nieoczekiwana. Zrobiło jej się bardzo przykro.

— Dajesz mi do zrozumienia, żebym się wyniosła?

Zbyt długo zwlekał z odpowiedzią.

— Nie — rzekł w końcu. — Prosiłem cię, żebyś się tu wprowadziła. Nie jestem tak nieodpowiedzialny, żeby cię teraz wyrzucać. — Oznajmił to ze stoickim spokojem. Miała ochotę go udusić. I może by to nawet zrobiła, gdyby nie była tak zdeprimowana i przygnębiona. — Musimy jednak zawrzeć pewne porozumienie.

— W jakiej sprawie?

— Naszych wzajemnych stosunków.

— To proste. Ograniczymy je do zera. — Powiedziała to bez namysłu, ale też bez dostatecznego, jej zdaniem, przekonania w głosie.

— Właśnie.

Nie udawała, że nie rozumie tej twardej odpowiedzi.

— Zdaje się, że wiem, o co ci chodzi. Od samego początku nasze ciała zachowują się tak, jakby nie przyjmowały do wiadomości, że nie jesteśmy dla siebie, że przybywamy

skądinąd i zmierzamy w różnych kierunkach. Czy nie mam racji?

— Tak. Rzecz w tym, że jesteś bardzo atrakcyjną kobietą. Mężczyźni trudno na to nie reagować, nawet jeśli wie, że sytuacja nie daje mu szans.

— I tobie właśnie jest trudno — postawiła kropkę nad i.

— Zgadłaś.

— Czy to pomoże, jeżeli będę się ubierać w luźne ciuchy?

Zaśmiał się.

— Nie sądzę. Mam wrażenie, że nawet gdybyś włożyła na siebie jutowy worek, widziałbym przez niego wszystko co trzeba. W pewnym sensie — dorzucił.

— Więc masz jakiś inny pomysł?

Popatrzył na nią bezradnie i potrząsnął głową.

Starła się wnikliwie przeanalizować sytuację. Zazwyczaj dobrze jej to wychodziło.

— Może źle podchodzimy do całej tej sprawy. Może powinniśmy porozmawiać o niej otwarcie. Ty mi się podobasz. Ja podobam się tobie. Oboje dobrze wiemy, że musimy to zignorować. Lecz to, co zakazane, robi się bardziej interesujące.

Podniósł rękę, żeby jej przerwać.

— Ten osobliwy wywód wymaga jednak pewnej konkluzji. W takiej sytuacji rozwiązaniem zgodnym z logiką natury byłoby iść na całego i patrzeć, dokąd to nas zaprowadzi.

Gabrielle przelknęła głośno ślinę. Sama przed sobą nie bardzo chciała przyznać, że pomysł jej się spodobał. Za każdym razem, kiedy patrzyła na mocne ramiona Paula, przywoływała na pamięć magię jego przypadkowych pieszczot. Teraz znów

zatrzymała wzrok na jego rękach i natychmiast ogarnęła ją płomień.

— Zdaje się, że wiem, co chcesz przez to powiedzieć — rzekła niepewnym głosem. — Uważasz, że możemy wpaść w jeszcze większe tarapaty.

— Ja to wiem — odparł z tak głębokim przekonaniem, że aż się uśmiechnęła.

— Widzisz jakieś rozwiązanie? — Pochyliła się lekko do przodu i patrzyła na niego rozszerzonymi oczami, podparwszy głowę ręką.

Paul pośpiesznie odgiął się do tyłu. — Nie rób tego.

— Czego?

— Nie patrz tak cholernie zachęcająco. Możesz tym spojrzeniem doprowadzić mężczyznę do szaleństwa.

Roześmiała się.

— Jeśli coś miałyby się między nami wydarzyć, to tylko za obopólnym przyzwoleniem, tak? Zatem dopóki oboje będziemy traktować rzecz całą, platonicznie, nie powinniśmy mieć kłopotów. Nie jesteśmy przecież parą lekkomyślnych, napalonych dzieciaków. A od jutra i tak wszystko już będzie wyglądało inaczej. Ty wrócisz do swojej pracy. Ja będę polować na jakąś posiadłość. Możliwe, że nawet się nie zobaczymy.

Tę jej rzeczową, trzeźwą wypowiedź przyjął z wyraźną ulgą.

— Masz zupełną rację.

Wstał. Był w znacznie lepszym nastroju niż pół godziny wcześniej, kiedy tu do niej przyszedł. Nawet nie wyciągnął ręki na zgodę. Po prostu wszedł do domu, pogwizdując.



A więc pomyślała, kiedy Paul zniknął jej z oczu, karty odkryte. Problem został przedyskutowany i przeanalizowany tak, jak to przystoi dwojgu rozsądnych, dojrzałych ludzi, którzy chcą naprawić popełnione błędy.

Teraz pozostaje po prostu z tym żyć. Tyle że sprawa się komplikuje. Gabrielle zorientowała się, iż z każdą godziną coraz większy kłopot sprawia jej uprzytomnienie sobie, dlaczego tak bezwzględnie do siebie nie pasują. Do licha, na pewno nie ma to nic wspólnego z karczochami. A zresztą ona także za nimi nie przepada.

scandalous

Rano cały ich rozsądny, logicznie ułożony plan diabli wzięli.

Zaspana, cierpiąca na rozsadzającą jej głowę poranna migrenę, za którą winiła Paula, bo wtargnął uwodzicielsko do jej snów, Gabrielle przydreptała bosą do wyziębionej kuchni. Odkręciła kurki, żeby napełnić wannę, nie przejmując się zbytnio, że leci za dużo gorącej wody. Ziewając, zsunęła szlafrok i wdrapała się do wanny, po czym powoli zanurzyła się w rozkosznym ciepłku. Opuściła się jeszcze niżej, zrobiła głęboki wdech i oparła głowę na kancie wanny. Bolesne napięcie w ramionach i szyi zelzało.

I wtedy właśnie usłyszała otwierające się drzwi. Drzwi do łazienki! Zaledwie parę kroków od niej. Tylko jedna osoba mogła o tej godzinie je otwierać. Chyba że jakiś włamywacz oryginał zapragnął się tam ogolić.

— Paul, żeby ci nie przyszło do głowy tu wchodzić! — Najzupelniej już przebudzona wydała z siebie histeryczny pisk, od którego jeszcze bardziej zaczęła ją łupać głowa.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a jednocześnie pod jej czaszką rozległ się dźwięk niczym wystrzał z dubeltówki. Błagała Boga, żeby okazało się, że Paul jej nie widział.

— Do diabła, Gaby, przecież umówiliśmy się.

Wycofał się. Ale wyczuwała przez drzwi, że jego oburzenie złagodził lekki zawrót głowy. Najwyraźniej ostrzegawczy krzyk był spóźniony i nie uchronił jej przed wzrokiem Paula. W

kuchni natychmiast zrobiło się o kilka stopni cieplej, od czego na policzki wystąpiły jej rumieńce.

— Zapomniałam — powiedziała niezwykle, jak na nią, potulnie. Wyglądała na bardzo zakłopotaną.

— Ta umowa to był twój pomysł. Chciałaś, żeby do wpół do ósmej nie było mnie w kuchni. A jest właśnie dwanaście po siódmej.

— No dobrze, nie spojrzałam na zegarek. Czy masz zamiar mnie zamordować za tych osiemnaście marnych minetek?

— Nie myślałbym o tym, gdybym nie tkwił w tej łazience jak w potrzasku. Wylaż z wanny. Skończysz się kąpać później, kiedy ja się umyję.

Wcale nie miała ochoty wychodzić. Przeczuwała, że w budynku nie ma dostatecznej ilości ciepłej wody, żeby druga kąpiel mogła być równie gorąca.

— Daj mi dziesięć minut. Tylko tyle.

— Wylaż — powtórzył nieustępliwie. — Tracę przez ciebie czas.

— Pięć minut — targowała się, sięgając jednocześnie w wielkim pośpiechu po mydło.

— Nie ma mowy. Muszę iść do pracy. Już właściwie jestem spóźniony. I tak mogę zapomnieć o własnej kąpieli. Teraz wychodzę.

Pomyślała, że jak na człowieka, którego przyłapała na dość swobodnym traktowaniu czasu, Paul zbyt nieoczekiwanie zrobił się tak strasznie punktualny. W obecnej sytuacji ta zmiana usposobienia wyglądała wyjątkowo podejrzanie.

— Nie waż się... — zaczęła wyniośle, z oburzeniem w głosie. Przerwała usłyszawszy zgrzyt naciskanej klamki. Patrzyła na otwierające się drzwi z niedowierzaniem i przerażeniem. Wszedł. Z marsową miną. Owinięty ręcznikiem. Serce waliło jej nierówno. Jego ramiona i barki były w każdym calu tak umięśnione, jak to sobie wyobrażała. Brzuch... zresztą mniejsza o to. Jego nagi brzuch nie powinien obchodzić damy.

Sama znajdowała się w nie lada kłopotcie. Spojrzała w dół. Na powierzchni wody nie było piany, nawet małych bąbelków z mydła. A na dodatek w pobliżu nie widziała ręcznika. Nie okazała się na tyle przewidująca, żeby przed wejściem do wanny przynieść go z łazienki. Zapomniała o specyficznej logice zagospodarowania przestrzeni w tym mieszkaniu.

— Paul, jeżeli upierasz się, żeby tędy przejść, mógłbyś przynajmniej zamknąć oczy — rzekła władcym tonem, szukając prowokacyjnie jego wzroku. To była taktyka, którą jej matka stosowała z wyjątkowym powodzeniem wobec wszystkich — od ojca Gabrielle do ogrodnika. Im jednak nigdy nie zdarzyło się zareagować na to z takim rozbawieniem, jakie teraz dostrzegła na twarzy Paula.

— Jeśli zamknę oczy, mogę się potknąć i wylądować razem z tobą w wannie — zauważył; najwyraźniej nie był pod wrażeniem jej nie znoszącego sprzeciwu głosu. W gruncie rzeczy wyglądało na to, że jej skrzępowanie zaczyna go bawić.

Zmieniła strategię.

— Więc patrz na blat. Będzie twoim przewodnikiem. Proszę.

Kiedy zrobił jak powiedziała, uważnie przez nią obserwowany, uświadomiła sobie, że jest teraz najnormalniej w świecie uwięziona w kuchni — w tej cholernej wannie — dopóki Paul nie opuści mieszkania. Oczywiście, może wrócić do swego pokoju ociekająca woda, pozostawiając za sobą mokre ślady (już słyszy jego narzekania), nałożywszy jedwabny szlafrok, który zresztą natychmiast przylepi się do niej i więcej będzie ujawniał niż skrywał. Może też rozplakać się i poprosić o ręcznik.

Wciąż jeszcze rozważała wady i zalety tych alternatywnych rozwiązań, kiedy usłyszała, jak ktoś za nią gwałtownie nabiera powietrza. Ona z kolei wstrzymała oddech.

— Do diabła, Gaby, jeszcze tu jesteś?

Opuściła się jeszcze niżej w pociemniałą, lodowatą teraz wodę. Miała ogromną ochotę odgryźć mu się jakoś. Z całego serca pragnęła dokładnie go poinformować, gdzie może sobie wsadzić swoje ustawiczne, obłudne oburzenie. Myślała, jak by mu utrzcęć nosa za to, że nie okazał ani krzty zrozumienia dla jej kłopotliwej sytuacji. Koniecznie chciała mu przypomnieć, jak powinien wobec kobiety w takim położeniu postąpić prawdziwy dżentelmen.

Ale życie jest brutalne: ona potrzebowała ręcznika, a w zasięgu wzroku nie było żadnego dżentelmena.

— Jak tylko przyniesiesz mi ręcznik, z radością zejdem ci z drogi — powiedziała, skrywając rozsadzającą ją złość w oziębłym, oficjalnym tonie.

Ku jej zaskoczeniu zrobił dokładnie i bez szemrania to, o co go prosiła. Jednak kiedy wrócił z ręcznikiem, odrobinę zbyt

długo stał w progu. Jego obecność za plecami Gabrielle zdradził nierówny oddech. Zatem albo źle się poczuł, albo przystanął, żeby popatrzeć, pomyślała. Ale gdy dostrzegła jego mocno napięte mięśnie, mogła się już z powodzeniem założyć, że chodziło, o to drugie. Tym bardziej, że wpatrywał się w nią jak sroka w gnat. Mimo że woda robiła się coraz zimniejsza, od jego niespiesznego penetrującego spojrzenia skóra zapłonęła jej żarem. Nagle przypomniała sobie sobotni wieczór, pokój spowity księżycowym blaskiem, głęboki błękit jego oczu i przyspieszone bicie ich serc.

Wreszcie usłyszała jego kroki, ciche, niepokojąco bliskie. Może był bardziej szlachetny niż sądziła, ale gdyby nie okazało się to prawdą, mógł zupełnie wyraźnie dostrzec tuż pod powierzchnią wody jej napięte sutki, brzuch i ciemny trójkąt włosów poniżej. Głośno przelękając ślinę, wyciągnęła rękę po ręcznik.

— Potrzymam go, jeśli chcesz — rzekł ochryłym głosem.

Oboje dobrze wiedzieli, że to absolutnie nie była dżentelmeńska propozycja, tylko zwykłe uleganie pokusie, wyzwanie rzucone zdrowemu rozsądkowi. Ale jeszcze chwila zwłoki, a Gabrielle gotowa była oblać się zdradliwym rumieńcem, na oczach Paula, czego bardzo sobie nie życzyła.

Wściekła, ale też niewątpliwie podniecona targającymi ją doznaniem, pozwoliła sobie na szybki rzut oka w jego stronę. Ukradkowe spojrzenie zarejestrowało wyraźne falowanie torsu, napięte kąciki ust i wygłodniałe oczy, które przechwyciły jej wzrok i przytrzymały na całą wieczność.

Kiedy już myślała, że ją pokonał, zamknął oczy i wymamrotał coś, co brzmiało jak skrzyżowanie przekleństwa z westchnieniem żalu. Rzucił ręcznik i wyszedł, zatrząskując za sobą drzwi. Ten dźwięk przeniknął aż do jej duszy.

W głuchej ciszy, jaka potem zapadła w mieszkaniu, Gabrielle zadrżała gwałtownie na myśl o tym, jak nie wiele brakowało... Ubrała się pośpiesznie i opuściła dom, chcąc jak najszybciej zapomnieć przyprawiający o utratę zmysłów dreszcz rozkoszy, który nią wstrząsnął pod jego gorącym, przeciągłym spojrzaniem. To nieznośne, dręczące wspomnienie nie opuszczało jej jednak nie pozwalając, skupić myśli.

Mimo to zdołała w drodze na Manhattan dokonać przeglądu najważniejszych spraw do załatwienia. Ale tego dnia nic nie mogło się udać. Na rozprutym siedzeniu w metrze podarła ostatnią parę drogich pończoch. Pierwszy dwustronicowy formularz, który był podaniem o pracę, wypełniła drżącą ręką, w związku z czym efekt mało przypominał jej zazwyczaj zdecydowane pismo. Na kilka sekund zupełnie wyleciał jej z pamięci nowy adres. Podczas pierwszej rozmowy patrzyła tępo na swojego ewentualnego pracodawcę, nie mogąc przypomnieć sobie jego nazwiska i zadanego wcześniej pytania, za to mając doskonale wrytą w pamięć twarz Paula.

Rozmowa trwała krótko i zakończyła się dyplomatycznym i nie obiecującym uściskiem dłoni. Po raz pierwszy w życiu Gabrielle zażyczyła sobie do obiadu drinka. Wyszuszyła szklaneczkę *martini* dwoma szybkimi łykami i miała ochotę zamówić jeszcze jedną. I tylko żelazna samodyscyplina, a także

perspektywa kolejnej rozmowy odwiodły ją od tego. Nawet nie tknęła swojej surówki. Była zupełnie rozstrojona. Rozdrobniła palcami chrupiącą bułeczkę, usypując kopczyk z okruszków, a potem przypatrywała się swemu dziełu ze zdziwieniem.

Przeglądając się w lustrze w damskiej toalecie dostrzegła w swoich oczach jakiś niepokój. Żaden mężczyzna nigdy jej tak nie zaskoczył. Żaden mężczyzna tak zręcznie nie dokonał wyłomu w jej umocnieniach obronnych, choć wielu próbowało. Co gorsza, Paul nawet nie próbował. On przecież także walczył ze sobą. Nie miała wątpliwości, że gdyby kiedyś ich zdrowy rozsądek skapitulował, wybuch namiętności przeszedłby wszelkie oczekiwania. Szkoda tylko, że w gruzach po tej eksplozji ległyby również ich złamane serca.

Gdyby była rozsądna, wyprowadziłyby się natychmiast. Skorzystałaby z którejś propozycji i na pewien czas zamieszkałaby w domu jakichś przyjaciół, Paul Reed stałby się jedynie mglistym wspomnieniem. Wiedziała, że stanowczo powinna tak zrobić, dopóki jeszcze był na to czas. A jednak...

Młotek ześliznął się i trafił obok gwoźdźcia, pozostawiając półkoliste wgłębienie w kosztownej mahoniowej boazerii. Miotając przekleństwa, Paul spojrzął na trzymane w rękę narzędzie wzrokiem pełnym wściekłości. Młotek nie był jego. Swoją zostawił w domu, razem z całym kompletem narzędzi — wszystko przez tę poranną szaleńczą ucieczkę z mieszkania. Nie chciał się wrócić, żeby nie ryzykować jeszcze jednego stresującego spotkania z Gabrielle, więc pożyczył to, co mu było potrzebne od własnego pracownika, jednego z kilku, z którymi



biedził się przy odnawianiu budynku w zamożniejszej części Brooklynu.

Wciąż mamrocząc coś pod nosem, oderwał przymocowaną już listwę i cisnął ją na bok. Właśnie sięgał po następną na jej miejsce, kiedy usłyszał czyjś nerwowy kaszel.

— Ehe, szefie.

Tylko jeden z jego podwładnych odnosił się do niego z należnym dystansem i nazywał szefem. Gdy Paul się odwrócił, napotkał zaniepokojone spojrzenie chudego, o blond włosach osiemnastolatka, który pracował jako pomocnik stolarza. Twarz nieco mu się rozjaśniła. Mimo że chłopak zachowywał się niekiedy nazbyt pyszałkowato i pozwalał sobie na cierpkie, cyniczne uwagi, był w gruncie rzeczy dobrym dzieciakiem. Potrzebował tylko, żeby ktoś w niego uwierzył, tak jak Paul, kiedy był w jego wieku.

— O co chodzi, Mike?

— Może powinien pan zrobić sobie przerwę — rzekł ostrożnie.

To zabrzmiało jak dobra rada. I oto kto mu jej udziela — jakiś smarkacz! W Paulu zawrzała krew.

— Dlaczegoż to? — spytał podejrzanie cicho. Najwyraźniej było to ostrzeżenie.

Nieczuły na takie subtelności, Mike nalegał:

— Czas na lunch.

— No to idź jeść — Paul powiedział to takim tonem, że każdy inny zszedłby mu od razu z oczu. Ale pryszczata twarz Mike'a nabrała tylko jeszcze bardziej wyzywającego wyrazu.

Chłopak zaryzykował, nawet postąpienie kroku w stronę szefa. Paul w głębi serca podziwiał go za to.

— Idzie pan? — spytał Mike, nie tracąc nadziei.

— Nie teraz.

Mike westchnął, ale nie spuszczał Paula z oczu.

— Może pan jednak powinien.

Paul, rozdrażniony, rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Mówię to dlatego — chłopak nie dawał za wygraną — że dziś rano zdażył pan już zepsuć pięć desek. — Tracił zdartym roboczym butem stertę zmarnowanego drewna. — Jak tak dalej pójdzie, będzie pan musiał jeszcze do tej roboty dołożyć.

Paul patrzył na podziobane deski, jak gdyby nie miał pojęcia, skąd one się wzięły. Westchnął ciężko, po czym uśmiechnął się kwaśno.

— Może masz rację — przyznał w końcu. — Skocz po jedzenie, a ja polecę do sklepiku po wodę sodową.

Mike przyniósł czarne pudełko, takie samo, jakie miał Paul.

— To jest mój lunch. Pańskiego nie mogę znaleźć.

No pewnie, że nie możesz, w myślach zgodził się z nim z goryczą Paul. Bo zostało w domu, w tej piekielnej kuchni. Tuż obok narzędzi. Właśnie tam, gdzie tego ranka, o siódmej trzydzieści dwie, stracił głowę z powodu panny Gabrielle Clayton.

Jutro rano, jak tylko wstanie, narzędzia i lunch położy sobie przy drzwiach wyjściowych. Jutro rano wyjdzie z domu kwadrans po siódmej i ani sekundy później. A może nawet

punkt siódma. Jutro rano, jeśli będzie miał trochę szczęścia, uniknie wszelkich pokus.

Ale co będzie dziś wieczorem, to już zupełnie inna sprawa.

Dzień Gabrielle kończył się dla niej na tyle lepiej niż zaczął, że przynajmniej nie wsiadła do niewłaściwej kolejki, nie zgubiła portmonetki ani nie została napadnięta. Ale i tak był to jeden z najgorszych dni w jej życiu. Zarówno przebieg dwóch rozmów, jak i fakt, że do kilku innych w ogóle nie doszło, utwierdziły ją w przekonaniu, że już nigdy nie będzie pracować jako makler. Zgodnie z obietnicą daną sobie miała przyjąć taki obrót rzeczy za sygnał do odwrotu i poszukiwania jakiegoś nowego pola działania. Ponieważ wszelkie obawy się sprawdziły i czekała ją bardzo niepewna przyszłość, była bardzo przygnębiona.

Nastroju nie poprawił jej widok pokoju, a zwłaszcza zgromadzonych przez Paula ślicznych mebelków. Nie zdejmując okrycia, zaszeleściła pożółkłymi kartkami książki adresowej i po chwili znów wyszła.

Wróciła dwie godziny później, już w zdecydowanie lepszym humorze, z trudem taszcząc po stopniach przed domem swoje nabytki. Zdołała je jeszcze wnieść do holu i zwalić pod schodami na górę. Do jej uszu dochodziła muzyka i stukanie młotka. Wcale nie była z tego powodu poirytowana, jak mogłaby się spodziewać; wręcz przeciwnie, cieszyło ją, że Paul jest w domu i może jej pomóc. Zawołała najgłośniejszym jak potrafiła.

Walenie ustało, ale jakaś nie znana jej rockowa piosenka rozbrzmiewała nadal. W tym zgiełku nie słyszała, jak otwierały

się drzwi, ale w porę dostrzegła Paula wychylającego się przez balustradę.

— Bogu dzięki — powiedziała z prawdziwą ulgą.

— Co? — Trzymał przy uchu zwiniętą dłoń, dając jej tym do zrozumienia, że nic nie słyszy.

— Potrzebuję twojej pomocy — krzyknęła.

— Co?

Wzruszyła ramionami i pokazała na kolekcję trofeów zgromadzoną w holu, a potem ruchem ręki poprosiła, żeby zszedł na dół. Zbliżał się powoli, z ostrożnością człowieka, który spodziewa się wszystkiego, tylko nie serdecznego przyjęcia. Przystanął asekuracyjnie trzy schodki nad podłogą, jak gdyby przygotowując się do szybkiego odwrotu.

— Co to jest? — spytał, przyglądając się dwóm pokiereszowanym stolikom i wielkiej torbie z pobliskiego sklepu chemicznego.

— To do mieszkania — odparła z ożywieniem, zdecydowana puścić poranny incydent w niepamięć. — Czyż te stoliki nie są cudowne? I znalazłam jeszcze wspaniałą kanapę. To znakomita okazja, ale nie widziałam sposobu przyniesienia jej do domu, więc pomyślałam, że może zechcesz rzucić na nią okiem, zanim ją kupimy.

— Czemu robisz to wszystko? — Nie wiedział, co o tym myśleć.

— Co?

— Meblujesz mieszkanie, w którym nie zamierzasz przecież zostać dłużej niż tylko parę miesięcy.

— Ponieważ nie jestem pewna, czy wytrzymam w nim nawet tych kilka miesięcy, patrząc codziennie na zgromadzone przez ciebie sprzęty.

Obrzucił stoliki krytycznym spojrzeniem.

— Pozwól sobie powiedzieć, że one zbytnio nie podniosą standardu twojego pokoju. Masz pojęcie, ile jest na nich warstw lakieru?

— Sześć — odparła natychmiast. Zaśmiała się, kiedy obrzucił ją pełnym zaskoczenia spojrzeniem. — Skrobałam, skrobałam i doliczyłam się sześciu. Myślę, że to może być drewno wiśniowe. No chodź. Pomóż mi wnieść je na górę.

— Jak je tu przytargałaś? — spytał, ustawiając jeden mebel na drugim.

— Nie przyszły same, przynajmniej tyle mogę ci powiedzieć.

Przyglądał jej się z niedowierzaniem, mierząc ją spojrzeniem od stóp do głów.

— I tę torbę też przyniosłaś? Z jak daleka przywlokłaś to wszystko?

— Z niedaleka. Stoliki znalazłam w absolutnie fenomenalnym komisie kilkanaście numerów stąd, a torbę niosłam ze sklepu chemicznego, który też jest w pobliżu.

Paul patrzył na nią tak, jak gdyby właśnie zaproponowała, że podniesie koniuszkami palców wóz meblowy.

— Czyś ty zwariowała? Dlaczego nie poprosiłaś o pomoc?

— Do licha, przecież to wcale nie jest tak daleko. Chociaż często musiałam przystawać — przyznała.

— Ty i ta twoja idiotyczna niezależność — oburzał się. —  
Było wystarczająco daleko, żebyś sobie nadwyrężyła kręgosłup.

— Mój kręgosłup ma się świetnie.

— Zobaczymy, co powiesz jutro rano.

— To moja sprawa.

— Niezupełnie, jeżeli masz zamiar wymoczyć go w wannie z gorącą wodą — odparł, patrząc na nią znacząco. —  
Następnym razem poproś mnie o pomoc, dobrze?

— Dobrze — odrzekła wyjątkowo jak na nią cicho. Ta jego troska w połączeniu z żywym jeszcze płomiennym wspomnieniem sprawiły, że nie trafiła nogą na stopień. Potknęła się i tylko dzięki swemu refleksowi nie spadła tyłem ze schodów. Otrząsnęła się i odzyskała poczucie rzeczywistości. W skupieniu dokończyła wędrówkę na górę. Kiedy Paul ustawił stoliki dokładnie tam, gdzie chciała, pokiwała głową z satysfakcją, po czym zdjęła futro i rzuciła je w poprzek kanapy.

— Wiedziałam, że będą tu pasować.

— Rzeczywiście — wyglądało na to, że Paul też jest zadowolony. — A co z lakierem?

Nie przejmując się, że jest wyjściowo ubrana, Gabrielle przyklękła i zaczęła wyjmować z torby puszki z rozpuszczalnikiem, kłębki waty stalowej, rękawice ochronne i pojemniki z chińskim lakierem.

— Sprzedawca zapewnił mnie, że nic więcej nie będzie nam potrzebne.

— Nam?

Posłała mu swój najbardziej ujmujący uśmiech.

— Będziesz mi musiał pomóc. Nie znam się na odnawianiu mebli.

— Ani ja.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Naprawdę?

Na jego wargach pojawił się nikły uśmiezek.

— Naprawdę.

— Ale skoro różne rzeczy malujesz, to chyba też wiesz, jak się zmywa lakier.

Wzruszył ramionami!

— W twoich ustach brzmi to logicznie, ale prawda jest taka, że nigdy w życiu tego nie robiłem. Czasami tylko topię farbę przy pomocy palnika.

Zmarszczyła brwi.

— Nie sądzę, żeby to się dało zastosować do mebli.

— Chyba nie — zgodził się.

— No cóż. Jest to pewien problem, ale z pewnością można się z nim uporać. W końcu nie musi to być takie trudne, a na puszkach jest przecież instrukcja.

— Gaby, strasznie podoba mi się twój entuzjazm, ale teraz nie możemy tego robić. Mam na dole swoją pracę. Chcę od przyszłego miesiąca wynająć tamto mieszkanie.

— Nie mógłbyś zostawić tej roboty przynajmniej na dzisiejszy wieczór? — nie umiała ukryć rozczarowania. — Pracowałeś cały dzień. Jakiego ty masz szefa?

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu wybuchnął śmiechem.

— Najlepszego, jakiego można mieć. Sam jestem swoim szefem.

— Przecież, o ile wiem, jesteś stolarzem. A ponadto malujesz i Bóg wie, co jeszcze robisz.

— Zgadza się — powiedział. — Wszystkie te prace wykonuję przez cały dzień przy renowacji pewnego domu w innej części tej dzielnicy.

Szukała logicznego wyjaśnienia: — Więc to jest twoja druga posada?

— Co?

— Doprowadzenie tego budynku do stanu używalności i administrowanie nim?

Potrząsnął głową i odpowiedział jej z cierpliwością, z jaką się zazwyczaj traktuje nazbyt ciekawskie dzieci.

— Nie, Gaby. Ten dom jest moją własnością.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nie mogąc do końca zrozumieć tego, co przed chwilą powiedział.

— Ale...

— Ale co?

— Sądziłam, że jesteś po prostu... — Nie, teraz nie umiałaby powiedzieć, co naprawdę myślała.

— To nie moja wina, że wyciągnęłaś złe wnioski.

— Ale ty wcale nie próbowałaś wyprowadzić mnie z błędu — odpowiedziała oskarżycielskim tonem. Czuła się dziwnie: nędznie oszukana, ale i przyjemnie zaskoczona. — Pozwoliłeś mi sądzić, że jesteś prostym robotnikiem.

Te słowa wypsnęły się jej, zanim zdążyła je powstrzymać. Poznała swój błąd natychmiast, gdy spojrzała Paulowi w oczy. Aż zaiskrzyły się ze wściekłości.



— Bardzo cię przepraszam — jego lodowaty głos zmroził ją aż do szpiku kości. — Nie widzę nic zdrożnego w wymianie rzetelnej pracy swoich rąk na przyzwoitą dniówkę, niezależnie od tego, jak nisko niektórzy ludzie oceniają tę pracę.

— Wcale nie to miałam na myśli — odparła markotnie.

— Ja jednak nie widzę innego wyjaśnienia. I czy nie to właśnie, że uważałaś mnie za nikogo więcej, tylko prostego robotnika — najwyraźniej zdecydował się upokorzyć Gabrielle rzucając jej w twarz jej własne, nieprzemyślane słowa — trzymało cię z dala od mojego łóżka? Czy teraz wszystko się zmieniło, kiedy już wiesz, że jestem właścicielem nieruchomości, że mam konto w banku, że moja egzystencja opiera się na solidnych podstawach? Czy nie tak, Gaby?

Wstając napotkała jego rozplamiony wzrok.

— Bardzo mi przykro. Wyszło na to, że jestem najgorszą snobką pod słońcem, ale ty mnie chyba celowo nie próbujesz zrozumieć.

Wciąż patrzył na nią nienawistnie.

— Czyżby? Co cię w takim razie powstrzymało?

— Nie jesteśmy dla siebie odpowiednimi partnerami — odpowiedziała, zdając sobie sprawę, że ten argument nie brzmi przekonująco. Istnieją przecież dosłownie setki powodów, dla których dwoje ludzi może nie być dla siebie odpowiednimi partnerami. Ale ona nie chciała rozmawiać o konkretach.

— Nie jestem wystarczająco dobry dla ciebie, czyż nie tak właśnie myślałaś?

— Nie — zaoponowała, ale w głębi duszy dobrze wiedziała, że dokładnie o to chodziło.

Przejechał dłonią po włosach.

— Na miłość boską, Gaby, nie kłam. Po co to robisz?

Po co? Bardzo nie chciała, żeby się dowiedział, jak potrafi być płytka. Niestety, wyglądało na to, że się już na niej poznał.

— Przez cały czas wiedziałeś, że jestem w błędzie, prawda? — odezwała się wreszcie. Ponieważ nie odpowiadał, podniosła głos, próbując część winy zrzucić na niego. — Prawda?

Westchnął znużony.

— Tak. A przynajmniej tak podejrzewałem.

— Więc czemu nie zrobiłeś nic, żeby wyjaśnić to nieporozumienie? Widzisz, do czego to doprowadziło? Bawiło cię wpuszczanie mnie w maliny?

— Nie przypisuj mi tego, co sama robiłaś. Oceniałaś mnie bardzo powierzchownie, przylepiłaś mi etykietkę, zaszufładowałaś. — Schwycił ją za ramiona i ścisnął tak mocno, że przez chwilę nie mogła złapać powietrza. Nie skarżyła się jednak na ból, bo stwierdziła, że nie był wcale większy, niż udręka, którą dostrzegła w jego oczach.

— Jestem człowiekiem, Gaby. Jednostką ludzką w całej swej złożoności. Tak jak ty.

Zderzyli się spojrzeniami; jej było pełne skruchy, jego — płonące gniewem i zaprawione goryczą.

— Cholerny świat — zaklął cicho, opuszczając ręce.

Wyglądało na to, że próbuje się przed czymś powstrzymać.

Gabrielle rozcierała ramiona i czekała na kolejny wybuch. Ponieważ nie następował, rzekła zachęcająco:

— No proszę, ulżyj sobie.

— Daj spokój.

— Śmiało, idź na całego. A jak nie, to może moja kolej, może teraz ja powinnam ci coś uprzytomnić: ty również przyłożyłeś do mnie szablon. Jednak istnieje pewna różnica: ja wielokrotnie próbowałam dowieść, że nie masz racji. Jestem dla ciebie bogatą primadonną, zepsutą lalką, i nie staraj się mi wmówić, że się mylę. A poza tym masz jakąś obsesję na punkcie pieniędzy. Nawet ja to widzę.

Wziął głęboki oddech.

— Zgoda, z nas dwojga nie ty jedna jesteś winna! Tym bardziej powinniśmy trzymać się od siebie jak najdalej. Mamy na siebie zły wpływ.

Wcale tak nie uważała i natychmiast dała temu wyraz:

— Nie zawsze.

Był zaskoczony, patrzył na nią pytająco. Dodała:

— Przynajmniej mówię o sobie.

— Nie rozumiem.

— Przez cały dzień nie mogłam zapomnieć o dzisiejszym poranku. Nawet mnie nie dotknąłeś, a ja czułam się najbardziej pożądaną kobietą pod słońcem. Płonęłam wewnętrznym ogniem jak nigdy dotąd.

— To zwykła ludzka namiętność, Gaby. Nigdy nawet nie usiłowaliśmy udawać, że jest nam obca. A poza tym — podszedłem tak diabelnie blisko dziś rano, żeby cię wypłoszyć.

Potrząsnęła głową i zaśmiała się.

— Nie próbuj tego, co się wydarzyło sprowadzać do rangi jakiegoś kiepskiego scenariusza, ze mną jako nieszczęsną

ofiara w roli głównej. Ja pragnęłam ciebie równie mocno, jak ty pragnąłeś mnie.

— To nie wystarczy, Gaby. Żebyśmy mogli żyć ze sobą w zgodzie, potrzebny nam wzajemny szacunek, a chyba właśnie się przekonaliśmy, że z tym jest kłopot. Nasze ciała mogą być w idealnej harmonii — mówił głosem pełnym goryczy i żalu — ale nasze głowy tkwią w dwóch różnych światach.

Gabrielle chciała zaprotestować, ale w tym, co powiedział było zbyt wiele prawdy. Jeśliby mieli ochotę poszukać jakiejś wspólnej drogi, musieliby zacząć wszystko od początku. Mogłoby się to wydawać nierealne, gdyby nie jedna rzecz.

— A co powiesz o sercach? — odezwała się w końcu, wyciągając rękę w stronę jego torsu. Zadrżał, kiedy jej palce zatrzymały się w miejscu, gdzie serce waliło mu zdradliwym rytmem. — Co o nich powiesz?

Popatrzył na nią ironicznie, ale Gabrielle nie czekała na odpowiedź. Podniosła futro i oddaliła się, nie wiedząc właściwie, dokąd idzie.

Paul nie odrywał wzroku od drzwi, które zamknęły się za Gabrielle, mimochodem zauważając, że na górze obluzowała się framuga. Odruchowo poszedł po młotek i garść gwoździ, ważąc w myślach jej ostatnie słowa.

O czym ona, do diabła, mówiła? O miłości? To szaleństwo. Prawie się nie znają. Przecież przez cały czas na ich znajomości ciąży — przynajmniej w sferze podświadomości — owo naprawdę złe pierwsze wrażenie, z gatunku tych, co to nie wzniecają miłości ani żadnego podobnego uczucia.

A może ludzie pokroju Gabrielle w ten sposób próbują niejako usankcjonować stosunki seksualne. Do których — pomyślał ponuro — między nimi zresztą nie doszło. Możliwe, że w jej środowisku trzeba jakoś motywować nawet pożądanie.

Cóż, może sobie to nazywać, jak chce. Jemu jest wszystko jedno. Ale on by jednak te sprawy rozdzielał. Pożądać można zupełnie obcej osoby, na przykład jakiejś pani ze „zgrabnymi nogami albo z długimi rudymi włosami, które mienia się w słonecznym blasku. Ale za nic nie można kogoś, kogo się nie zna, pokochać. A właśnie ich ostatnia kłótnia dowiodła, że oboje z Gabrielle nie wiedzą o sobie nawzajem więcej, niż dwoje ludzi, którzy usiedli na sąsiednich stołkach w barze. Od paru dni mówią do siebie, ale żadne z nich z pewnością nie słucha.

Jednak dopóki Gabrielle znów nie pojawi się w domu, nic na to nie może poradzić. Wrócił więc do pracy w mieszkaniu na drugim piętrze. Im prędzej je wykończy i wynajmie, tym prędzej wyremontuje pierwsze piętro, aż wreszcie swoje własne

mieszkanie na parterze. Wtedy będzie go od tej kobiety dzieliła przyzwoita przestrzeń, zakładając, że Gabrielle znacznie wcześniej nie wyniesie się z jego domu. Ale o tym nie chciał myśleć.

Tego wieczora, z chwilą powrotu Gabrielle do domu, kiedy dostrzegł ożywienie w jej oczach, początkowo ucieszył się. Był przekonany, że ów promienny uśmiech i szczery entuzjizm mogło wywołać tylko znalezienie nowej pracy. Gdy ujrzał te dwa stoliki i zorientował się, że Gabrielle zamierza dłużej zatrzymać się pod jego dachem, serce wypełniło mu poczucie ulgi i — w pewnym sensie — zwycięstwa. Tak, jakby te meble były świadectwem jakiegoś zobowiązania.

Tym bardziej przygnębiający był dalszy rozwój wydarzeń. W jaki sposób, wśród przekomarzania się i żartów na temat jej zakupów, sytuacja ta gwałtownie wymknęła się spod kontroli? W jednej chwili rozmawiali o lakierze, o tym, jak nim malować i jak go zmyć, a już w następnej wzajemne oskarżenia i zarzuty świsnęły w powietrzu, sięgając celu i raniąc.

Choć bardzo się starał, nie umiał wytłumaczyć sobie motywów postępowania Gabrielle. Swoje natomiast znał nazbyt dobrze. Wyzwolił właśnie, przynajmniej w pewnym stopniu — przez lata tłamszone emocje, winił Gabrielle za dawno doznane upokorzenia, bronił się przed udręką jeszcze jednego odrzucenia. Pragnął zachować pewien psychiczny dystans w sytuacji, gdy przestrzeń fizyczna była ograniczona. Na tę potrzebę wskazał mu poranny incydent.

Po blisko godzinie od wyjścia Gabrielle z domu, usłyszał otwieranie drzwi na dole, a następnie ciężkie, powolne,

zmęczone kroki. Kiedy ten odgłos zbliżył się do drugiego piętra, wstrzymał na chwilę oddech, po czym odetchnął głęboko. Wyglądało na to, że tego wieczora nie zanosi się już na żadną nową sprzeczkę, na żadne rozpamiętywanie wcześniejszej kłótni. Może to i lepiej. Może rano, z jaśniejszymi umysłami, łatwiej im będzie rozwiązać ich problemy. Nie opuszczał go jednak pewien niepokój.

Skoncentrował się na nowo i powrócił do montowania szafek kuchennych. Nagle przestraszył się, kiedy niespodziewanie dostrzegł stojącą w drzwiach Gabrielle. Zmieniła swój typowy strój kobiety interesu na dżinsy i zadziwiająco wypłowiałą, porozciągana na wszystkie strony, bawełnianą bluzę. Nigdy nie wyglądała bardziej pociągająco i przystępnie. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Po chwili jednak odwrócił się do swoich szafek, precyzyjnie dopasował dwie deski narożnika i wbił w to miejsce gwóźdź.

— Co nam się stało, Paul? — odezwała się cicho. Drżenie w jej głosie znów poruszyło go do głębi. Nie śmiał na nią spojrzeć. Wiedział, że jeśli to zrobi i jeśli zobaczy w jej oczach najmniejszą choćby oznakę słabości, chwyci ją w ramiona i oboje będą zgubieni.

— Doszliśmy do wniosku, że żyliśmy dotąd w nierealnym świecie. Aż wreszcie dała o sobie znać rzeczywistość. — Starał się, żeby jego głos brzmiał chłodno i obojętnie.

— Nie sądzę. — Zdziwił go jej pełen przekonania ton.

— Więc o co, według ciebie, chodziło?

— Myślę, że zanadto zbliżyliśmy się do siebie. Ponoszą cię uczucia, których nie chcesz, więc miałeś ochotę je zniszczyć.

Potrząsnął gwałtownie głową. Nie uważał, żeby umiała czytać w jego myślach.

— Skąd, u licha, taki pomysł?

Wcale jej swoją gburowatością nie speszył.

— To jedyne sensowne wyjaśnienie. Sam przecież przyznałeś, że przez cały czas zdawałeś sobie sprawę z moich rozterek, więc całe to gadanie o moim snobizmie było chybione. A jednak wytoczyłeś przeciwko mnie ten zarzut, wcale nie przekonany o jego prawdziwości...

— Twoja poza...

— Sam jesteś sobie winien. To było nieporozumienie.

— A więc wiedziałaś, co robisz?

— Na Boga, nie dość, że sam masz obsesję na punkcie różnic klasowych, to jeszcze i mnie ją zarzucasz. Trochę jednak przesadzasz. Czuję się dotknięta. To wcale nie pieniądze ani ich brak decydują o tym, czy ludzie pasują do siebie, czy nie. Poważne różnice w stylu życia, w dokonywanych wyborach, bywają często udziałem zarówno dwojga bogatych, jak i dwojga biednych ludzi.

— Ty studiowałaś w Harvardzie, ja w szkole twardych pięści. Czy o czymś takim mówiłaś?

Uśmiechnęła się.

— W pewnym sensie.

— A jednak to wielka przepaść.

— Może.

— Kiedyś próbowałem ją przeskoczyć, ale mi się nie udało — wyznał, sam dziwiąc się swojej otwartości. Nigdy



nikomu nie mówił o Christine. Tylko jego rodzice się domyślali. Nawet próbowali go ostrzec, że robi błąd. Ale on ich nie słuchał.

— Czemu ci się nie udało? — spytała Gabrielle.

— Ona była bogata, a ja biedny.

— Czy to naprawdę było takie banalne?

Pomyślał o Christine, naprawdę pomyślał o niej po raz pierwszy od lat. Nic, co się z nią wiązało, nie było banalne.

— Zawsze lubiła być tam, gdzie się coś działo. Jeśli jej przyjaciele jechali na narty do Szwajcarii, to ona koniecznie chciała być razem z nimi. Jeśli pływali po Morzu Śródziemnym, nie mogła się doczekać, żeby do nich dołączyć. Chadzała na wszystkie bale dobroczynne w mieście, na każde otwarcie klubu, na każdą większą wystawę sztuki. To wszystko kosztowało, a ja nie miałem pieniędzy. Ile razy gdzieś z nią poszedłem, to była kłeska. Ona i otaczający ją ludzie rozmawiali o miejscach i osobach, o których nawet nigdy nie słyszałem. Początkowo byłem dla niej maskotką, ale wkrótce się jej znudziłem.

— Więc cię rzuciła?

— Coś w tym rodzaju — odrzekł.

Dał spokojny, suchy opis czegoś, co było przed laty źródłem nieopisanej udręki. Nawet teraz nie mógł o tym myśleć bez uczucia gniewu i upokorzenia.

— Tak się różniliście... Czy naprawdę byliście kiedyś szczęśliwi?

Usiłował sobie przypomnieć, jak to było tego dnia przed dziesięciu laty, kiedy już wiedział, że wszystko skończone. Spędzili z Christine weekend, żeglując z jej przyjaciółmi w

Newport. Odurzony słońcem i wódką z tonikiem, która zawsze była na podorędziu, czuł się straszliwie osamotniony. Słuchał plotek, które zastępowały prawdziwą rozmowę. Patrzył przez cały dzień na Christine martwiącą się o swoją opaleniznę. I był niesamowicie znudzony. A jednak oświadczył się. Napłynęło żywe wspomnienie tamtych burzliwych uczuć. Jakaż to byłaby katastrofa, gdyby powiedziała „tak”. Niespodziewanie uśmiechnął się do Gabrielle.

— To śmieszne. Przez dziesięć lat nienawidziłem siebie za to, że nie mogłem się dopasować; po to, żeby teraz dojść do wniosku, że nie znoszę podporządkowywać się presji jakiegokolwiek zbiorowości.

— Czy to znaczy, że od tego momentu nie będziemy mieszać do naszych spraw mojej rodziny?

Zanim odpowiedział, popatrzyli na siebie. Jej oczy, a zaraz potem również usta, rzucały mu wyzwanie.

— Czy pragniesz mnie, Paul?

Myślał, że nic go już w życiu nie zaskoczy, a jednak to tak wprost zadane pytanie wprawilo go w osłupienie. Jego ciało udzieliło odpowiedzi pierwsze, zanim zdołał znaleźć właściwe słowa.

— Tak — odparł w końcu.

— I ja ciebie pragnę.

— Ale to wcale nie rozwiązuje problemu — przypomniał jej, próbując nie zauważać, że spodnie zrobiły się na nim gwałtownie zbyt ciasne. — Podejdź tu.

Weszła do pokoju. Po krótkim wahaniu objął ją w pól i posadził na gotowym już fragmencie kuchennego regału. Stał

między jej kolanami, zsuwając ręce z pasa na uda. Największym wysiłkiem woli zdołał na tym poprzestać.

— Gaby, w tym, co przed chwilą powiedziałaś jest sporo prawdy. Tylko dlatego, że twoja rodzina ma pieniądze, ty nie musisz być wcale podobna do Christine. Ale ty również masz pewne wymagania. Ja zaś teraz niczego nie mogę ci obiecać. Dopiero zaczynam powoli stawać finansowo na nogi. Moje cele nie są wygórowane ani jakoś wyjątkowo wzniosłe, a mimo to nie chciałbym ich tracić z pola widzenia. Wiele czasu minęło, zanim zaakceptowałem samego siebie. Teraz nie chcę już wracać do marzeń, które nie mogą się spełnić.

— Czy ja jestem takim właśnie marzeniem? — spytała cicho, patrząc na niego jasnymi oczami, w których po chwili pojawił się cień wątpliwości. Opuściła wzrok na jego tors.

— Obecnie tak. — Kiedy próbowała mu przerwać, powiedział: — Wiem, że nie jesteś tak powierzchowna jak Christine. Ale znalazłaś się w skomplikowanej sytuacji, a nie jesteś dostatecznie odporna. Jesteś na etapie poznawania siebie i rozglądania się za nowym sposobem na życie. Jeśli się teraz w coś zaangażujesz, przestanieś szukać. Pamiętasz wiersz Roberta Frosta o poniechanej drodze?

Przytaknęła zdumiona.

— Jest wiele dróg, Gaby. Jednak, jeżeli się nie mylę, w tej chwili uważasz, że nie masz przed sobą żadnej i to cię przeraża. Gabrielle Clayton prawdopodobnie zawsze miała świat u swych stóp. Jeśli w życiu chciała czegoś, wystarczyło, że pstryknęła palcami, a już to miała. Teraz musisz stawić czoło czemuś, wobec czego i ja musiałem stanąć przed laty. Możesz

sobie wyznaczyć niemal dowolny cel, możesz pracować jak szalona, żeby go osiągnąć, mogą nawet stać za tobą pieniądze i władza, ale i tak nie ma żadnych gwarancji, że ci się powiedzie. Niekiedy trzeba się zadowolić samym dążeniem do celu. — Westchnął. Miał wrażenie, że się powtarzał. — Czy wyrażałem się jasno?

— Aż za bardzo — odparła znużonym głosem. — Tylko nie wiem, co to ma wspólnego z nami.

Szukał odpowiednich słów. Chciał, aby zrozumiała, że decyzja, jaką podjął, nie musi być aktualna zawsze.

Choć, oczywiście, żadnych gwarancji, żadnych zobowiązań. Tylko propozycja i nadzieja.

— Jeślibyśmy się kiedyś mieli zejść ze sobą, to tylko wówczas, gdy będziesz miała jakąś alternatywę. Chcę, żebyś poczuła się silna, żebyś mocno schwyciła ster w swoje ręce i dowiedziała się, dokąd wiodą wszystkie drogi, jakie się przed tobą otworzą. A jeżeli właśnie wtedy zechcesz być ze mną, to stanie się tak dlatego, że taką drogę świadomie wybrałaś; nie będzie to już natomiast desperacki akt kobiety, która boi się samotności.

Słuchała go uważnie, ale gdy skończył, gwałtownie zaprotestowała:

— Nie jestem zdesperowana.

To jej nagłe ożywienie wywołało uśmiech na jego twarzy.

— Dobrze. W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebyśmy trochę poczekali, aż przekonamy się, czy to jest dokładnie to, czego chcemy.

— Będę miała — odparła. — Ale masz rację. To, co proponujesz, jest rozsądne.

Żeby się do końca upewnić, że zwalczył pokusę, zmienił temat. Coś konkretnego musiało wywołać w niej ten szczególny nastrój i koniecznie chciał się dowiedzieć, co to było.

— Czy możesz mi powiedzieć, jak odbyły się te dzisiejsze rozmowy w sprawie pracy?

Ich spojrzenia spotkały się, lecz po chwili Gabrielle odwróciła wzrok.

— Nie ma o czym mówić.

Nie dawał za wygraną.

— Takie były niezachęcające? A może ktoś cię ubiegł?

— Nie.

— Więc może jutro zadzwonią?

Wzruszyła obojętnie ramionami.

— Może.

Zaintrygowany, próbował szukać wyjaśnienia w jej enigmatycznych odpowiedziach. Były zupełnie niepodobne do kobiety, która zazwyczaj tryskała optymizmem, szła przez życie śmiało i zdecydowanie. Nie wdrapałaby się tak wysoko na Wall Street, gdyby tak łatwo załamywała się każdą porażką.

— Nie odpowiadało ci to, co proponowali?

— Nie o to chodzi — odparła z wyraźnym ociąganiem. —

Właściwie oferty były dobre.

— A ludzie?

— Okay.

— No więc w czym rzecz?

— Nie jestem pewna, czy dobrze wypadłam. Jakoś nie mogłam się pozbierać.

— Czemu? — Zauważył, że się zaczerwieniła i poczuł wyrzuty sumienia. — Czy z powodu tego, co się wydarzyło dziś rano? — Rumieniec stał się jeszcze bardziej widoczny. — Och, Gaby, tak mi przykro.

Posłała mu wymuszony uśmiech, który najwyraźniej miał za zadanie go uspokoić.

— Nie przejmuj się tym. Co prawda ja także początkowo sądziłam, że wszystkiemu winien był ten poranek, ale teraz uważam, że zagrało coś jeszcze.

— Co?

Długo zwlekała z odpowiedzią, utkwivszy oczy w podłodze.

— Myślę — powiedziała w końcu — że jestem już tym wszystkim znudzona. — Podniosła wzrok i z jej twarzy wyczytał, że sama była zdziwiona tym wyznaniem. — Wyobrażasz sobie? Walczyłam jak lew, żeby się dostać do Nowego Jorku, żeby zaistnieć na Wall Street a teraz, kiedy na mojej drodze pojawiła się niewielka przeszkoda, nagle okazuje się, że mnie to już nie bawi. Uważasz pewnie, że próbuję jedynie usprawiedliwić swoją porażkę.

— Wcale nie — odparł stanowczo. — Już od jakiegoś czasu podejrzewałem, że minął ci zapał do tej pracy. Z twoją zaradnością znalazłabyś już sobie jakąś nową posadę na Wall Street, gdybyś tylko naprawdę szukała. A w ogóle, nie uważam, żebyś była tym typem kobiety, która potrzebuje wymówek. Myślę, że znalazłaś się w punkcie zwrotnym. Zamiast się tym martwić, powinnaś być chyba podekscytowana.

— Święta prawda. Tylko że na moim koncie bankowym leży tysiąc czterysta dolarów, nie mam żadnych widoków na pracę, a lada dzień mogą przyjść rozliczenia z karty kredytowej. Zgroza.

— Spójrz na to z innej strony. Jesteś otwarta na nowe możliwości. A tak poważnie — jeśli jesteś w tak złej sytuacji, może pożycz coś od swoich rodziców.

— Nigdy — powiedziała twardo.

— Czemu nie? — odparł, poruszony tym, że odpowiedź była tak szybka i kategoryczna. — Nie daliby ci?

— Pewnie, że tak. Ale pod pewnymi warunkami.

— Takimi jak...

— Powrót do Charleston, zajęcie należnego miejsca w towarzystwie, nalewanie herbaty, dopóki reumatyzm nie wykończy mi stawów, małżeństwo z kimś o odpowiednim rodowodzie, nieważne jak nudnym i tak potoczyłoby się moje życie starym, utartym torem. — Wzdrygnęła się. — W żadnym wypadku.

Odpowiedział wybuchem śmiechu i oklaskami.

— Za co?

— Za twój pierwszy wybór,

— Dokonałam go opuszczając dom. Stare dzieje — odparła lekceważąco.

— Czasy się zmieniają. Ryzyko też. Twój dzisiejszy wybór nie jest taki sam, jak ten, gdy wyjeżdżałaś do Nowego Jorku. Uwierz w siebie.

Miał ochotę ją pocałować, ale zdawał sobie sprawę, że byłoby czystym szaleństwem teraz się do niej zbliżyć. W tej

rozmowie objawił wobec niej wielką szlachetność. Propozycja, żeby poszukała jakichś innych sposobów na życie była złożona przez niego najzupełniej poważnie. Tymczasem jednak odkrył coś, co dotyczyło jego samego. Chciał związać swoje życie z życiem Gabrielle znacznie bardziej, niż dotąd sądził. Wręcz obawiał się narastających w nim uczuć. Zatem — mimo całego tego gadania o wolnym wyborze — zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby przy nim została.

Wszystko — wyjąwszy uwiedzenie, poprawił swoją myśl. Przynajmniej na razie. To oznaczało, że powinien natychmiast skłonić ją do opuszczenia pomieszczenia.

— Idź — jego głos stał się nagle stanowczy. — Prześpij się.

— Czy mogę ci jakoś pomóc? Może coś pomalować?

Ta oferta była kusząca - nie dlatego, żeby miała przyspieszyć pracę, ale z tego powodu, że oznaczała bliskość Gabrielle. Nie był aż tak wielkoduszny, żeby nie odczuwać pokus.

— Nie teraz. Jest za późno. Ale jeśli zechcesz zrobić coś jutro, przyniosę ci farbę.

Ku jego zdumieniu, wyglądała na rzeczywiście podekscytowaną tą perspektywą. Zeskoczyła na podłogę i — zanim wyszła z kuchni — cmoknęła go w policzek. W drzwiach przystanąła i odwróciła się.

— Dziękuję za rozmowę. Podniosłeś mnie na duchu.

— Zawsze do usług.

— Wiesz, oczywiście, że odstępujesz od kolejnego stereotypu.



- Jakiego?
- Stereotypu niezycliwego, bezwzględego gospodarza,
- Poczekaj, zobaczymy, co będzie, jak spóznisz się z zapłatą za pierwszy miesiąc — odpowiedział z udaną surowością i zaraz wybuchnął śmiechem, który rozbrzmiewał jeszcze długo po tym, jak Gabrielle poszła na górę.

Przez następnych kilka tygodni Gabrielle przyzwyczajała się do myśli, że jej życie ulega diametralnej zmianie. Jeszcze nie podjęła decyzji, jakiego typu pracy powinna teraz szukać. Tymczasem Paul złożył jej pewną propozycję: zamiast płacenia czynszu — pomocy przy malowaniu pozostałych mieszkań. Początkowo nie chciała się na to zgodzić, dopóki jej nie przekonał, że to on więcej na tym zyskuje.

Taki układ miał kilka dodatkowych zalet. Miała teraz czas na buszowanie po komisach i sklepach tekstylnych w poszukiwaniu wyposażenia do ich mieszkania. Ponadto dużo czasu spędzała z Paułem — nie tylko we dnie, ale i wieczorami, kiedy jedli razem kanapki, domowe zupy, czasem pizzę albo jakieś chińskie danie. Codziennie dowiadywała się o nim czegoś nowego — czegoś, co sprawiało, że darzyła go coraz większym szacunkiem, i co budziło w niej coraz silniejsze pożądanie.

Fakt, iż Paul wyraźnie trzymał się od niej na dystans, tylko wzmacniał i rozpalał jej pragnienia, które nachodziły ją w najdziwniejszych momentach. Gdy pracował, długo mogła patrzeć na jego palce, sycąc swą wyobraźnię. Rozpłomieniała się cała, ścierając mu z policzka płamę farby. Jej ciało

pozostawało bez przerwy w stanie tłumionego podniecenia, za to, nieoczekiwanie, myśli miała spokojne i pogodne.

Na dzień ukończenia wszelkich prac remontowych w ich mieszkaniu zaplanowała kulinarną niespodziankę. Nie zapomniała o butelce wina, licząc, że pomoże ona rozwiązać pewne ich dylematy. Dobrze wiedziała, że przez cały ostatni tydzień Paulowi było bardzo trudno powiedzieć po prostu „dobranoc” i iść do swego pokoju. Pewnej nocy oboje w ogóle nie spali, gdyż żadne z nich nie chciało pierwsze skończyć rozmowy, przerywanej wybuchami śmiechu i tęsknymi spojrzeniami posyłanymi spod półprzymkniętych powiek.

Gabrielle postawiła w saloniku, na odświeżonym właśnie stole, swoją najlepszą porcelanę i kryształ. Wyczyściła srebrne lichtarze. Z umierającego już ogrodu przyniosła mały bukietik ostatnich kwiatów. Podała się utajonej namiętności Paula do grubych, krwistych befsztyków i kupiła dwa płyty mięsa — najlepsze, jakie miał pobliski rzeźnik. Przyrządziła surówkę z sałaty i świeżego zielonego groszku. Zrobiła nawet szarlotkę. Sama, od a do zet. Całe popołudnie spędziła na obieraniu jabłek i wałkowaniu ciasta. Po wszystkich kątach mieszkania rozszedł się apetyczny zapach rozgrzanego cynamonu.

Po kąpieli włożyła wełniane spodnie i miękki sweter z kapturkiem. Wyszczotkowała włosy, aż nabrały ciepłego złotego połysku. Zrobiła też dyskretny makijaż.

Gdy zapadł zmierzch, zaczęła się niecierpliwić; rozpalila ogień w kominku i czekała. Kiedy pokój pogrążył się w całkowitym mroku, podniecenie ustąpiło kolejno

zaniepokojeniu, oburzeniu, zatroskaniu, aż wreszcie — wściekłości. Paul wrócił po północy.

Od razu dostrzegł zmarnowany obiad i nachmurzoną minę Gabrielle. Zacięła usta, żeby na niego nie wrzasnąć. Powinna zachowywać się spokojnie. Powinna być rozsądna. Powinna go wysłuchać. Ale potem tak zasypie go pretensjami, że się nie pozbiera.

— Co się stało? Randka nie wypaliła? — odezwał się pierwszy.

W jego głosie brzmiało tyle serdecznego współczucia, że albo był kompletnie tępy, albo mistrzowsko odgrywał rolę niewiniątka.

— Coś w tym rodzaju — odparła zimno, bardzo dumna, że potrafiła nad sobą zapanować. — gdzie byłeś?

— Na obiedzie z przyjacielem.

— Rozumiem. — Nie mogła powstrzymać ironii, choć mnóstwo razy tego wieczora przysięgała sobie, że nie da mu tej satysfakcji i nie pozwoli, żeby się dowiedział, jak ją zranił.

Usiadł na krześle naprzeciwko niej; wyglądał na zmieszanego.

— Odnoszę wrażenie, że coś mnie tu ominęło. Jesteś na mnie wściekła?

Popatrzyła na niego i potrząsnęła głową.

— Paul, przecież nie jesteś ślepy! — Nie mogła już dłużej wytrzymać. — Wydałam trzydzieści dolarów na befsztyki i wino — warknęła. — A ty jeszcze pytasz, czy jestem wściekła.

Podniósł opróżnioną do połowy butelkę caberneta.

— Zadbalaś, widzę, żeby przynajmniej wino się nie zmarnowało.

— Nie zmieniaj tematu!

— Wcale nie miałem takiego zamiaru.

— Nie mogłeś zadzwonić?

Paul wziął głęboki oddech. Celowo nie wrócił do domu na obiad, bo nie miał już siły przebywać z Gabrielle w tym samym pokoju trzymając od niej ręce z daleka. Bardzo chciałby dotknąć jej miękkiej, atlasowej skóry. Miał wielką ochotę rozpalić jej ciało. Marzył, żeby od jego bliskości te aksamitne, brązowe oczy zaśniły w gorączce. Gdyby tylko wiedział, że ona właśnie siedzi przy kominku i czeka na niego z winem i jedzeniem, zapewne w ogóle nie wróciłby na noc. Jego szlachetność musiała stawić opór tyłu już pokusom, że była na wyczerpaniu. Nawet teraz z trudem panował nad sobą. Drżące palce wrywały się, żeby gładzić ją po twarzy tak długo, aż z czoła zniknie chmura.

Westchnął ponownie i zamknął oczy. Gdy po chwili podniósł powieki, powiedział:

— Zgoda. Lepiej wszystko sobie wyjaśnijmy.

— Proszę, tylko nie rób mi łaski — odparła sarkastycznie. Jego twarz stężała.

— Przykro mi, że zadałaś sobie dla mnie tyle trudu na próżno, ale nic nie wspomniałaś, że zamierzasz coś takiego urządzić — rzekł spokojnie.

Zwróciła na niego oczy pełne gorzkiego wyrzutu.

— Przecież to miała być niespodzianka. Zazwyczaj przychodzisz do domu przede mną. Stukasz na dole młotkiem

albo coś piłujesz, albo malujesz nie dłużej niż do piątej trzydzięci. Potem jeszcze pracujesz do północy. Skąd mogłam wiedzieć, że na dziś właśnie przypada ten jedyny wieczór w miesiącu, w którym miałeś coś lepszego do roboty?

Ta logika rozbroiła go — nie umiał znaleźć odpowiedzi. Mając poczucie, że nie gra wobec Gabrielle fair, próbował zepchnąć ją do obrony.

— Jesteśmy tylko współlokatorami, Gaby. Oboje zgodziliśmy się, że ten status jest dla nas najlepszy, skoro już i tak jesteśmy razem...

Popatrzyła na niego posępnie.

— Nie interesuje mnie definiowanie naszych wzajemnych stosunków, ale czy — choćby jako współlokator — nie zasługuję na to, żeby mnie czasem brać pod uwagę?

Wysunęła w wojowniczym geście podbródek, ale w kącikach oczu już pokazały się ogromne łzy. Wyglądała tak żałośnie, że podszedł do niej, mruczając pod nosem przekleństwo. Przybity poczuciem winy, wziął ją pod brodę i popatrzył głęboko w oczy.

— Oczywiście, że tak. Naprawdę bardzo przepraszam, że zepsułem ci wieczór.

Nagle jej dolna warga zadrżała i po policzku stoczyła się łza. Paul pomyślał, że zniesie wszystko, tylko nie płacz, zwłaszcza że czuł się odpowiedzialny za jej ból.

Żeby zapobiec potokowi łez, który niechybnie zaraz by nastąpił i doprowadził go do zawału, znalazł jeden tylko sposób — pocałować ją. Zrobił to nad wyraz ochoczo.

Tylko raz, obiecywał sobie, gdy jego gorące usta niecierpliwie zbliżały się do jej warg, z wolna zatapiając się w aksamicie.

Tylko przelotnie skosztować jej ust, przyrzekł sobie, wyczuwając językiem słoność łez i posmak wina.

Tylko chwilka ciepła, czułości i zrozumienia. Tylko powstrzymać jej płacz. Jak pomiędzy przyjaciółmi.

To jasne, że na tym nie mogło się skończyć.

scandalous

Gabrielle uznała, że jak na tak szorstkiego i mrukliwego człowieka, Paul potrafił obejść się ze łzami na jej policzkach w sposób zadziwiająco delikatny. Właściwie wcześniej nie wiedziała dobrze, czego się może po nim spodziewać, ale z zaskoczeniem przyjęła niespieszne, czułe pieszczoty, które rozpędziły bez śladu jej gniew. Chciała, by trwały jak najdłużej. Tak długo oczekiwany zdecydowany, przejmujący dotyk jego ust miał rajski smak. Pragnęła przeciągnąć tę chwilę w nieskończoność; bo dawała jej uczucie niewysłowionego zadowolenia.

— Gaby — wyszeptał, odrywając się od niej zbyt szybko, kiedy właśnie przyzwyczała się do jego zmysłowych, ciepłych warg. — Nie możemy tego zrobić.

— Możemy — odpowiedziała, przyciskając silnie swe usta do jego warg, żeby już nic więcej nie mówił. Jej język przypuścił śmiały szturm do jego mocno zaciśniętych ust, aż wreszcie rozchyliły się, gdy wydała z siebie jęk rozkoszy.

Obudziło się w niej pożądanie, przepelniające ją bolesnym pragnieniem. Nikły zapach trocin, farby h delikatna woń jego potu odurzyły ją niczym najmocniejsza woda kolońska z piżma lub aromatycznych korzeni.

Oboje nie mieli ochoty mówić ani myśleć o tym, co ich tak ku sobie pchnęło. Miotaly nimi uczucia, którym przynajmniej raz pragnęli się poddać bez reszty.

Jednak Paul — w przeciwieństwie do Gabrielle, wsłuchanej w głos własnego serca i ogarniętej pragnieniem, którego wcale

nie chciała się wyzbywać — walczył ze sobą. Gabrielle, choć oszołomiona burzą własnych zmysłów, zdołała zauważyć jego wewnętrzne zmagania; ramiona miał napięte, stał przy niej sztywno. Marines pozazdrościliby mu. takiej postawy. Wiedziała, że gdy skóra Paula płonie pod jej dotykiem, w jego mózgu ścierają się zaciekle różne racje. Przeszedł go dreszcz, kiedy wsunęła mu dłonie pod koszulę.

— Gaby, nie. — Nie mógł złapać tchu, więc protest nie wypadł stanowczo.

Podniosła na niego śmiałe spojrzenie, popatrzyła na jego zakłopotaną twarz i uśmiechnęła się.

— Tak.

— Wypiłaś za dużo wina. Nie wiesz, co robisz.

Dowiodła, że jest inaczej. Przywarła do niego całą sobą, całując go miejsce przy miejscu wzdłuż szyi i penetrując językiem muszlę ucha. Wydał z siebie cichy, ale wyraźny pomruk zadowolenia. Uśmiechnęła się z satysfakcją.

— Och, naprawdę? — spytała z udaną skromnością. Spojrzał na nią chmurnie.

— Nie mówiłem o technice.

— To dobrze — powiedziała, rozpinając guziki u jego koszuli. Teraz, kiedy zdobyła już jedno doświadczenie, zaczęło jej się to podobać. Schwycił ją za rękę.

— Gaby! Dość!

Dostrzegła groźny błysk w jego oczach.

— Okay.

Przyjrzał się jej podejrzliwie, po czym skinął głową i zwolnił uścisk. Nie spuszczając z niego wzroku wyciągnęła rękę i



leniwie przesunęła palcem po suwaku jego dzinsów. W pierwszej chwili zaskoczenie odebrało mu dech w piersiach; zacisnął zęby i zadrżał spazmatycznie. W jego oczach pojawiło się wahanie. Nie ulegało wątpliwości, że ciało — nie przejmując się żadnymi racjami rozumu — odpowiedziało na jej śmiałe dotknięcie.

— A niech cię diabli — powiedział cicho; oddech miał przyśpieszony.

— Wcale tak nie myślisz — odrzekła, nie mając zamiaru się wycofać. Nagle powróciła jej, nieobecna już od tygodni, pewność siebie.

Wreszcie surowy, posępny wyraz twarzy Paula złagodniał, jeśli można tak określić pojawienie się grymasu wymuszonego przyzwolenia.

— Nie, nie myślałem tak — powiedział, przyciągając ją do siebie. Gdzieś na czubku głowy rozdmuchał jej włosy urywanym szeptem: — Nie chcę, żeby to się okazało pomyłką.

— I nie okaże się — odpowiedziała z zadziwiającym zdecydowaniem w głosie. W tym przekonaniu upewniały ją wątpliwości, powściągliwość i skrepowanie Paula. Szanował ją, a to było dla niej równie ważne jak miłość.

Próbowała jeszcze określić jasno swoje własne uczucia, ale wiedziała o nich tylko tyle, że są silniejsze niż wszystko, czego dotąd zaznała; było to połączenie przyjaźni z namiętnością, które łatwo mogło przerodzić się w miłość. Z tym, że takie uczucie wymagało teraz większej zażyłości, żeby mogło się rozwijać, dojrzewać i zmierzać ku pewnej stabilizacji. Nieważne,

pomyślała, co przyniesie przyszłość — tej nocy po prostu musi podjąć ryzyko.

Paul ujął twarz Gabrielle w dłonie, opuszkami palców muskając jej usta i bacznie się jej przyglądając. W owej chwili oczekiwania czuła nieprzytomny łomot swego serca. Wreszcie Paul pochylił się ku niej, co wyglądało na dyskretną obietnicę.

Gdy pocałunek zgasł, zdawał się dotrzymywać milczącego przyrzeczenia: wziął ją na ręce i zaniósł przez pogrążone w ciemnościach mieszkanie do jej sypialni. Wyciągnął rękę, żeby zapalić światło, ale potrząsnęła głową.

— Tam jest świeca.

Ułożywszy ją na łóżku, zapalił knot — pokój wypełnił się zapachem lawendy. Potem odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

— Paul?

— Muszę cię ochronić. Zaraz będę z powrotem — obiecał.

Poczuła wdzięczność za jego troskę; sama oczywiście o tym nie pomyślała.

Niecierpliwe oczekiwanie na jego powrót wywołało u niej skurcz mięśni brzucha. Tak bliska była chwila, kiedy mieli się połączyć. Krew krążyła szybko. Nagle wąski materac ugiął się pod jego ciężarem. Po plecach Gabrielle przebiegły ciarki, gdy poczuła na ciele szorstki dotyk flaneli.

Po tym ich pierwszym razie właściwie nie spodziewała się niczego więcej, niż tylko pilnego nalegania i szybkiego zaspokojenia. A tymczasem Paul uczył ją, jak z wolna podsycać namiętność. Nękał, kusił, penetrował, potem przez chwilę czekał, aż napięcie opadnie, zanim nie wymyślił nowego sposobu, żeby pobudzić jej pragnienie. Nie przypuszczała, że

ciało może być tak boleśnie naprężone; jeszcze nigdy tak usilnie nie domagało się kulminacji. Paul wykazywał wiele biegłości, niczym doświadczony kochanek, jednocześnie odnosząc się do Gabrielle z uszanowaniem — zachowywał się jak człowiek, który po raz pierwszy w życiu dostał jakiś niewiarygodnie cenny prezent. Przymierzał się, kluczył, smakował, aż wreszcie oboje zapamiętali się bez reszty. Pod jego niecierpliwymi dłońmi skóra Gabrielle stała się idealnie gładka. Gdy szykował się do ostatecznych zmagani, mięśnie stwardniały mu jak stal. Nagle poczuła nieznośnie powolne pchnięcie, które — ku jej zdumieniu — zapowiadało jeszcze większą przyjemność. Z trudem chwyciła powietrze, kiedy się wycofał. Po chwili Paul powtórzył manewr.

Nieoczekiwanie wykrzyknął zdławionym głosem jej imię — brzmiało to, jakby wołał z daleka. Wyczuła, że się zawahał, ale jej ciało nie życzyło sobie żadnej zwłoki — odruchowo objęła nogami plecy Paula i trwała w niespokojnym oczekiwaniu na żar spodziewanego uniesienia.

Trochę wystraszył ją bolesny jęk Paula, kiedy znów się w niej zagłębił. Niespodziewanie sama odczuła gwałtowny ból. Ale minął on wkrótce, gdy ich ciała odnalazły wspólny, naturalny rytm, stary jak świat. Już myślała, że osiągnęła najwyższy szczyt ekstazy, ale Paul wiódł ją dalej i dalej. Aż wreszcie nastąpił prawdziwy wybuch namiętności. Spłynęło na nią dotąd nie znane uczucie zadowolenia i spełnienia.

Przyjemne napięcie z wolna opadło. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że na nią patrzy.

— Okay? — odezwał się, odgarniając jej z twarzy wilgotne kosmyki włosów.

— Lepiej niż okay. — Ociągała się z wyrażaniem zachwytu, wsłuchując się w objawy swojego dobrego samopoczucia.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— O czym? — spytała, pocierając palcami pociemniałą, nieogoloną szorstką niczym papier ścierny brodę Paula.

— Że nigdy wcześniej nie byłaś z mężczyzną.

— Czy to ma jakieś znaczenie? — Żyła jeszcze niedawnymi, rozkosznymi chwilami i nie miała ochoty rozmawiać na temat podjęty przez Paula.

Zaśmiał się.

— Nie w sensie, który najwyraźniej masz na myśli. Byłoby po prostu lepiej dla ciebie, gdybyś powiedziała.

— Wątpię.

Z lekkim uśmiechem Paul przesunął palcem po jej wargach.

— Dziękuję za uznanie, ale poważnie: dlaczego nic nie wspomniałaś?

— Takiej informacji nie obwieszcza się zaraz na pierwszej randce.

— To nie jest nasza pierwsza randka. Mieszkamy już razem od wielu tygodni.

— Platonicznie.

— Z trudem — odparł sucho.

Nachmurzyła się.

— Skoro tak do tego podchodzisz... Ale ja nadal twierdzę, że dopiero dzisiejsza noc się liczy.

— A od którego momentu stała się nocą kochanków? Kiedy postanowiłaś przyrzadzić ekstra obiad? Kiedy nieumyślnie zniszczyłem twój plan? A może kiedy zaczęłaś mnie kusić?

Nie miała pojęcia, dlaczego tak ją o to męczy. Być dziewczyną w jej wieku to może niezwykle, ale na pewno nie jest to zbrodnia.

— Okay — zaczęła niechętnie. — Nawet jeżeli dzisiejszej nocy nie można nazwać randką, to tylko jeszcze jeden powód, żeby nie mówić o swoim braku doświadczenia. Dlaczego aż tak się tym przejmujesz? Myślałam, że wszyscy mężczyźni mają w sobie coś z macho i nawet jeśli są pierwsi, z trudem to zauważają. Ale najwidoczniej myliłam się.

— Nie irytuj się. Rozumiem cię. Byłem po prostu zaskoczony. Jesteś piękną, pociągającą kobietą. Nie mogę uwierzyć, że nie byłaś nigdy dotąd zaangażowana w żaden poważny związek.

— A jakże, byłam zaręczona.

— I nigdy...? — zaczął z niedowierzaniem.

— Gdybyś poznał Townsenda, zrozumiałbyś. To było bardzo konserwatywne narzeczeństwo. Zanim cię spotkałam, nie miałam pojęcia, co znaczy słowo „pożądanie”.

— Cieszy mnie, że poszerzyłem twoją wiedzę o języku.

Nagle uderzyło ją i zaintrygowało dziwne napięcie w jego głosie. Nie pasowało do nastroju odprężenia po udanym akcie miłosnym.

— O co ci chodzi?

— Powiedz mi prawdę, Gaby. Czy to był jedynie eksperyment? Pewnie zaaranżowałaś to wszystko. I jeszcze ta świeca przy łóżku! Najwidoczniej postanowiłaś, że już czas odkryć swoją zmysłowość i padło na mnie, bo byłem pod ręką i wyglądałem na odpowiedniego ogiera.

Porażona tak brutalnym potraktowaniem tego, co się przed chwilą między nimi wydarzyło, usiadła na łóżku, schwyciwszy w garść prześcieradło, żeby się nim zasłonić. Była skrępowana, trzęsła się z zimna, a wewnątrz czuła niewiarygodną pustkę.

— To nieporozumienie — odparła beznamiętnie. — Nie mówiłam, że nie miałam nigdy okazji pójść do łóżka z innym mężczyzną. Powiedziałam tylko, że nigdy dotąd nie doznawałam takich uczuć. — Posłała mu groźne spojrzenie. — To ty je wzbudziłeś. Zbyt wiele różnych wrażeń miałam tej nocy, ale chciałam być z tobą, bo uważałam, że tak się stać powinno. Teraz się zastanawiam, czy to nie był jakiś straszny błąd.

Paul skrzywił się, jak gdyby wymierzyła mu policzek. Wyciągnął rękę, żeby ją dotknąć, ale strząsnęła jego dłoń.

— Przepraszam — powiedział. — Nie powinienem był tego mówić. Może wyrwało mi się to dlatego, że czułem się winny z powodu moich własnych pobudek. Bóg świadkiem, że pragnąłem cię od chwili, gdy pierwszy raz się tu pojawiłaś. Aż do dziś miałem dosyć rozsądku, żeby trzymać od ciebie ręce z daleka.

— Powinieneś mieć wyrzuty sumienia nie dlatego, że wzięłaś to, co ci zaofiarowałam, ale z tego powodu, że obrzydziłaś i zbrukałaś to, co się między nami stało. —

Przerwała na chwilę, a potem, westchnawszy, dodała — Paul, nie żałuj dzisiejszej nocy.

— Ale to właśnie ty przed chwilą powiedziałaś coś takiego.

— Byłam na ciebie wściekła, bo usiłowałeś zniszczyć coś wyjątkowego.

Uspokoił się w końcu. Dostrzegła iskiereki w jego oku i wiedziała już, co ona oznacza.

— Może powinienem spróbować ci to jakoś wynagrodzić?

— zaproponował magicznie zmysłowym głosem.

— Może faktycznie powinieneś.

Gdy Paul otworzył rano oczy, z zaskoczeniem stwierdził, że jest w łóżku Gaby sam. W nocy przywykł do tego, iż budząc się znajdował ją zawsze blisko siebie. Niekiedy poprzestawał na przyglądaniu się jej, jak spała — wówczas jego serce przepełniała duma posiadania.

Znacznie częściej musiał koniecznie ją dotknąć, bo chciał poczuć pod palcami ciepło jej jedwabistej skóry. Często, ponad wszelkie jego oczekiwania, zdarzało jej się w tym momencie ocknąć ze snu; ze słodyczą odpowiadała wówczas pieśczętą na pieśczętę, by po chwili mogli w uniesieniu przyłgnać do siebie kolejny raz. Przeciągnął się, wstał z łóżka i nie zadając sobie nawet trudu, żeby pozbierać porozrzucane wokół części swojej garderoby, wyruszył na poszukiwanie Gabrielle. Zanim ją znalazł, usłyszał ją; mówiła coś niskim, ostrym, poirytowanym głosem, którego dotąd jeszcze nie znał. Wszedł do drugiego pokoju, gdzie siedziała skulona w kącie kanapy i rozmawiała

przez telefon. Podniosła wzrok. W jej oczach odmalowało się zdumienie jego nagością. Podeszedł do Gabrielle i musnął ustami jej czoło, a potem usiadł naprzeciwko, bez skrępowań przysłuchując się rozmowie. Chciał wiedzieć, co wywołało ten szorstki ton w jej głosie i marsową minę.

— Tak tato. Jasne, wszystko w porządku. Nie musisz się o mnie martwić.

Paul dostrzegł, że przelknęła ślinę i zaczerwieniła się.

— W pracy idzie mi dobrze.

Patrzył na nią w osłupieniu. Unikała jego wzroku.

— Oczywiście, wiem, że mogę liczyć na ciebie i mamę. Jeśli coś będzie nie w porządku, powiem ci. Muszę już kończyć, tato, Ktoś dzwoni do drzwi. Odezwę się w przyszłym tygodniu. Nie, nie trzeba. Ja zadzwonię. Numer dam ci następnym razem. Pa.

Zanim odłożyła słuchawkę, nacisnęła widelki, żeby szybciej przerwać połączenie. Nadal nie patrzyła na Paula.

— No i co?

— Nic. Rutynowa rozmowa z rodzicami. Niepokoją się, jeśli nie dzwonię raz w tygodniu.

Zaczęła się podnosić z miejsca.

— Nie wychodź.

Usiadła z powrotem.. Wyglądała na zażenowaną.

— Nic im jeszcze nie powiedziałaś o pracy, prawda?

— Przecież siedziałaś tu. Wiesz, że nie.

— Ani o tym, gdzie mieszkasz?

Wysunęła podbródek w wojowniczym geście, a potem wzięła głęboki oddech.



- Nie.
  - Czemu?
  - Martwiliby się.
  - Wydaje mi się, że już się martwią.
  - Gdybyś znał moich rodziców wiedziałbyś, że to dla nich chleb powszedni.
  - Więc dlaczego nie powiesz im prawdy?
  - Ponieważ zaraz zaczną wywierać na mnie presję, żebym wróciła do domu. A ja tego nie zrobię.
  - Obawiasz się, że ulegniesz i pojedziesz?
  - Absolutnie nie.
  - Zatem powiedz im. Według mnie to ustawiczne oszukiwanie ich źle działa na ciebie samą. Wyjaw wszystko otwarcie. Niech się dowiedzą, że miewasz się dobrze, że na nowo organizujesz sobie życie.
  - A jak mam powiedzieć o tobie?
- Uśmiechnął się.
- To interesujące pytanie.
  - Do diabła, mówię poważnie. Kiedy odkryją, że mieszkam z mężczyzną, nie będą się zastanawiać ani minuty. Mój ojciec zjawi się tu natychmiast z dubeltówką.
  - Czy naprawdę tak się tego boisz? Nie powiesz chyba, że twój tata zastrzelił mnie, jeżeli nie będziemy chcieli pójść zaraz do najbliższego kościoła.
  - Katedry — poprawiła go. — Córka senatora Grahama Claytona może wziąć ślub tylko w najświetniejszej katedrze w całym stanie, wśród tłumu zaproszonych gości, z pompą, która musi przyćmić nawet śluby królewskie w Anglii.

— Senator Graham Clayton? — powtórzył Paul zdławionym głosem. To nazwisko było synonimem konserwatyzmu i przywiązania do tradycyjnych wartości w życiu rodzinnym. Szkoda by nawet było dubeltówki, żeby strzelać z niej do człowieka, który nagi, w niedbałej pozie, gawędzi sobie z jego córką. Zapewne troskliwy ojciec powiesiłby go na drzewie w Central Parku, i to niekoniecznie za szyć.

— Zdaje się, że doceniłem problem.

Po twarzy Gabrielle przebiegł blady uśmiešek.

— Wiedziałam, że w końcu to do ciebie dotrze.

— Ale nadal nie podoba mi się, że go okłamujesz. Jeśli odkryje prawdę, zanim sama mu wszystko powiesz, będzie jeszcze bardziej wytrącony z równowagi.

— A jak ma się niby dowiedzieć prawdy? Jest zbyt zajęty sprawami całego kraju.

— Co będzie, jeśli zadzwoni do twojego ostatniego miejsca pracy?

Popatrzyła na Paula z przerażeniem.

— Do diabła — powiedziała półgłosem.

— Oczywiście, tego nie wzięłaś pod uwagę. A co będzie, jeśli któryś z twoich przyjaciół zechce poszukać jakiegos kontaktu z tobą i zadzwoni do twojej rodziny, myśląc, że wróciłaś do domu? O wielu ewentualnościach nie pomyślałaś.

— Przynosisz mi od rana same dobre wieści. Czemu już nie śpisz?

— Stęskniłem się za tobą — rzekł spokojnie. — Nie zmieniaj tematu.

— Nie chcę o tym rozmawiać — odparła.

— Dobrze, ale lepiej to przemyśl. Odkładanie spraw, które prędzej czy później trzeba załatwić, tylko pogarsza sytuację.

Wyszedł, zostawiając ją wtuloną w kanapę i wpatrzoną w jakiś punkt za oknem.

Senator Graham Clayton. To nazwisko stale kołatało mu się w głowie, gdy się ubierał i gdy zszedł na dół, żeby dokończyć malowanie saloniku w mieszkaniu, w którym wkrótce miał zamieszkać. Ostatnia noc już i tak skomplikowała stosunki z Gabrielle, ale dopiero poranna rewelacja przekonała go, co naprawdę znaczy „skomplikowana sytuacja”. Mógł jeszcze dopuścić myśl o wejściu do rodziny jakiegoś sympatycznego, średniej klasy polityka, nie znanego poza własnym stanem. Ale ponoć wręcz idylliczna rodzina senatora Grahama Clayтона była dla niego równie dostępna, jak Buckingham Palace.

— Ile jeszcze warstw farby położysz na to jedno miejsce?  
— spytała Gabrielle, przerywając jego gonitwę myśli.

Popatrzył na nią bez wyrazu, potem obrócił wzrok na ścianę. Chyba faktycznie przesadził, jeżdżąc wałkiem po jednej linii przez ostatnich dziesięć minut.

— Zamyśliłem się trochę.

— Mam nadzieję, że nie przeraziła cię wizja mojego taty, wpadającego tutaj z dubeltówką?

Mina Paula musiała go zdradzić, bo Gabrielle westchnęła ciężko.

— Wiedziałam. Wiedziałam, że jeżeli dowiesz się czegoś o mojej rodzinie, zaczniesz od nowa budować mur obronny. Już

słyszę chrzęst twoich zwojów mózgowych, wynajdujących coraz to nowe powody, dla których nie możemy być razem.

— Musisz przyznać, że stawka jest trochę większa, niż początkowo sądziłem.

— Stawka? Myślałam, że w grę wchodzi tylko to, czy nam na sobie zależy. Nie wiem, co naprawdę ty czujesz, ale ja zakochałam się pierwszy raz w życiu.

Serce Paula nagle zmartwiało, by po chwili zacząć walić jak młot. Potrząsnął energicznie głową.

- Wybij to sobie z głowy.
- Dlaczego?
- Bo nic dobrego z tego nie wyniknie.
- Od kilku godzin wynikają same dobre rzeczy.
- Nie przypominaj mi o tym.

Stała przy nim pierś w pierś. Paul czuł się tak, jakby miał się za chwilę udusić.

— Wygląda na to, że jednak muszę — powiedziała cicho, a potem zanurzyła palce w jego włosy na potylicy. Wywołało to uczucie mrowienia, które od czubka głowy przeszło aż do... Niech to wszyscy diabli, przemknęło przez zakamarki jego umysłu, kiedy jej usta, bezwzględnie egzekwując swoje prawa domagały się jego ust, zawładnęły oddechem i skradły wszystkie rozsądne myśli. Jak na kobietę, która jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu była właściwie niedoświadczona, uczyła się bardzo szybko.

W jej oczach pojawiły się iskierki, kiedy go wreszcie puściła.

— Zapamiętaj dobrze, co czułeś przed chwilą, na wypadek, gdyby jeszcze raz przyszło ci do głowy wrócić do czasów, kiedy byliśmy tylko współlokatorami.

Paul nie miał zamiaru dopuścić, żeby coś tak w sumie błahego jak rozpasane libido pozbawiło go zdrowego rozsądku; poczucie rzeczywistości powróciło zresztą do niego z nową mocą już od chwili telefonicznej rozmowy Gabrielle. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby uzmysłowić jej, jak bardzo są niedobraną parą. Przez ostatnich kilka tygodni żyli we własnym, odosobnionym, sielankowym świecie. Gabrielle nie miała dotąd okazji przekonać się, jak wygląda tu życie na zewnątrz, jak bardzo tutejszy światek różni się od tego, do którego ona sama należy.

— Tak sobie pomyślałem — zaczął, wciąż jeszcze rozważając rozmaite sposoby zapoznania ją z rzeczywistością. — Tamto mieszkanie będzie wykończony już za parę dni. Może powinniśmy pochwalić się naszym dziełem przed innymi?

Obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

— Skąd ci to nagle przyszło do głowy?

— A co, zły pomysł? Moglibyśmy urządzić jakieś przyjęcie. Poznałabyś kilku moich przyjaciół, ja poznałbym twoich. Ciężko się tu napracowaliśmy, żeby osiągnąć taki dobry efekt. Czas to uczcić.

— W normalnych okolicznościach odebrałabym to jako rzecz najzupełniej normalną. Czemu jednak teraz mam wrażenie, że to pułapka?

— Może dlatego, że jesteś z natury nieufna — podsunął ochoczo.

— Na ogół mam po temu podstawy — odcięła się. — Czy starasz się coś mi udowodnić?

— A niby co? — Z wielką uwagą zanurzył walek w farbie, a potem przejechał nim po ścianie. Nie mógł spojrzeć jej w oczy.

— Że pasujemy do siebie jak pięść do nosa.

Przełknął głośno ślinę.

— I przyjęcie ma to pokazać? — spytał niewinnie. — Gromadka ludzi, którzy zbiorą się, żeby miło spędzić czas?

— Właśnie. I nie wyobrażaj sobie, że twoi przyjaciele zrobią na mnie tak złe wrażenie, że przestanę cię chcieć, albo że moi przyjaciele okażą się snobami i ściagną na siebie nienawiść twoich znajomych. Przeciwnie, mogę się nawet z tobą założyć, że to będzie najlepsze przyjęcie, na jakim kiedykolwiek byłeś.

Paul pomyślał, że źle rozegrał. Gabrielle była teraz zdecydowana urządzić to głupie przyjęcie, nawet gdyby miała sprowadzić nowojorską orkiestrę wojskową, żeby zabawić mieszane towarzystwo. Paul doszedł do wniosku, że nie musi nawet czekać na senatora Claytona i jego stryczek. Miał teraz wystarczający powód, żeby powiesić się samemu.

Mimo okazanej pewności siebie, Gabrielle czuła się schwytna w potrzask i była mocno zaniepokojona. Nie miała teraz wyboru — musiała traktować mające się odbyć przyjęcie jako wyzwanie. Doskonale zdawała sobie sprawę, że Paul spodziewał się katastrofy, może nawet na nią liczył. Gabrielle wiedziała, że od losów imprezy zależy ich przyszłość. Początkowo miała Paulowi za złe, że pozwolił, aby o ich życiu decydowało coś tak błahego, ale później pogodziła się z sytuacją, zacisnęła zęby i twardo postanowiła udowodnić mu, że nie ma racji.

Szczęśliwie, będąc córką polityka, wiedziała dobrze, jak ma pełnić rolę gospodyni na wszelkiego rodzaju przyjęciach — od pikniku na placu miejskim w Święto Niepodległości do wielkiej gali w podmiejskiej rezydencji, od akademii w fabryce do fety w kregielni. Umiała uprzejmie wymieniać uwagi z ludźmi, których widziała pierwszy raz w życiu i których nigdy więcej miała nie ujrzeć, pozostawiając ich w przeświadczeniu, że wyryli niezatarty ślad w jej pamięci. Toteż — jeśli tylko Paul nie miał zamiaru ściągnąć zupełnych degeneratów — była pewna, że potrafi zachować zimną krew.

Ponadto wierzyła, że, zorganizowanie domowego przyjęcia na trzydzieści osób pójdzie jej jak z płatka. Miała przecież dobrą szkołę. Jej matka w takich wypadkach podchodziła zawsze do zagadnienia z biegłością doświadczonego szefa sztabu. Gabrielle wiedziała zatem wszystko co trzeba o listach gości, układaniu menu i doborze

win. Pozostawała tylko jedna niewiadoma: gust przyjaciół Paula.

Jedno niepokoiło ją szczególnie. Już na tydzień przed sobotnim przyjęciem zaczęła znosić do domu sześć różnych gatunków piwa — krajowych i zagranicznych, jasnych i ciemnych — nie mając pojęcia, które przyjaciele Paula lubią najbardziej. W krytycznym dniu rano we francuskiej piekarni kupiła pasztet i kilka niewielkich *quiches*, po czym jeszcze — miotając się po sklepie — dorzuciła do koszyka parę paczek chipsów i trochę precelków. Wyczyściła swoje srebra, ale później doszła do wniosku, że położy na stół sztucce Paula. Włożyła prostą, choć szykowną sukienkę, odpowiednią na każdą okazję, ale potem zmieniła zdanie i naciągnęła wygodne dżinsy oraz robiony na drutach sweter.

Jeżeli nie zadała Paulowi jakiegoś pytania wprost, on zdawał się ignorować wszelkie jej zabiegi. W sobotę jego udział ograniczył się do przygotowania lodu do schłodzenia piwa. Kiedy krążył pomiędzy lodówką a wanną, przenosząc wytwory sześciu różnych browarów, śmiał się pod nosem, na czym Gabrielle wnet go przyłapała.

— Co cię tak rozśmieszyło? — spytała, spojrzawszy na niego poważnie. Nie miała nastroju, żeby pozwalać na zabawy jej kosztem.

— Mogłabyś otworzyć bar, taka tu różnorodność piwa.

— Gdybyś udzielił mi wskazówek, nie musiałabym kupować wszystkiego po trochu.

— Moi przyjaciele wypiją wszystko, co się poda. Twój nie? — zaciekał się.



— Idź do diabła.

Niezły początek wieczoru, pomyślała wykańczając potrawę z mały i warzyw. Nawet najbardziej niedobrani goście okaza się prawdopodobnie bardziej zgodni niż gospodarze. W roztargnieniu przekroiła marchewkę na pół, po czym wyrzuciła kawałki do śmieci.

— Gaby.

— Co?

— To wszystko nie jest warte rozstroju nerwowego.

— Czyżby? masz przecież nadzieję, że wszyscy będą się tu czuć fatalnie, a wtedy ty powiesz „A nie mówiłem?” i wyprowadzisz się stąd z czystym sumieniem.

Podszedł od tyłu i oplótł ją ramionami w talii. Świeży, ostry zapach płynu po goleniu drażnił jej nos.

— Nie, to nieprawda.

— Owszem, prawda — obróciła się do niego twarzą, żeby widzieć jego minę. — A ja chciałabym, żeby twoi przyjaciele mnie polubili. Jeśli się tak jednak nie stanie, nie będzie to miało żadnego znaczenia dla naszej przyszłości. Nie martwię się, co moi znajomi powiedzą o tobie.

— Czyżby?

— Mówię prawdę.

— Ile osób zaprosiłaś?

— Cóż, tylko kilka, ale po prostu nie mam tu zbyt wielu bliższych znajomych. Ted i Kathy — właściwie tylko z nimi jestem zaprzyjaźniona, no i jest jeszcze Jeff, kumpel z pracy. To jedyni ludzie, z którymi pozostaję w kontakcie. Nieważne, co ty o tym myślisz, ale ja nie wyznaję tej starej zasady, że człowieka

ocenia się po jego przyjaciółach. Ludzie dobierają się — również w małżeństwie — z bardzo różnych powodów.

— Wiem o tym — westchnął.

Ale powiedział to bez przekonania. Wróciła do krojenia marchewki i selera; znów opadły ją obawy. Paul wyszedł nastawić muzykę.

Na pierwsze pukanie do drzwi struchlała i w popłochu zaczęła się zastanawiać, jak długo jeszcze będzie mogła kryć się w kuchni. Choć stała o niecały metr od piecyka, pozwoliła, żeby przypaliły się *quiches* — całkiem o nich zapomniała, starając się podsłuchać, co dzieje się w saloniku.

Była bliska łez, wściekła na siebie, że tak głupio stchórzyła. Taką zastał ją Paul, który wszedł do kuchni po piwo dla pierwszych gości.

— Co się stało? — zapytał natychmiast.

— Spaliłam *quiches*.

— Mamy dość jedzenia; moglibyśmy nim wykarmić wszystkich bezdomnych na Manhattanie. Nie przejmuj się *quiches*. A teraz chodź.

Potrząsnęła głową.

— Dlaczego nie? Myślałem, że już się nie boisz o to, jak wypadnie przyjęcie. Wydawało mi się, że chcesz mi coś dzisiaj udowodnić.

Przeszyła go pełnym wściekłości wzrokiem. Miał paskudny zwyczaj wykorzystywania jej słów przeciwko niej. Czuła się schwyтана we własne sidła.

— No to chodźmy — rzekła z determinacją; przełękła się, że zabrzmiało to jak ostatnie słowa skazańca.

Jednak gdy weszła do saloniku, zauważyła, że ludzie bawią się raczej dobrze. Przystojny, wesoły, dowcipny Jeff Lyons dyskutował właśnie z jednym z przyjaciół Paula o tenisie. Ted i Kathy zamachali do niej z drugiego końca pokoju, gdzie rozmawiali z młodym blondynem, w którym Gabrielle rozpoznała jednego z pracowników Paula. Piękna brunetka z włosami ostrzyżonymi na jeża, w skórzanej kurtce nabijanej ćwiekami i drelichowej spódniczce mini z przejęciem rozprawiała o swojej ostatniej wystawie rzeźby z jakąś kobietą, zachwycającą się z kolei malarstwem Normy Kamali. Ponieważ Gabrielle żadnej z nich nie знаła, nasuwał się jedyny wniosek, że obie są znajomymi Paula. Uznała, że towarzyski krag, w jakim się on obraca, można nazwać eklektycznym.

Odetchnęła z ulgą — nie było tak źle. Goście nie rozdzielili się na dwie grupy, jej i jego znajomych. Może jednak miała rację. Pozwoliła sobie na przelotny, triumfalny uśmiech, po czym poszła przywitać się z rzeźbiarką. Gabrielle uznała, że najlepiej zacząć właśnie od niej, bo przynajmniej miały wspólny temat: sztukę.

Ledwie zdążyła podać swe nazwisko, a mocno umalowane oczy plastyczki otworzyły się szeroko.

— Więc to ty! Cieszę się, że cię w końcu poznałam. Jestem Theresa. Paul mówił, że oglądaliście razem kilka moich prac.

Gabrielle przypomniała sobie tę nieszczęsną płataninę części samochodowych i fragmentów mechanizmu zegara. Zaskoczona i zakłopotana nie wiedziała, co powiedzieć.

— Tak — odezwała się w końcu. — To było...

Theresa roześmiała się.

— Nie męcz się, żeby okazać mi uprzejmość. Moje dzieła można tylko albo kochać, albo nienawidzić. Może gdybym stworzyła coś bardziej konwencjonalnego, nie miałabym takich kłopotów finansowych. — Wzruszyła ramionami. — Ale w końcu czym są pieniądze wobec wierności swoim artystycznym przekonaniom?

— Pieniądze jednak czasem się przydają, zwłaszcza gdy przychodzą rachunki — zabrała głos właścicielka kolekcji płócien Normy Kamali. — Może powinnaś pójść moim śladem i wyjść za jakiegoś, zamożnego faceta? Ja maluję co chcę i nie martwię się o sukces u krytyki i publiczności.

— Nie bierz poważnie tego, co ona mówi — rzekła Theresa. — Maureen jest do szaleństwa zakochana w swoim mężu — milionerze, a swoje obrazy sprzedaje teraz po dwa i pół tysiąca dolarów za sztukę. Przy okazji, Gabrielle, Paul zdradził nam, że urządzenie tych wnętrz to twoje dzieło. Uważam, że zrobiłaś to fantastycznie. Masz naprawdę świetne wycucie koloru i proporcji.

Gabrielle rozejrzała się wokół i próbowała być obiektywna. Prezentowało się to lepiej, niż kiedy tu zamieszkała, ale nadal wygląd mieszkania nie mógłby być spełnieniem marzeń żadnego dekoratora.

— Miło mi, że ci się podoba — Gabrielle zachowywała pewną rezerwę, zastanawiając się, ile w tym komplementie było zwyczajnej grzeczności.

— Mówię szczerze. Pewnie wydaliście na to majątek. Wiem, że jestem nieprzyzwoicie wścibska, ale sama mieszkam

w takiej norze, a tu jest tak cudownie... Też bym chciała mieć tak urządzone mieszkanie, ale, niestety, większość zarobionych pieniędzy przeznaczam na materiały plastyczne.

— Ale ja to wszystko kupiłam za pół darmo...

— Jakim cudem? — wykrzyknęła zaskoczona Maureen.

— Ja wydałam kupę forsy na dekoratora, ale efekt nie jest nawet w połowie tak dobry. Moje mieszkanie wygląda dokładnie tak samo, jak ze dwadzieścia innych na Upper West Side.

Gabrielle z prawdziwym entuzjazmem opisała jej swoją wędrowną podróż po komisach i sklepach z tekstyliami.

— To sprawiało mi sporą przyjemność. Meble odnawiałam sama. Może nie zrobiłam tego zupełnie fachowo, ale przynajmniej była to przygoda: odsłanianie, co kryje się pod całą tą warstwą brudu.

— Patrzę na to wszystko z podziwem — Theresa wciąż się zachwycała. — Zastanawiam się, czy nie chciałabyś powtórzyć sukcesu. Moje możliwości finansowe są dość ograniczone, trzeba by ewentualnie omówić wszystkie warunki, ale marzę o tym, żeby zobaczyć, co wyczarowałabyś z mojego mieszkania.

Ta propozycja zaintrygowała Gabrielle.

— A co należałoby u ciebie zrobić?

— Wszystko — odpowiedziała skwapliwie Maureen, zanim Theresa zdążyła się odezwać. — Nie mogę pojąć, jak artysta może żyć w tak ponurej norze. Gdybym tam mieszkała, malowałabym wyłącznie czarnymi i szarymi farbami. Przyszło mi na myśl, że może to wyjaśnia jakoś specyfikę twoich rzeźb.

— Bardzo śmieszne. Sama widzisz, Gabrielle, potrzebuję twojego wsparcia. Paul nawet zaofiarował się, że kiedyś

przyjdzie mi pomóc w malowaniu ścian, ale nie miałam dotąd czasu nawet, żeby zastanowić się nad kolorami.

— Bogu dzięki — wtrąciła się znów Maureen — bo z pewnością wybrałaby tak dyskretne barwy, jak purpura i oranż.

Gabrielle roześmiała się.

— Myślę, że mogłabym rzucić okiem na twoje mieszkanie, być może przyjdzie mi do głowy jakiś pomysł. Ale to wszystko gratis. Mam teraz trochę czasu, a poza tym lubię szperać i nieco się potargować.

— Och, nie — odparła Theresa. — To jest interes. Musisz się cenić. Trzeba talentu, żeby zmienić puste wnętrza w ciepły, przytulny dom. Na pewno ci zapłacę.

W tym momencie nadszedł Jeff. Gabrielle przedstawiła go obu kobietom i, obiecawszy Theresie zadzwonić do niej, żeby się umówić, rzuciła się w wir zadań gospodyni: sprawdzała, czy jest dosyć jedzenia, witała nowo przybyłych gości. Potem dotarła do Paula, pochłoniętego właśnie rozmową z Tedem i Kathy. Ku zaskoczeniu Gabrielle, rozprawiali o szczegółach technicznych, dotyczących mieszkań. Ted wykazywał zdumiewającą wiedzę na ten temat.

— Właśnie wspomniałem Paulowi, że Kathy i ja szukamy podobnego mieszkania — powiedział Ted, cmoknąwszy ją na powitanie w policzek. — Chcemy się przeprowadzić jeszcze przed narodzinami dziecka.

— Ale przecież teraz tak pięknie mieszkacie — wykrzyknęła Gabrielle. Paul objął ją ramieniem; zrobił to jak gdyby przypadkowo. Może też się trochę odprężył, zobaczywszy,

że wszystko idzie gładko. Zerknęła na Teda, pragnąc wytropić jego reakcję, ale on wydawał się być znacznie bardziej zainteresowany efektami prac stolarskich Paula.

— Pięknie, ale drogo i ciasno — poprawiła ją Kathy, przeciągając rękę po swoim zaokrąglonym brzuchu. — To mieszkanie jest za małe dla nas i dziecka. Po urodzeniu malucha nie będę pracować przez co najmniej parę miesięcy, więc już teraz musimy podjąć pewne decyzje finansowe.

— Gdybyście chcieli mogę wam wynająć mieszkanie w tym domu — powiedział Paul. Gabrielle patrzyła na niego osłupiała. Pierwsze i drugie piętro już zostały wynajęte. Lokatorzy mieli się wprowadzić pierwszego grudnia. Jedynym wolnym mieszkaniem był apartament Paula na parterze. Zamierzał się tam przenieść już od następnego tygodnia. Jeszcze nie rozmawiali oboje o tym, jakie miały być dalsze losy ich umowy. Teraz po raz pierwszy Paul zasygnalizował, że chce nadal z nią mieszkać.

— Wolne jest tylko jedno. Możecie je obejrzeć — proponował Paul.

W oczach Kathy zapalił się ogień.

— Bardzo chciałabym zobaczyć.

— Ale nie sądzisz, że jest trochę za daleko od centrum?

— zapytała Gabrielle, obawiając się, że to, co okazało się dobre dla niej samej, może być niefortunnym rozwiązaniem dla Teda i Kathy. — Poza tym ta okolica jest w ciągłym ruchu, tu wciąż coś się zmienia. Nie jesteście do tego przyzwyczajeni.

— Ale na lepsze, nie na gorsze — rzekł Ted. — Zauważyliśmy to jadąc do was.

— Jednak chyba powinniście pomyśleć o kupieniu czegoś, a nie topić pieniądze w wynajmowanie — powiedziała Gabrielle, nie wiedząc właściwie, dlaczego tak się broni, żeby nie mieć tych dwojga sympatycznych ludzi za sąsiadów. A oni propozycję Paula przyjęli z takim entuzjazmem.

— W tej chwili to, co naprawdę chcielibyśmy mieć, jest poza naszym zasięgiem. Potrzebujemy czasu, żeby zebrać oszczędności — odparła Kathy. — Ted, chodźmy na dół zobaczyć.

— Ja tu zostanę — powiedziała Gabrielle. Patrzyła za nimi, jak schodzili po schodach; Paul i Ted wymieniali uwagi na temat kierunków rozwoju dzielnicy. Była tym wszystkim oszołomiona.

Gdy wrócili, zastali ją w kuchni. Twarz Kathy promieniała z przejęcia.

— Jest cudowne — zachwyciła się. — Druga sypialnia jest wręcz wymarzona na pokój dziecinny. Trzeba będzie jeszcze wiele rzeczy omówić, ale myślę, że zdecydujemy się na to mieszkanie.

Uściskała serdecznie Gabrielle.

— Muszę już wracać do domu i położyć się z tym moim futbolistą do łóżka. Bardzo dziękujemy za zaproszenie na dzisiejszy wieczór. Strasznie dawno się nie widziałyśmy, Gabrielle. Mam nadzieję, że zostaniemy sąsiadkami.

— No tak — wybałała Gabrielle, zaszokowana tempem wydarzeń. Tego wieczora, zupełnie poza nią, zapadły niezrozumiałe dla niej decyzje.



Dopiero gdy wszyscy goście już wyszli, a Paul rozparł się na kanapie, mogła zebrać myśli.

— Chodź, usiądź przy mnie — powiedział Paul.

— Muszę trochę posprzątać, taki tu bałagan.

— To może poczekać. Chcę z tobą porozmawiać.

Westchnęła i podeszła do niego. Posadził ją sobie na kolanach i objął ramieniem w talii. Owładnęło ją przyjemne uczucie bliskości i bezpieczeństwa; oparła się o jego tors.

— Uważam, że przyjęcie wypadło dobrze — zaczął, przesuając powoli palcami po jej brzuchu.

— Zgadzam się.

— Czemu jesteś taka smutna, Gaby? Myślałem, że będziesz napawać się zwycięstwem. Wszystko poszło dokładnie tak, jak chciałaś. Podobają mi się twoi przyjaciele. Ty polubiłaś moich. Nikt się na nikogo nie boczył.

— Było przyzwoicie — odparła chłodno.

— Sądziłem, że wyżej to ocenisz. Goście naprawdę wyglądali na zadowolonych. Dzisiejszy wieczór chyba jeszcze bardziej nas połączył.

— Chyba.

Pocałował ją w kark.

— Więc o co chodzi?

— Jak mogłeś zaproponować tamto mieszkanie Tedowi i Kathy — wybuchła wreszcie. — Ono nie jest dla nich odpowiednie!

— A skąd ty o tym wiesz? Chcą dwóch sypialni — są tam dwie sypialnie. Zależy im na umiarkowanym czynszu —

podalem im umiarkowaną kwotę. Dziecko będzie mogło bawić się w ogrodzie.

Nieoczekiwanie w jej oczach pojawiły się łzy.

— Jak im tam będzie wspaniale! — ironizowała.

— Gaby? Nie chcesz, żeby się tu wprowadzili? — wyglądał na zdezorientowanego i zmieszanego. — Przecież to twoi przyjaciele. Myślałem, że będziesz zadowolona, jeśli zamieszkają w pobliżu.

— To nie to — odpowiedziała i zabrzmiało to nieco bełkotliwie; właściwie sama nie wiedziała, o co jej dokładnie chodzi.

— To miało być twoje mieszkanie — wysłowiła się w końcu.

Paul wciągnął gwałtownie powietrze do płuc.

— Rozumiem. Nie przypuszczałem, że tak niecierpliwie czekasz, aż się przeniosę na dół.

— Znów mnie nie rozumiesz.

— Jesteś rozdrażniona, bo pozwoliłem sobie przyjąć, że chcesz, abym został tutaj z tobą? — pytał cierpliwie.

— Nie. Chodzi o... chodzi o ogród. — Z chwilą, gdy wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to absurdalnie, ale mówiła prawdę. Ostatnio często myślała z radością o tym ogrodzie, czekała na wiosnę, na ten dzień, kiedy rozkwitnie tuż pod oknami saloniku w całej swej krasie.

— Co? — Paul najwyraźniej był zbity z tropu.

— Chciałam, żeby ten ogród był nasz.

— Jest nasz.

— Nie. Teraz będzie ich.

— Chcesz, żebyśmy się przenieśli na dół? O to ci chodzi?  
Uśmiechnęła się niepewnie.

— Głupie, prawda? Tak, tego bym chciała. Pracowaliśmy tam razem. Sama wybrałam kolor farby tu ściany i laminatów do kuchni. Wywiórkowałam podłogi. Robiłam to wszystko dla nas.

— Napracowałaś się też tutaj, urządzając to wszystko. Myślałem, że będziesz tu wolała zostać. Ale przecież zawsze mogę powiedzieć Tedowi i Kathy, że jednak mamy do wynajęcia ten lokal.

— Wypadnie to głupio. To jest wspaniałe mieszkanie i masz rację, zrobiliśmy tutaj wszystko dokładnie tak jak chcieliśmy... No, może z wyjątkiem wanny w kuchni. A poza tym Kathy nie powinna wspinać się aż tak wysoko.

— Czy mam przez to rozumieć, że nie masz nic przeciwko temu, żeby wynająć im mieszkanie na dole?

— Nie mam.

Masował palcami jej brzuch, coraz bardziej, zaborczo.

— Cieszę się, że ma dla ciebie znaczenie, gdzie mieszkamy — powiedział cicho. — Ale najważniejsze jest to że nadal będziemy razem. Dziś wieczorem przeskoczyliśmy przez wysoki mur na naszej drodze ku przyszłości.

Przyznała mu w myślach rację i wreszcie pozwolił sobie na uczucie odprężenia i zadowolenia. Byli razem związani ze sobą mocniej niż kiedykolwiek.

— Rozmawiałam z twoją znajomą, Theresą — odezwała się. — Chce mi zapłacić za pomoc przy urządzeniu mieszkania.

— To znakomicie. Zgodziłaś się?

— Myślę, że to może być nawet zabawne. Przynajmniej będę miała jakieś pożyteczne zajęcie, zanim zdecyduję się, co dalej robić.

— A może to właśnie mógłby być twój zawód? — podsunął jej ostrożnie, jak gdyby obawiając się jej reakcji. — Przecież lubisz to. Jest zapotrzebowanie na tego typu usługi.

— Nie wygłupiaj się. To jednorazowa sprawa. Po prostu pozwoli mi zająć czymś myśli i czas, dopóki nie znajdę prawdziwej pracy.

— Może — odrzekł, ale popatrzył na nią wzrokiem jak nigdy dotąd ożywionym nadzieją.

— Ty uważasz, że to mogłoby być dla mnie jakieś rozwiązanie, prawda?

— Pomyśl o tym. Wyglądałaś na niezmiernie szczęśliwą, kiedy urządziłaś to mieszkanie. Podniecało cię odkrywanie skarbów zagrzebanych pod stertą staroci w różnych komisach. Czy nie o to ci zawsze chodziło — żeby praca zawodowa była i przyjemna, i intratna?

— Ale to wygląda bardziej na hobby.

— Tylko dlatego, że sama tak do tego teraz podchodzisz. Wcale nie musi tak być. Poza tym, to mogłoby się okazać dobrym rozwiązaniem dla nas obojga.

Wzięła głęboki oddech.

— Co masz na myśli?

— Moglibyśmy wejść w spółkę. Wymyśliłabyś jakąś krótką, przyciągającą uwagę nazwę dla firmy, może nawet wydrukowałyby się wizytówki. Kiedy w różnych domach realizuję zlecenia, ludzie zawsze mnie pytają, czy nie znam

jakiegoś dekoratora wewnątrz, który nie obłupi ze skóry. Moglibyśmy się wyspecjalizować w wykonywaniu niedrogich, ale bardzo stylowych renowacji mieszkań.

— Może masz rację. To by nas zrównało — powiedziała w zadumie, nieświadoma, że Paul w tym momencie najeżył się.

— To znaczy?

— Przestałbyś mieć kompleksy.

Paul zepchnął ją z kolan i wstał gwałtownie, rozzłoszczony nie na żarty. — Do diabła, odczep się, dobrze?

— Co ci się stało? — spytała, przyglądając mu się, jak chodził w kółko po pokoju.

— Przecież wcale nie chodzi o to, żebyśmy tyle samo zarabiali! Chcę, żebyś była szczęśliwa. Jeżeli to szczęście da ci powrót do firmy maklerskiej, wysiadywanie tam całymi godzinami i hodowanie wrzodów w pogoni za sześciocyfrowymi dochodami, to proszę bardzo. Moje ego jakoś to zniesie, jak będziesz przynosić do domu dziesięć razy tyle co ja. Kocham cię, Gabrielle. Nie sądź, że chcę uczynić z ciebie swoją własność.

Patrzyła na niego osłupiała.

— Kochasz mnie?

Przystanął wreszcie.

— Tak mi się wydaje — powiedział, jak gdyby nagle stało się to zupełnie oczywiste.

Jej twarz powoli rozświetlił radosny uśmiech.

— Więc czemu stoisz tak daleko? Chodź tu do mnie.

Długo się wahał, ale w końcu, po namyśle, wrócił na kanapę. Swoje wyznanie przypieczętował mocnym

pocałunkiem, zaczynającym dla nich obojga nową erę. Teraz, kiedy wyjawili już swoje uczucia, mogli spróbować iść przez życie nie jako po prostu dwoje ludzi, lecz jako para. Nie mogli, się spodziewać, że zawsze będą zgodni, ale poczuli, że przyszedł właśnie czas na naukę trudnej sztuki wzajemnego zrozumienia i ustępstw.

Jednak teraz, kiedy Gabrielle czuła na ustach jego gorące i niecierpliwe wargi, problemy czekające ich w przyszłości były ostatnią rzeczą, o której chciała myśleć.

scandalous

Urządzenie mieszkania Theresy okazało się dla Gabrielle czymś zupełnie innym, niż dobieranie detali do jej własnego gniazdka. Śmiała, artystyczna osobowość wymagała bardziej wyrazistych barw i nieszablonowych rekwizytów. Poszukując odpowiednich przedmiotów Gabrielle odkryła kilka nowych sklepów z niedrogimi, używanymi meblami oraz wyprzedawanymi po remanentach dywanami, a także parę komisów z nie odnowionymi antykami.

Codziennie wracała do domu wyczerpana, ale wciąż pełna zapału. Doskonale dotąd utrzymane paznokcie łatwo teraz szczybiły się i łamały, więc obcinała je krótko i zostawiała nie pomalowane. Nieraz na rzęsach albo na czubku nosa można było u niej zobaczyć ślady farby. Nosiła głównie dżinsy, rzadko kiedy pozwalając sobie na bardziej fantazyjny ubiór. Włosy zgarniała do tyłu w zwyczajny koński ogon. Ręce miała obolałe i poobcierane od taszczenia do domu znaleźsk, żeby przywrócić im dawną świetność; potem jeszcze musiała zaciągać je do mieszkania Theresy. Ona i Paul u schyłku dnia byli do tego stopnia wykończeni i brudni, że toczyli ze sobą bój o gorącą wodę. Wieczne ablucje nie przypominały sielankowych obrazków z ich marzeń o wspólnym życiu — wcale nie dzielili staroświeckiej, wanny i nie pijali w niej wina. Gabrielle nieco szarzyła, ale nigdy w życiu nie była bardziej zadowolona.

Pewnego wieczora Paul zastał ją w wannie, zanurzoną w obłoku z baniek mydlanych; wokół, na ścianach i meblach w kuchni połyskiwały pastelowe refleksy, rzucane przez piękną,

witrażową lampę, którą Gabrielle czyściła zawzięcie przez całe popołudnie.

— Podoba mi się ten nastrój — powiedział cicho, stojąc w drzwiach.

Sam wyraz jego oczu wywołał u niej gęsią skórkę.

— Chodź do mnie — rzekła zapraszająco.

Nie spuszczać z niej oczu, postawił na podłodze pudełko z narzędziami i zaczął się rozbierać. Najpierw rzucił skórzaną kurtkę, potem flanelową koszulę w kratę. Wyszarpnął spod paska spodni podkoszulek i ściągnął go przez głowę, obnażając rozbudowaną klatkę piersiową, gęsto obrośniętą kręconymi, ciemnymi włosami. Zamaszystymi ruchami nóg zrzucił robocze buty, po czym cisnął na bok skarpety. Przeciagał manipulowanie palcami przy zatrasku spodni, umyślnie drażniąc ją tym graniem na zwłokę.

Gabrielle przyglądała mu się sącząc wino; serce waliło jej nieprzytomnie. Boże, jakże wspaniałym Twoim dziełem jest mężczyzna! Zastanawiała się, czy przyjdzie kiedyś taki dzień, że jego widok nie wzniesie w niej ognia. Paul zdjął wreszcie dżinsy, a w końcu i spodenki; Gabrielle była bliska ekstazy.

Wsunął się do wanny, wyciągając nogi wzdłuż jej ciała. Tęczowe światełka migotały w mydlanej pianie.

— Gdzie znalazłaś tę lampę?

— Hmmmm? — zamruczała, dając do zrozumienia, że nie jest to najlepszy temat do rozmowy w tym momencie.

— Lampę? — uśmiechnęła się.

Próbowała skupić myśli. — W pobliżu Bowery — wymówiła szeptem.



Przeraził się.

— Gaby, nie chcę, żebyś tam chadzała.

Ostry ton w jego głosie zepsuł przyjemną atmosferę.

— W ciągu dnia jest tam bezpiecznie — odrzekła i dodała znacząco: — Z pewnością nie mniej niż w naszej okolicy.

Niezwyknięte poczucie niezależności Gabrielle stanowiło dla Paula nieustające źródło rozdrażnienia. Powoli jednak przekonywał się, że wszelkie zgłaszane przez niego zastrzeżenia jedynie wzmagają jej upór. Teraz Gabrielle powściągała uśmiech, widząc z jaką niechęcią powstrzymał się od udzielenia jej kolejnej dobrej rady.

— Zostawimy sobie tę lampę? — spytał, uznawszy jej argument. — Zdaje się, że nie pasuje do wystroju, jaki zaprojektowałaś dla Theresy.

— To prawda, ale też właściwie nie pasuje do naszego mieszkania. Tyle, że cena była atrakcyjna, więc nie mogłam przejść obok niej obojętnie.

— Może lampa była tak tania, bo brakuje kilku szkiełek?

Jak na człowieka, który kupił raczej ruinę, a nie dom i wyczarował w nim tak wspaniałe mieszkania, wykazywał zdumiewająco mało wiary w możliwości, jeśli rzecz dotyczyła jej cennych znalezisk.

— Zapewne — zgodziła się z nim. — Ale w zeszłym tygodniu znalazłam kobietę, która wykonuje przedmioty ze szkła witrażowego. Umówiłam się z nią, że dorobi mi odpowiednie kawałki. Jutro zaniosę do niej lampę.

— I co potem?

— Zatrzymam ją na wypadek, gdyby mi kiedyś była potrzebna.

Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Potrzebna do czego?

Opryskała go, uderzając stopą o wodę.

— Przestań mnie tak cisnąć. Jeszcze nie zdecydowałam się na założenie interesu.

— Czyżby?

— Paul, może się już nikt więcej nie trafić, kto miałby ochotę mnie zatrudnić tylko po to, żebym wykupywała dla niego jakieś rupiecie z komisów.

— Mam już jednego chętnego — odpowiedział na to od niechcienia, wpatrując się uparcie w plamy światła na suficie, jak gdyby jej reakcja w ogóle go nie interesowała. To była właśnie jedna z jego doprowadzających do białej gorączki metod manipulowania nią.

— Gdybyś nie była zbyt zajęta... — dodał. — Powiedziałem mu, że masz dużo zamówień.

Dokładnie tak, jak przewidywał, pożerała ją teraz ciekawość. Powoli zdjęła stopy z jego torsu.

— No dobrze, ty draniu, skoro już zacząłeś, dokończ. Kto to jest? Co to za mieszkanie? Czy właściciel ma sam jakąś wizję całości? Ile przeznaczają pieniądze na wyposażenie?

Spojrzał jej w oczy z udanym zdziwieniem.

— Rozumiem, że mimo wszystko jesteś tym zainteresowana?

— Nie śmiej się głupio. Porozmawiam z nim.

— Nie tylko z nim, Gaby. Nie uważasz, że przyszła już pora, żebyś wymyśliła nazwę dla firmy i wydrukowała wizytówki? Idę o zakład, że w tych sklepach, które stale zaszczycasz swymi odwiedzinami, z chęcią będą je wręczać klientom.

Pograżyła się w myślach. Nie chciała się przyznać, ale ten pomysł coraz bardziej ją pociągał.

— Może — powiedziała w zadumie.

— Więc czemu się wahasz? Boisz się niepowodzenia? Masz przecież zmysł do robienia interesów. Musisz dostrzec w tym okazję. Oferowałabyś jedyne w swoim rodzaju usługi. Jestem przekonany, że Theresa rozpowie to wszystkim wkoło, a i ja mam mnóstwo klientów, którzy z chęcią powierzą ci urządzenie swych mieszkań za rozsądną cenę.

— Pewnie masz rację, co jednak będzie, jeśli znużę się tym, tak jak Wall Street? To jest dla mnie duża frajda, ale przecież mam na koncie swoich osiągnięć jedynie nasze mieszkanie i Theresy.

Ujął w dłonie jej stopy i ucałował palce; jego dotyk rozpędził resztki bólu, a ciepło warg przeniknęło ją całą. To było fantastyczne.

— Więc może spróbuj zrobić tak — zaczął, kiedy Gabrielle już prawie zapomniała, o czym mówili. — Na początku wcale nie trzeba dużo inwestować — nie ponosisz ryzyka. Ileż mogą kosztować takie ulotki reklamowe? W dodatku nie musisz się martwić o jakieś zapasy towaru ani o czynsz za pomieszczenia biurowe. Twoje wydatki będą minimalne.

— Moi rodzice...

— Nie mają tu nic do gadania — rzekł stanowczo. — A w ogóle, czyż nie chcą, żebyś była szczęśliwa? Przecież chyba ucieszą się na wieść, że założyłaś własny interes.

Gabrielle miała co do tego wątpliwości. Mogliby jeszcze zaaprobować prowadzenie przez nią jakiegoś dyskretnego, ekskluzywnego antykwariatu w centrum starego Charleston. Ale umarliby ze wstydu, zobaczywszy kiedyś któryś z tych walących się domów, gdzie zarabiała na swój kawałek chleba. Pewnie wynajęliby dla niej osobistą obstawę.

Z drugiej strony, nie może przecież żyć według scenariusza wybranego przez rodziców. Zdawała sobie z tego sprawę, opuszczając Południową Karolinę, i teraz było to nie mniej aktualne. Coraz bardziej pociągał ją projekt takiego przedsięwzięcia. Uśmiechnęła się do Paula.

— No, to do ataku!

— Domyślam się, że masz na myśli nasz biznes — powiedział, wydeptując palcami ognistą ścieżkę wzdłuż jej nogi. Oddech uwiązał jej w gardle.

— To też — odrzekła dziwnie nagle zmienionym głosem, niesiona falą rozkoszy.

— Chcesz porozmawiać o szczegółach? — spytał, odprowadzając jakieś szczególne czary w dołku pod jej kolanem.

— Później — wymruczała.

— Oto mądra odpowiedź. Miło się dowiedzieć, że teraz, kiedy znów jesteś kobietą interesu, masz wreszcie prawidłową hierarchię wartości — rzekł, podnosząc Gabrielle z wanny. Gdy przechodził przez korytarz, trzymając ją na rękach, tak

pracowicie wchłaniała językiem strużki wody biegnące po szyi Paula, że nie miała czasu mu odpowiedzieć.

\* \* \*

„Nowa Szansa”, mimo że była spółką dwojga bardzo zajętych przede wszystkim sobą nawzajem ludzi, szybko stała się kwitującym interesem. Paul i Gabrielle mieli mnóstwo zamówień. Zyski nie były może ogromne, ale za to satysfakcja — niezmierna. Poza tym pracując z Paulem, Gabrielle nabrała szacunku dla jego talentu. Wykonywał swoją pracę fachowo i sumiennie, co jego klienci umieli docenić.

W życiu prywatnym tak silnie się ze sobą związali, że Gabrielle nie mogła sobie wyobrazić przyszłości bez Paula. Znalazła idealnego partnera, mężczyznę silnego i opiekuńczego, takiego, na którym zawsze można się oprzeć. Właśnie pewnego wczesnego ranka spoczywała w jego mocnych ramionach, kiedy zadzwonił zdenerwowany Ted.

— Co się u licha stało? — spytała natychmiast, gdy się odezwał w słuchawce. —: Tak trzepiesz, że nic nie rozumiem. Mów wolniej. Czy chodzi o Kathy?

— Nie, o ciebie. Chyba mnie zabijesz.

Był tak autentycznie przerażony, że zaniepokoiła się nie na żarty. Ted był najspokojniejszym człowiekiem jakiego znała.

— Zechciej mi wreszcie, z łaski swojej, powiedzieć, co się stało.

— Chodzi o twoich rodziców.

— O, do diabła.

— Co z moimi rodzicami?

— Są tutaj.

To był dla niej szok. Ogarnęło ją przerażenie.

— Tutaj? W Nowym Jorku?

— Tak, w Nowym Jorku. — Wziął głęboki oddech. —  
Właśnie są w biurze. Przyszedłem przed paroma minutami i spotkałem ich, jak już na ciebie czekali.

— O wpół do ósmej?

— Gabrielle, zazwyczaj byłaś już w pracy przed siódmą —  
— przypomniał jej. — Spodziewali się ciebie tu o tej porze.

— Co im powiedziałaś?

— Jeszcze nic, tylko, że spróbuję cię złapać. Nikt nie ma  
odwagi oznajmić im, że już tu nie pracujesz.

Przełknęła głośno ślinę.

— Myślisz, że już to odkryli?

— Jeszcze nie, ale zaczynają się czegoś domyślać. Twój  
ojciec chodzi tam i z powrotem i ma taką minę, jaką widziałem  
u niego wtedy, gdy przegrał w głosowaniu nad reformą opieki  
zdrowotnej. Nie mogę ich dłużej zwodzić. Chca, żeby im dał  
twój nowy numer telefonu.

Paul do tej chwili leżał spokojnie, aż nagle wyrwał jej z ręki  
słuchawkę.

— Ted, o co chodzi?

Gabrielle przycisnęła kolana do piersi, objęła ramionami  
zgięte nogi i trwała w takiej pozycji, wstrząsana dreszczami,  
których nie mogła powstrzymać. Paul tymczasem wypytywał  
Teda. Gabrielle prawie nie słuchała. Sprawdziły się jej

najgorsze obawy. Należało już dawno im powiedzieć. Trzeba było wysłać list. Nie powinna była chować głowy w piasek.

Nagle usłyszała, jak Paul powiedział:

— Dobrze, przyślij ich do nas.

— Nie — Gabrielle wydała z siebie skowyt i chwyciła za słuchawkę. — Ted, nie. Powiedz im, że spotkam się z nimi w mieście za godzinę; niech wybiorą miejsce. Muszę im pewne rzeczy wyjaśnić.

— Możesz to zrobić tutaj — rzucił cicho Paul.

Dostrzegła jego złowrogie spojrzenie i naprężone mięśnie twarzy. Zadrżała, ale postanowiła nie ulegać presji. Musi się z nimi zobaczyć sama. Nie może narażać Paula na eksplozję ich gniewu i desperacji, na to, że okażą przy nim pogardę dla życia, jakie sobie oboje z Paulem budowali. Kiedy im wytłumaczy, kiedy im powie, jak dobrze jej się teraz wiedzie, jak bardzo kocha Paula, może się jakoś ułożyć. Przecież, na miłość boską, nie okażą się chyba pozbawionymi uczuć ludożercami! Zaciskając aż do bólu palce na słuchawce, powtórzyła:

— Powiedz im to.

Wyznaczyli spotkanie w Palm Court przy Plaza o dziewiątej. Gabrielle była rozdygotana jak nigdy w życiu. Nawet wtedy kiedy miała im oświadczyć, że wyjeżdża do Nowego Jorku, aż tak się nie denerwowała.

— Postępując w ten sposób nie dajesz sobie szans — powiedział Paul.

— Tylko tak może się to odbyć. Muszę ich przygotować.

— Na co? Na twój wielki życiowy upadek? Na mnie?

— Wcale nie o to chodzi — odparła przygnębiona.

— Więc o co? Zachowujesz się dokładnie jak ktoś, kto wstydzi się swojego życia.

Udało jej się spojrzeć na całą sprawę z jego punktu widzenia.

— Proszę, postaraj się zrozumieć — tłumaczyła mu. — Chcę, żeby wasze spotkanie wypadło jak należy. Wyjaśnię im wszystko i wtedy zaproszę na obiad, na dziś wieczór. Dobrze?

Skinął niechętnie głową.

— Powiedzmy.

Objęła go w pól i złożyła głowę na jego piersi.

— Kocham cię.

Westchnął ciężko.

— Wiem, Gaby. Tylko nie jestem pewny, czy to wystarczy.

Gabrielle szła w kierunku Plaza wyprostowana, z uniesioną wysoko głową. Tylko w brzuchu trwała właśnie jakaś rewolucja.

Rodziców zauważyła natychmiast. Stalowszcare włosy ojca, jego łatwą do rozpoznania, rumianą twarz i wysoką sylwetkę oraz stojącą przy nim matkę, wyglądającą jak żywa lalka. Klepała go po dłoni — ten gest zawsze oznaczał, że ojciec jest bliski wybuchu, a matka próbuje go uspokoić. Kiedy Gabrielle zbliżyła się do nich, matka wyraźnie odetchnęła z ulgą.

— Gabrielle, kochanie, jesteś wreszcie.

Pochyliła się, żeby pocałować matkę.



— Nie spóźniłam się — odpowiedziała na zarzut. Od razu poczuła się jak sześciolatka dziewczynka. Postanowiła wziąć się w garść.

— Sama wiesz, ojciec. Jest taki niecierpliwy. Wpadł we wściekłość, kiedy przyjechaliśmy tu wczoraj wieczorem i okazało się, że nie będziemy się mogli skontaktować z tobą aż do rana. A potem — nie było cię w pracy... Na szczęście, Bogu dzięki, był tam taki miły młody człowiek.

— Ted. — Gabrielle spojrzała na ojca; minę miał nachmurzoną, ale w oczach dostrzegła rodzicielskie uczucie. Cmoknęła go w policzek. — Cześć, tato. Czemu nie daliście mi znać, że przyjeżdżacie?

— A jak, do diabła, mieliśmy to zrobić? — odburknął. — Zdecydowaliśmy się na przyjazd nagłe. Wiesz, że nie pochwalam prywatnych rozmów w pracy, a ty nie uznałaś za stosowne dać nam swój nowy numer telefonu.

— Przepraszam, tato — odrzekła, siadając z wdziękiem i szybkim ruchem zgarniając ze stołu menu, żeby tylko za chwilę nie rozpląnąć się w przeprosinach. — Czy już coś zamówiliście? Umieram z głodu.

— Nie, kochanie, czekaliśmy na ciebie.

— Czemu nie było cię w biurze, Gabrielle? — dopytywał się ojciec.

Zastanawiała się, jak szybko pojmie, w czym rzecz. Nadal nie była przygotowana na to pytanie.

— Zwolniono cię, prawda? — spytał, gdy milczała.

— Tak — odparła bezbarwnym głosem. Otóż to. Teraz najbliższych kilka minut zdecyduje na zawsze, czy jest dorosłą, niezależną kobietą, czy tchórzem. Matka nie mogła złapać tchu.

— Kochanie, dlaczego nam nie powiedziałaś? Pomoglibyśmy ci. Twój ojciec ma znajomości. Jestem pewna...

— Nie chcę korzystać ze znajomości taty. Wiedziałam, że sama sobie poradzę.

— Ale w jaki sposób teraz zarabiasz? To dlatego się przeprowadziłaś, prawda? Brakuje ci pieniędzy. Och, Boże święty, Gabrielle, chyba nie mieszkasz w jakimś obrzydliwym miejscu pospołu z karaluchami?

Gabrielle uśmiechnęła się mimo woli.

— Nie. Akurat teraz mój apartament wygląda całkiem nieźle. Mieszkam w odnowionym właśnie domu w Brooklynie.

Matka zbladła. Już ciężko przeżyła nawet Manhattan. Brooklynu nigdy nie wzięłaby pod uwagę. Nikt z jej znajomych w ogóle, choćby przypadkiem, nie trafił do tej dzielnicy. Rzadko zdarzało im się wystawiać nos poza Plaża i Piątą Aleję.

— Czy tam jest bezpiecznie? — od razu zainteresował się ojciec.

— Dość. I... — nie umiała spojrzeć im w oczy. — Mam sublokatora.

— To jest koleżanka z giełdy?

— Nie.

— Jakaś szkolna przyjaciółka? — zapytała matka z nadzieją w głosie.

— Nie. Tę osobę poznałam, jak się tu wprowadziłam. — Skoro powiedziała już tyle, musiała dokończyć. — To

mężczyzna i jestem w nim bardzo zakochana. Jest przedsiębiorcą budowlanym. Zajmuje się remontami domów.

— O Boże — stęknęła matka, wachlując się serwetką. Nie mogła dojść do siebie. Była bliska omdlenia. Gabrielle zaproponowała, żeby napiła się wody.

— Nic mi nie jest, kochanie. Po prostu tak mnie to zaskoczyło.

— Raczej zaszokowało — warknął ojciec. — Kto to jest? Co o nim wiesz? Z jakiej pochodzi rodziny? Mam nadzieję, że zbadałaś to wszystko rzetelnie, Gabrielle. Kobieta z twoją pozycją musi zachowywać rozwagę. To może być jakiś oszust, który zainteresował się tobą ze względu na mnie.

— Paul do niedawna w ogóle nie wiedział, kto jest moim ojcem. A kiedy mu powiedziałam, nie był zachwycony.

— Co?! — wykrzyknęła matka. — Dlaczego, u licha?

— Ponieważ jest to cudowny, wrażliwy człowiek. Uświadomił sobie natychmiast, że będzie przez was źle widziany, bo nie jest ani bogaty, ani potężny. Byłabym szczęśliwa, gdybyście pomogli mi przekonać go, że się myli. Zapraszam was dziś na obiad.

— Coś takiego! — odezwał się ojciec. — Nie daruję ci, że żyjesz z mężczyzną, nieważne, bogatym czy biednym, bez ślubu! Ja na to nie pozwolę!

— Nie proszę cię o błogosławieństwo tato — rzekła stanowczym tonem. — Powiedziałam ci już, czego pragnę. Możesz się zgodzić albo nie. To twoja decyzja. Zrozumiem, jeśli uznasz, że może to być dla ciebie niewygodne ze względów politycznych.

— Gabrielle — wyszeptała przerażona matka, odruchowo wyciągając rękę, żeby poklepać dłoń męża. — Twój ojciec martwi się o ciebie, a nie o swoją karierę polityczną.

— Więc proszę, przyjdźcie dziś wieczorem. — Powtórzyła zaproszenie. — Naprawdę myślę, że polubicie Paula, jeśli tylko dacie mu szansę.

— Czy on cię utrzymuje? — spytał ojciec bez ogródek, Gabrielle ledwo pohamowała wściekłość i z dużym wysiłkiem odpowiedziała uprzejmie:

— Nie, tato. Założyliśmy razem firmę. Sama zarabiam.

— A jakiz to interes, który możesz prowadzić do spółki z przedsiębiorcą budowlanym?

— Opowiem wam o tym wieczorem. Przyjdziecie? Matka rzuciła ojcu błagalne spojrzenie.

— Proszę.

Westchnął ciężko, po czym powiedział z wyraźną niechęcią:

— Dobrze, przyjdziemy.

Skoro szok, jaki wywołały jej rewelacje minął, resztę posiłku spędzili na omawianiu przywiezionych z Południowej Karoliny plotek. Gabrielle dała rodzicom adres i wróciła do domu, żeby przygotować obiad; bardzo chciała, żeby wprawił on ojca w dobry nastrój.

Byłoby jednak lepiej — jak pomyślała później — gdyby go nakarmiła środkami uspokajającymi. Od chwili, kiedy rodzice przestąpili próg, atmosfera zagęściła się nie do wytrzymania. Wszyscy byli wobec siebie nieprawdopodobnie uprzejmi. Gabrielle aż się dusiła.

Rodzice określili mieszkanie jako „ciekawe”. To słowo zostało wypowiedziane z ledwo zauważalnym, pogardliwym prychnięciem. Paul pogratulował ojcu Gabrielle ostatniego zwycięstwa w senacie. Gabrielle wiedziała, że rzecz dotyczyła programu, któremu Paul był zdecydowanie przeciwny, ale swoją opinię zachował dla siebie. Matka nazwała Paula „czarującym” leciutko unosząc przy tym brwi — pozornie tak, żeby dostrzegł to tylko jej mąż. Jednak naturalnie dostrzegł to również Paul, co natychmiast wywołało u niego napięcie mięśni twarzy. A potem jeszcze zabrzmiały niezwykle subtelne uwagi o Townsendzie, jak bardzo przygnębiony jest po zerwaniu zaręczyn, jaką ma wspaniałą przyszłość, jak często jego rodzina dopytuje się o Gabrielle.

W końcu przyszła pora na cios ostateczny — rodzice zastanawiali się na głos, niedwuznacznie, kiedy to Gabrielle wróci do domu na stałe. Tak, jakby nie dotarło do nich ani jedno słowo z tego, co mówiła rano.

Oburzona i wyprowadzona z równowagi tak bezwzględnym potraktowaniem jej wspólnego życia z Paulem, rzekła:

— Nie wracam do domu. Myślałam, że dość jasno powiedziałam to dziś rano.

— Ależ kochanie, nie możesz mieszkać nadal w takich warunkach — odparła matka, zwijając nerwowo serwetkę.

— A jakież to warunki, pani Clayton? — odezwał się Paul.

Gabrielle usłyszała w jego głosie ledwie hamowaną wściekłość i w każdej chwili spodziewała się wybuchu. Jej

matka jednak nie na darmo była przez trzydzieści lat żoną polityka.

— Paul, my jak najbardziej doceniamy to, że dzięki tobie Gabrielle miała gdzie zamieszkać — powiedziała, w ten sposób natychmiast sprowadzając go do roli miłosiernego Samarytanina. — A poza tym naprawdę uważamy, że to mieszkanko jest urocze, i interesująco urządzone.

Oto właśnie padło słowo, na którego dźwięk robiło się Gabrielle niedobrze: „interesująco”.

— Tak się składa, że urządzenie tego domu jest dziełem państwa córki — odpowiedział Paul z widoczną dumą. Gabrielle właśnie odnosi sukcesy jako dekoratorka wnętrz.

Matka wyglądała na wstrząśniętą. Gabrielle spojrzała na Paula z miną winowajcy.

— Jeszcze nie powiedziałam rodzicom szczegółów o naszej firmie.

— Rozumiem — rzekł z naciskiem.

W jego głosie brzmiała rezygnacja, ale Gabrielle nie miała zupełnie pomysłu, jak podnieść go na duchu, nie wzniecając przy tym rodzinnej awantury. Docierały do niej protekcyjnalne uwagi ojca i podejmowane przez matkę słabe próby załagodzenia sytuacji, ale przede wszystkim widziała, jak Paul walczył ze sobą, żeby nie dać się ponieść emocjom.

— Może lepiej wyjdę — powiedział w końcu. — Z pewnością macie państwo sprawy, które chcielibyście omówić w rodzinnym gronie.

— Paul — Gabrielle czuła swoją bezradność, gdy wziął kurtkę i podażył w stronę drzwi.

— Porozmawiamy później — rzucił sucho. — Dobranoc państwu.

Gabrielle patrzyła za nim, jak wychodził, i ogarnął ją straszny lęk, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła, większy, niż kiedy straciła pracę, nawet niż kiedy straciła oparcie rodziny. Doprowadziło ją to do okropnej wściekłości; była zła na rodziców, ale przede wszystkim na siebie. Paul postąpił wielkodusznie — udał, że nie zwrócił uwagi na nietaktowne zachowanie jej rodziców, nie chcąc z nimi walczyć. Ale ona musi znaleźć odwagę, żeby obronić nie tylko Paula, ale i ich związek.

— Jak mogliście? — rzuciła się na nich, gdy tylko wyszedł.

— A co myśmy takiego zrobili? — zapytała matka takim tonem, jakby naprawdę tego nie wiedziała.

— Większa część wieczoru minęła wam na upokarzaniu Paula. Na upokarzaniu nas obojga. Nawet kiedy Paul wspomniał o naszej firmie, nie wykazaliście najmniejszego zainteresowania szczegółami. Potwierdziliście tylko jego najgorsze obawy, że nie jest dla mnie dość dobry — z trudem powstrzymała szloch. — Otóż jesteście w błędzie. Jest dostatecznie dobry. Bardziej niż wy.

Matce zabrakło tchu, a ojciec wpadł w furję, jakiej nigdy u niego nie widziała.

— Moja panno, natychmiast przeprosisz matkę i mnie!

— Nie. Zachowywaliście się niewybaczalnie obraźliwie wobec mężczyzny, którego kocham.

Matka powoli wracała do siebie.

— Kochanie, musisz nam uwierzyć, że nie mieliśmy wcale zamiaru mu uchybić.

— Gabrielle dobrze o tym wie — odezwał się ojciec. — Ten młody człowiek musi zrozumieć, że chodzi nam wyłącznie o twoje dobro. Townsend na przykład...

— Nie chcę więcej słyszeć słowa o Townsendzie — przerwała rozjuszona. — Mówicie, że chcecie dla mnie jak najlepiej. W ogóle nie przyszło wam do głowy, że najlepsze dla mnie może być to, co właśnie mam. Niczego nie zauważyliście? Nigdy nie byłam szczęśliwsza. Kocham Paula. Mam nadzieję w Bogu, że i on kocha mnie wystarczająco mocno, żeby zapomnieć o waszym dzisiejszym zachowaniu. Tu jest moje miejsce, nie w Charleston, i z pewnością nie z Townsendem.

Ojciec wziął ją za rękę. Teraz, kiedy z jego twarzy zszedł grymas gniewu, wyglądał starzej. Zdumiało ją, że był nawet nieco przestraszony.

— Gabrielle, córeczko, matka i ja po prostu się o ciebie martwimy. Nie taki los sobie dla ciebie wymarzyliśmy.

— Ja także nigdy nie przewidziałabym takiego obrotu sprawy, ale Paul jest właśnie tym, kogo zawsze szukałam. Jestem tego pewna jak niczego dotąd. Zachęcił mnie, żebym odkryła, kim naprawdę jestem, zamiast stale przekonywać się tylko, kim być nie chcę.

— A co z Wall Street? Tak ci kiedyś na tym zależało — przypomniał jej ojciec.

— Może dlatego, że widziałam, jak bardzo wam się to nie podobało. Orientowałam się, jak zamierzaliście urządzić mi życie: małżeństwo z Townsendem, spędzanie całych dni na



nudnych, bezbarwnych, powtarzających się czynnościach; dlatego wybrałam pierwszą z brzegu drogę, która mogła okazać się ciekawsza. Zawsze ci, tato, zazdrościłam, że wychodzisz codziennie rano do pracy, podczas gdy mama musiała zostać w domu.

— Ale ja bardzo lubię być w domu — zaproponowała matka.

— Wiem — odrzekła Gabrielle nieco łagodniejszym głosem. — I właśnie to musimy sobie wyraźnie powiedzieć: każde z nas ma prawo do własnego szczęścia, choć drogi do tego celu mogą być różne. Moje szczęście to życie z Paulem i prowadzenie tego naszego interesu.

— Czy naprawdę jesteś tego tak pewna, słonko? — zapytał ojciec, ściskając ją za rękę. Patrzył jej pytająco w oczy.

— Naprawdę.

— W takim razie wygląda na to, że będę musiał się z tym pogodzić. Zaczekamy, aż Paul wróci. Wytłumaczymy się, że nie mieliśmy racji.

To o swoim ojcu wiedziała dobrze: kiedy dał się do czegoś przekonać, popierał rzecz na całej linii. Gabrielle podniosła się z miejsca i pocałowała go.

— Dziękuję, tato, ale nie. Lepiej, żebyśmy zostali sami. Zadzwoń do was rano. Może uda nam się jeszcze spotkać, zanim wyjedziecie.

— Chciałbym — powiedział ojciec. — Chciałbym poznać człowieka, którego tak kochasz. Musi rzeczywiście wiele dla ciebie znaczyć, skoro tak o niego walczysz.

— Faktycznie, znaczy wiele. On jest wyjątkowy.

Rodzice zbierali się do wyjścia pośród przeprosin i zapewnień, że chętnie zobaczą się ponownie z Gabrielle i Paulem.

Pozostała tylko jeszcze największa obawa Gabrielle: że przeprosiny te mogą być spóźnione, że może Paul już wcale do niej nie wróci.

scandalous

Paul opuściwszy mieszkanie przez jakiś czas spacerował bez celu, aż w końcu wsiadł do samochodu. Miał ściśnięty żołądek. Nie mógł skupić myśli. Dotąd tylko raz w życiu czuł się tak zagubiony, pokonany i wściekły. Podobnie było wtedy, gdy oboje z Christine Bentley Hanford patrzyli w rozgwieżdżone niebo i ona z rosnącym zdumieniem, a potem z rozbawieniem słuchała jego oświadczeń. Jakże bolało go to, że się wtedy tak zbłądził. Przez wszystkie lata od tamtej nocy, kiedy doznał takiego upokorzenia, nie zdarzyło się, żeby ktoś mu w podobny sposób utarł nosa. Unikał zresztą starannie sytuacji i osób, które mogłyby narazić go ponownie na takie poniżenie.

Aż pojawiła się Gabrielle. Aż ta piękna, delikatna kobieta przekonała go, że razem mogą przebyć wszelkie przeszkody. Ale nie tę, pomyślał ze złością. Jej rodzice oddalili go niedbale niczym służącego. Co gorsza, on na to pozwolił — nie świadczyło to dobrze o sile jego charakteru i poczuciu własnej wartości. Jak Gabrielle mogłaby po tym wszystkim mieć dla niego szacunek?

Nawet nie wiedział, dokąd jedzie. Nagle zorientował się, że jest na drodze na Long Island. Może rzeczywiście odpowiedzi należy szukać w przeszłości? Może trzeba wyciągnąć wnioski z obu tych niepowodzeń i odejść od Gabrielle z godnością?

Tak, tego był teraz pewien: musi odejść. Nie może dopuścić, żeby Gabrielle była poddawana takim naciskom, jakich rodzice nie szczędzili jej przy obiedzie. Nie ma prawa oczekiwać, że dla życia z nim Gabrielle zrezygnuje z tak wielu

rzeczy. Powinna wrócić do Townsenda i do wszystkich tych dóbr, jakie może mieć w Charleston.

Wjechał przez bramę posiadłości Hanfordów i skierował się w stronę domku rodziców, nawet nie zerknąwszy na duży dom. U rodziców paliły się jeszcze światła, co oznaczało, że matka prawdopodobnie robiła na drutach, a ojciec spał w fotelu. Zajrzał przez okno i oczywiście zobaczył taką właśnie rodzinną scenę. Uśmiechnął się. Dziwne, jak nic się nie zmieniło.

Zastukał do drzwi i usłyszał, jak zaskoczony ojciec spytał:

— Co to?

— Ja otworzę, John. Załóż buty. — Matka uchyliła drzwi i wyjrzała ostrożnie. — Paul!

Jej okrągłą, pomarszczoną twarz rozjaśniła radość. Uścisnęła go mocno. Pachniała talkiem i odrobinę cynamonem. Prawdopodobnie piekła ciasto kawowe na śniadanie dla Hanfordów, pomyślał, przypominając sobie od razu, jak bardzo uwielbiała je Christine. Gdy byli dziećmi, często porywała ze stołu kawałek dla niego i później dzielili się nim siedząc ramię przy ramieniu w domku, jaki ojciec zbudował dla nich w koronie potężnego dębu.

Ojciec podniósł się z fotela i Paul zauważył, że porusza się wolniej niż ostatnio. Lata klęczenia na zimnej, wilgotnej ziemi sprawiły, że kolana zrobiły mu się sztywne.

— Chłopcze, co cię sprowadza o tej godzinie? Czy wszystko w porządku?

— Daj mu przynajmniej usiąść — zbeształa ojca matka.  
— Chodź do kuchni. Właśnie upiekłam ciasto. Zjemy po kawałku, a jeszcze zaparzę świeżej kawy.

— A co będzie rano, kiedy się okaże, że zjedliśmy Hanfordom śniadanie? — spytał Paul.

— Dostaną owsiankę. To nawet lepiej dla pana Hanforda — matka uśmiechnęła się do syna porozumiewawczo.

Po chwili siedzieli we trójkę przy stole w kuchni, tak jak tysiące razy w dawnych czasach. Tu były zawsze podejmowane rodzinne decyzje — przy dobrym jedzeniu i w serdecznej atmosferze.

— Praca idzie dobrze? — zapytał ojciec, ostrożnie próbując się czegoś dowiedzieć.

— Dobrze, tato. Mam więcej zamówień niż mogę podać. — Zawahał się, ale po chwili dodał: — Teraz pracuję z pewną osobą do spółki.

— Tak?

Powiedział im o Gabrielle i o „Nowej Szansie”, o tym, jakie zlecenia już wykonali, o jej talencie i zapale do pracy.

— Ona jest kimś więcej, niż tylko partnerem w interesach, prawda? — spytała matka, wykazując niesłychaną spostrzegawczość. — Jesteś w niej zakochany.

Uśmiechnął się ponuro.

— Czy to aż tak widać?

— Ja widzę, to ten dziwny błysk w twoich oczach. Nie przyjechałeś do domu porozmawiać o przypadkowej przyjaźni. Nie widziałam cię takim, odkąd... — przerwała zakłopotana.

— Od czasów Christine. Możesz, to powiedzieć, mamo.

— Lepiej ci jest bez niej. Z pewnością widzisz to sam, synu — odezwał się ojciec. — Nie dała ci nic prócz cierpienia. Jej ojciec ją tak zepsuł. Może to nie była wcale jej wina, ale ona

umiała tylko brać. Wzięła od ciebie wszystko, co chciała, nie dając nic w zamian i nie zważając na twoje uczucia. Zasłużyła sobie na to puste, zimne małżeństwo, w którym teraz tkwi.

Nie pierwszy raz Paul słyszał, że Christine nie jest szczęśliwa, ale nie obchodziło go to zbytnio. Było mu jej tylko żal, tak jak byłoby mu żal każdego, kto z własnej winy wpadł w pułapkę.

— Czy zamierzasz ożenić się z tą Gabrielle? — spytała matka.

— Nie sądzę, mamo. Ona jest... ona jest trochę jak Christine.

Matka westchnęła cicho i zmarszczyła brwi. Ojciec wyglądał na zmartwionego.

— Cóż, synu, jesteś już zbyt dorosły, żebyś potrzebował mojej rady, ale muszę cię ostrzec...

Paul podniósł dłoń do góry.

— W porządku. Nie musisz tego mówić. Dziś wieczór spotkałem się z jej rodzicami i chyba w końcu dotarło do mnie, że nic z tego nie wyjdzie. Byłaby wciąż między młotem a kowadłem.

Matka zamieszała kawę; miała zamyślona .minę.

— Czy to znaczy, że ona cię kocha? Tak myślisz?

— Ona tak twierdzi.

— Ale powiedziałaś...

— Kiedy mówiłem, że jest trochę jak Christine, nie miałem na myśli, że jest egoistką. Chodziło mi o to, że pochodzi z tego samego uprzywilejowanego środowiska. Na miłość boską,

jej ojciec to przecież senator Graham Clayton. Mógłby rzucić jej pod nogi cały świat.

Rodzice wymienili pełne niepokoju spojrzenia.

— Ale ona jest zadowolona z tego, co możesz jej dać? — spytała cicho matka.

— Ona utrzymuje, że tak, ale ja widzę, że to dla niej za mało. Gabrielle zasługuje na więcej. I może to mieć, jeśli tylko wróci do Południowej Karoliny. Aż do dziś jakoś nie zwróciłem uwagi na to, że właściwie przeze mnie traci rzeczy, do których ma pełne prawo.

— Jeżeli od niej odejdiesz, naprawdę myślisz, że ona to zrobi? Że wróci do domu?

Patrzył na matkę i pomyślał o tym, jaką Gabrielle ma silną potrzebę niezależności, jak zawsze kategorycznie odmawiała powrotu do Charleston, jak zażarcie broniła się przed wszelką pomocą proponowaną przez rodziców. Tego, że może jednak twardo nie chcieć wrócić, nie wziął pod uwagę.

— Nie, chyba nie wróci.

— Czy ona jest inteligentna?

Zaśmiał się.

— Do licha, znacznie bardziej, niż mnie się czasem zdarza.

— Więc nie zrobiłaby czegoś tak głupiego i nie została z tobą, gdyby myślała, że to nie jest dla niej dobre, co?

Roześmiał się i nagle wątpliwości zaczęły znikać.

— To prawda.

— I jest wystarczająco mądra, żeby docenić przyzwoitego, czułego mężczyznę?

W tym momencie wstał, podniósł matkę z krzesła i trzymając ją w ramionach, obrócił się w kółko.

— Dziękuję, mamó.

Potem pochylił się i cmoknął ojca w policzek, czym go nieco zaskoczył, ale i ucieszył.

— Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, chciałbym, żebyście przyszedli do nas na obiad w niedzielę.

— Żadnych „jeżeli”. Na pewno pójdzie dobrze. Przyrowadź ją tutaj — zaproponowała z kolei matka. — Zrobię pieczeń wołową.

— Nie. Chcę, żebyś raz dla odmiany sama była obsłużona. A poza tym nie widzieliście jeszcze, jak urządziliśmy mieszkanie. — Uśmiechnął się do ojca. — Myślę, że będziecie mieć z Gabrielle wspólny temat do rozmów: ogród. Chyba się do tego zapaliła. Poupychała po różnych kątach w mieszkaniu cebulki i tylko, zdaje się, nie jest jeszcze zdecydowana, gdzie je zasadzić. Jeśli ich szybko nie zakopimy, może się zdarzyć, że przez pomyłkę ugotuje je kiedyś na obiad.

— Jeśli chcesz rzeczywiście uszczęśliwić nas tej niedzieli, ogłoś zaręczyny. Chętnie zaopiekowałabym się już wnukami.

— Postaram się, mamó.

Wracał do domu uśmiechając się jakoś głupio, dziwnie niecierpliwym. Im obojgu musi się udać. Zrobi wszystko, żeby pozyskać sympatię jej rodziców, ale w końcu nie z nimi ma się ożenić.

Ożenić?

Cóż do diabła, przecież chyba o to w tym wszystkim chodzi! Zakochał się szaleńczo od pierwszego wejrzenia, od tej



chwili, gdy stanęła w progu jego mieszkania, w tym swoim futrze z lisa, z wysuniętym zadziornie podbródkiem i jednocześnie łagodnym wyrazem oczu. Podziwiał ją za siłę charakteru i uczciwość. Bał się trochę jej ostrego języka. I uwielbiał tę jej delikatność. Nie nosił w sercu obrazu Gabrielle jako elegancko, z wyrafinowaniem ubranej kobiety, ale wciąż miał ją przed oczami z kropelkami farby na rzesach, z dłońmi pachnącymi terpentyną i uśmiechem rozkwitającym na jego widok. Tak, jest zdecydowany na małżeństwo. Wchodząc po schodach na górę o drugiej w nocy pogwizdywał wesoło i widział przed sobą tylko jasną, obiecującą przyszłość.

W kuchni paliła się witrażowa lampa. Gabrielle była w łóżku, z policzkami wilgotnymi od łez. Płakała z jego powodu czy za życiem, które porzucała?

Jednak pomimo optymizmu, jaki bił od niego po rozmowie z rodzicami przez całą długą drogę do domu, przelotnie pojawiały się również wątpliwości. Czy ten związek ma rzeczywiście szanse na przetrwanie? Nie licząc początkowego okresu, kiedy się do siebie dostrajali, te ostatnie tygodnie przeżyli razem w niemal idealnej harmonii. Ale zawsze miał poczucie, że ten układ jest jedynie tymczasowy — że ona została mu przez los tylko na trochę wypożyczona i że w każdej chwili może mu być zabrana, by powrócić na należne jej miejsce w tym porządku świata.

Teraz znienacka zapragnął, nie, po prostu pilnie potrzebował zaangażowania się na stałe. Gabrielle długo była zaledwie epizodem na drodze jego życiowych poszukiwań. Sam sprowokował to, co się między nimi wydarzyło, ale w gruncie

rzeczy zrobił niewiele, żeby zapewnić sobie miejsce w jej przyszłości. Ten wieczór zmienił wszystko, stało się to w jakiś trudny do określenia sposób. Łączące ich więzy, o których nigdy nie mówili, ale których miał jednak zawsze żywą świadomość, nagle stały się nierozzerwalne. Gdyby ją teraz stracił, wiedział z całkowitą pewnością, że nigdy żadna osoba ani sprawa by mu jej nie zastąpiły.

Delikatnie, opiekuńczym gestem potarł ręką jej policzki, po czym wysliznął się z łóżka. Potrzebował trochę ruchu, nie mogąc inaczej uspokoić myśli. Poszedł do saloniku i błąkał się po nim, dotykając stolików, które Gabrielle odnowiła, wkładając w to tyle serca, kanapy, której poświęciła kilka dni czyszcząc ją zawzięcie, dopóki tapicerka nie zabłysła jak nowa. Zatrzymał się przy okrągłym dębowym stole, na którym stały jeszcze nakrycia po obiedzie — to przypomniało mu, że omal nie stracił czegoś, co mogło uczynić jego życie spełnionym: miłości Gabrielle.

Dotykał porcelany, kryształów, sreber, lnianych serwetek. Wszystkie te przedmioty miały swoją widoczną wartość i odznaczały się dobrym smakiem. A jednocześnie Gabrielle przez cały ten wspólnie spędzony czas najzupełniej wystarczały tanie talerze, nakrycia z nierdzewnej stali i inne tego typu zwyczajne przedmioty. Przystosowała się do jego stylu życia z łatwością i chęcią, która go aż zdumiewała. Sam zdobył się na znacznie mniej kompromisów.

Więc wreszcie powiedz jej, rzekł do siebie, patrząc przez okno. Nastaw się, że będziesz musiał pewne rzeczy w swoim

życiu zmienić. Poproś ją o rękę, a wtedy zobaczysz, czy ona się wycofa, czy zostanie. To już będzie, oczywiście, ostateczny test.

Kiedy tak spoglądał w ciemność, zastanawiając się, czy aby nie jest jeszcze za wcześnie, żeby rozmawiać z nią o stałym związku, i czy nie jest jednak zbyt ryzykowne snucie takich planów na przyszłość, ujrzał opadające wolno w dół pierwsze płatki śniegu. Po raz pierwszy w życiu odebrał ten widok nie jako zapowiedź wyczerpującego odśnieżania, ale jako piękne, czarowne zjawisko, którego nie chciał obserwować sam.

Wrócił do sypialni Gabrielle, usiadł na skraju łóżka i delikatnie potrząsnął śpiącą za ramię.

— Obudź się.

Na jej ustach pojawił się łagodny uśmiech, ale powieki miała wciąż zamknięte.

— Obudź się. Chcę ci coś pokazać.

— Wróciłeś — wymruczała z lekkim zdziwieniem.

— Wróciłem — potwierdził.

— Cieszę się. — Wysunęła spod policzka rękę i, jeszcze ciepłą, wyciągnęła w kierunku jego dłoni, zaciskając na niej palce. Następnie westchnęła z zadowoleniem i zamknęła oczy.

— Złotko, obudź się.

— Czy to już rano?

— Nie.

— Idź spać.

Ze śmiechem potrząsnął głową. Poszedł do saloniku, gdzie zostawił na krześle kurtkę. Kiedy wrócił do jej pokoju, otworzył okno. Otulił Gabrielle szczerze i wziął ją na rękę. Przywarła twarzą do jego szyi, cichymi pomrukami okazując zadowolenie.

Poczuł na skórze dotyk jej warg i prawie zapomniał, co miał zrobić. Był już bliski tego, żeby wrócić z nią do łóżka i budzić ją dalej, ale już w zupełnie inny sposób.

Jednak ta noc zasługiwała na coś więcej, niż samą fizyczną miłość. Było w niej coś magicznego. Paul, mocno przytuliwszy Gabrielle do siebie, wystawił nogę za okno na drabinkę przeciwpożarową.

Podmuch zimnego powietrza rozbudził ją natychmiast. Rozglądała się wokół nieprzytomnie, aż w końcu zatrzymała wzrok na jego oczach.

— Paul, co my robimy w tych ciemnościach na drabince przeciwpożarowej? — Zerknęła w dół i przeraziła się. — I to w dodatku, kiedy mam na sobie tylko koc?

— Zaraz się dowiesz — obiecał tajemniczo,

— Czy zamierzasz zrzucić mnie z dachu? — dopytywała się ze stoickim spokojem, kiedy zaczął wspinać się po drabince.

— Chyba że będę miał z tobą jakieś problemy.

Zaspana, pokiwała tylko głową, ziewając szeroko, po czym jeszcze mocniej przylgnęła policzkiem do jego karku.

— To dobrze.

Kiedy już byli na dachu, Paul potoczył wzrokiem po rozsypanych na dole światełkach i po atramentowym niebie, a później wystawił twarz — tak, że płatki śniegu rozpuszczały się w zetknięciu ze skórą.

— Popatrz w górę — rzekł do Gabrielle.

Odchyliła głowę i spojrzała w niebo. Kiedy pierwszy śniegowy płatek otarł się o jej policzek, dotknęła tego miejsca i natychmiast domyśliła się, o co chodziło Paulowi. Oczy

zaiskrzyły się jej jeszcze większym zachwytem, kiedy śnieg zaczął padać intensywniej.

— Śnieg — powiedziała cicho, z powagą. — Pierwszy raz tej zimy.

Paul potrząsnął głową, zauroczony scenerią. Rozpierało go uczucie szczęścia.

— To księżycowy pył.

Rozbawiło ją to osobliwe stwierdzenie.

— Przecież nie widać księżyca.

— Masz rację — wyjaśnił cierpliwie. — Bo się rozkruszył na miliony drobin księżycowego pyłu. To zdarza się jedynie w wyjątkowych okolicznościach.

— Och, doprawdy? — śmiała się. — To znaczy kiedy?

Poszukał jej wzroku i płomień, jaki się przez to wzniecił, poważnie zagroził padającym śnieżynkom.

— Kiedy dwoje ludzi zakocha się w sobie.

Westchnęła ciężko, zdumiona.

— Och, Paul, czy to znaczy, że mimo wszystko między nami nic się nie zmieniło?

Jej usta — ciepłe, miękkie i wilgotne ód księżycowego pyłu — zaczęły gwałtownie poszukiwać jego warg. W tym pocałunku tkwiła jakaś czarodziejska, poetyczna moc, która ośmieliła go do tego stopnia, że wyszeptał:

— Wyjdź za mnie, Gabrielle.

Odpowiedziała cichym jękiem rozkoszy, tyranią wygłodniałych warg, niecierpliwą natarczywością języka.

— Czy to znaczy, że się zgadzasz? — spytał, dysząc ciężko.

- Tak.
- Czekają nas kłopoty — ostrzegł.
- Wcale nie.

Nie spotkał się jeszcze z tak niezłomnym optymizmem, ale bardzo mu się on u niej spodobał.

— W każdym razie poradzimy sobie z nimi — poprawił ją.  
— Może nigdy nie będę mógł dać ci tego, do czego przywykłaś. Nie będzie diamentów, tylko księżycowy pył.

— Do tego — powiedziała, obejmując go za szyję — właśnie do tego chcę teraz przywyknąć. Tak się bałam, że cię dziś wieczorem straciłam. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, ile mi dałeś, jak puste byłoby moje życie bez ciebie?

— Ile ci dałem? — powtórzył z niedowierzaniem.

— Oczywiście. Nadzieję, wiarę w siebie. Już nie wspomnę, że nigdy dotąd nikt nie porwał mnie w środku nocy z łóżka, żebym zobaczyła pierwszy śnieg.

— Ja myślę.

— Nie kpij sobie. Żadna kobieta nie przyjmowała nigdy bardziej romantycznych oświadczeń. Nasze dzieci będą zaskoczone i przerażone, jak się dowiedzą, co kiedyś zrobił ich praktyczny, mocno stąpający po ziemi ojciec.

— Nasze dzieci? — powtórzył cicho, odnosząc wrażenie, że pierwszy, z taką rozważą postawiony krok przemienia się oto w istny bieg w przyszłość. Czuł się tak, jak gdyby ledwie zanurzwszy na próbę palec w toni oceanu, został nagle porwany przez prąd.

— Będą śliczne — obiecywała, najwidoczniej oczarowana tą perspektywą. — Będą mądre i utalentowane. Bardzo utalentowane.

— A czy posłuszne? — spytał z nadzieją. I on powoli przekonywał się do tego pomysłu. Jego matka nie posiadałaby się z radości.

— Raczej uparte — odparła ponuro.

— Na pewno. Nie chciałbym, żeby wyglądało na to, że się niecierpliwie, ale na kiedy planujesz powiększenie rodziny?

— Cóż, to musi trochę potrwać — powiedziała nieco zmartwiona. — Nie mogę po prostu jutro rano pójść do sklepu i zdjąć z półki dwojga czy trojga.

Parsknął śmiechem.

— Ja naprawdę wiem, skąd biorą się dzieci. Dotknęła jego policzka.

— Z takich nocy jak ta.

Przepelniały go najtkliwsze uczucia. Czuł niewypowiedzianą radość. Przelknął głośno.

— Na Boga, jak ja ciebie kocham.

— Pokaż mi. Wracajmy do środka i pokaż mi.

Kiedy wokół wirował księżycowy pył, znaleźli dla siebie mały skrawek nieba, w którym marzenia stały się rzeczywistością.

Paul obudził się rano, czując, że ma na ustach coś bardzo zimnego. Błyskawicznie otworzył oczy i zobaczył przed sobą klęczącą na łóżku Gabrielle z dłońmi wypełnionymi śniegiem. Uśmiechnął się do niej.

— Jeśli chcesz zrobić to, o co cię podejrzewam, zapomnij o tym. Jestem większy i silniejszy, więc źle na tym wyjdiesz.

— To jest księżycowy pył, pamiętasz? Ocalę go.

— Obawiam się, że krótki będzie jego żywot w twoich rękach.

Nagle spowaźniała.

— Paul, czy któregoś dnia nasza miłość tak samo się rozplynie?

Przyciągnął ją ku sobie.

— Nie. Nie, jeśli tylko nie pozwolimy na to.

— Ale o mało nie opuściłeś mnie na dobre ostatniego wieczora, nie mam racji?

— O mały włos — przyznał. — Ale nie było w tym żadnej twojej winy. Nie myśl też, że przestałem wierzyć w naszą miłość.

— Więc z powodu moich rodziców?

— Tak. Właściwie na swój sposób wyrzucili mnie. Dotarło do mnie, z jak wielu rzeczy musiałabyś dla mnie zrezygnować.

— Tak zadecydowałam, Paul. Ja i ty. Moi rodzice nauczą się żyć z tym, co postanowimy.

— Mówilem już wczoraj, że nigdy nie będę w stanie zaoferować ci tego, czego cię teraz pozbawiłem. Nasze dzieci nie będą ubrane w szyte na miarę śpioszki ani nie będą uczyć się w wieku dwóch lat gry na fortepianie. Czy naprawdę możesz na to przystać?

— Śpioszki na miarę? Lekcje gry na fortepianie? — powtarzała z niedowierzaniem. — Ty rzeczywiście się tym martwisz?



Jego milczenie wystarczało za odpowiedź.

— Kochanie — mówiła dalej — gdyby to, wśród czego wzrastałam, było do tego stopnia, jak myślisz, uzależniające, czy w ogóle opuściłabym dom? Naprawdę ważne dla dwojga ludzi i dla dzieci są miłość i bezgraniczne zaangażowanie w sprawy rodziny. Myślę, że to mamy.

— Pozostaje więc, jak sędzę, tylko jedna sprawa — powiedział.

— Jaka?

— Ustalenie daty ślubu.

Rzuciła mu się w ramiona.

— Tak bardzo cię kocham — obsypała mu twarz pocałunkami.

Chciał się śmiać, a jednocześnie poczuł napływającą falę pożądania. Nachyliła się i popatrzyła na niego z uwagą.

— To jest bardzo poważna chwila w naszym życiu, Paul. Co widzisz w tym takiego śmiesznego?

— Twój księżycowy pył spływa mi po plecach.

Oczy zapaliły się jej figlarnym błyskiem, kiedy usiadła za nim. — Nie możemy stracić ani odrobiny — rzekła z całą powagą, pracowicie przywłaszczając sobie przy pomocy języka każdą kropelkę.

— Umm, Gaby — mruknał czując, jak dreszcz przechodzi mu po plecach. — Myślisz, że możemy przechować trochę tego księżycowego pyłu w zamrażarce? Trudno będzie o niego w sierpniu, a ja właśnie zaczynam dostrzegać kilka całkiem interesujących jego zastosowań.

Spletli się nogami, a Gabrielle śmiałym ruchem przesuwała rękę w dół jego torsu.

— Zawsze możemy posiłkować się naszą wyobraźnią.

Paul zamknął oczy i chłonał grzeszne doznania. Ma rację, pomyślał, poddając się bez reszty jej dłoniom. Księżycowy pył będzie z nimi zawsze i — strzeżony jak najcenniejszy skarb — niby diamenty z czasem nabierze tylko wartości.

---

scandalous